


Guillaume Musso

**PONIEWAŻ**  
CIEŃ KOCHAM



**Wielki bestseller jednego z najpopularniejszych  
pisarzy Francji**

**Czy można uciec przed przeznaczeniem?**

[www.guillaumemusso.com](http://www.guillaumemusso.com)

ISBN 978-83-7659-323-4



9 788376 593234

Guillaume Musso

# PONIEWAŻ CIĘ KOCHAM

Z francuskiego przełożyła  
JOANNA PRĄDZYŃSKA



*Nie ma nic lepszego od powieści, aby  
uzmysłować ludziom, iż rzeczywistość jest  
źle urządzona, gdyż to, co się zdarza na co  
dzień, nie zaspokaja pragnień, nie nasycza  
głodu i nie ziszcza ludzkich marzeń.*

**Mario Vargas Llosa**

Zanim państwo zabiorą się do lektury, chcę poprosić o dyskrecję: proszę nie zdradzać zakończenia książki przyjaciółom!

# 1

## Noc, kiedy się wszystko zaczęło

*Musimy się przyzwyczaić do tego, że przed najważniejszymi skrzyżowaniami naszego życia nie ma żadnych znaków ostrzegawczych.*

Ernest Hemingway

### Grudzień 2006

Wieczór wigilijny, centrum Manhattanu...

Od rana sypie śnieg. Miasto, które nigdy nie śpi, zeszywniałe z zimna, wydaje się ospałe mimo szalonych iluminacji.

Jak na Wigilię — wskutek pokrywającej wszystko warstwy sypkiego śniegu i zasp — ruch jest zadziwiająco niewielki.

Tymczasem na rogu Madison Avenue i Trzydziestej Szóstej Ulicy jedna po drugiej podjeżdżają limuzyny, wysadzając pasażerów na podjazd pięknej budowli w stylu renesansowym, siedziby Morgan Library. Jedna z najbardziej prestiżowych nowojorskich fundacji kulturalnych obchodzi dziś setną rocznicę istnienia.



Na szerokich schodach kłębią się mężczyźni w smokingu i kobiety we wspaniałych sukniach wieczorowych. Tu i ówdzie pojawiają się ekskluzywne futra, połyskuje prawdziwa biżuteria. Wszyscy kierują się do pawilonu ze szkła i stali, którego harmonijny kształt wprowadza budynek w XXI wiek. Na ostatnim piętrze długi korytarz prowadzi do wielkiego pomieszczenia, gdzie w oszklonych witrynach wystawione są niektóre ze skarbów fundacji: Biblia Gutenberga, zdobne manuskrypty średnio-wieczne, rysunki Rembrandta, Leonarda da Vinci i van Gogha, listy Voltaire'a i Einsteina, a nawet kawałek papierowego obrusa, na którym Bob Dylan napisał słowa *Blowin' in the Wind*.

Stopniowo zapada cisza, spóźnialscy docierają do swoich miejsc. Tego wieczoru część biblioteki została specjalnie przemeblowana, aby umożliwić kilku uprzywilejowanym wysłuchanie sonat Mozarta i Brahmsa w wykonaniu skrzypaczki Nicole Hathaway.

Artystka wychodzi na scenę. Witają ją oklaski. Jest to młoda kobieta około trzydziestki, elegancka, spokojna. Włosy związane w koczek a la Grace Kelly upodobniają ją do filmowych bohaterek Hitchcocka. Jest skrzypaczką światowej sławy, występowała jako solistka z najsłynniejszymi orkiestrami i od chwili, gdy w wieku szesnastu lat nagrała pierwszą płytę, otrzymała niezliczone nagrody. Pięć lat wcześniej w jej życiu zdarzył się dramat, o którym szeroko rozpisywała się prasa i omawiała telewizja. Od tej chwili popularność jej wyszła daleko poza granice świata muzycznego.

Nicole wita się z publicznością skinieniem głowy i opiera skrzypce na ramieniu. Jej klasyczna uroda doskonale pasuje do eleganckiego patrycjuszowskiego wnętrza

i skrzypaczka wygląda, jakby zeszła ze stron średnio-wiecznych sztychów i renesansowych rękopisów. Pierwsze zdecydowane pociągnięcie smyczkiem po strunach od razu wydobywa z instrumentu głęboki dźwięk. Jasne jest, że Nicole i jej instrument stanowią jedność, przynajmniej przez czas wykonania utworu.

Na dworze zapadła już zimna noc i bezustannie prószy śnieg.

Tutaj, w tym eleganckim wnętrzu, przeciwnie — jest ciepło i bardzo przyjemnie.

Tymczasem zaledwie pięćset metrów dalej, w pobliżu stacji metra Grand Central, powoli unosi się pokrywa wejścia do kanalizacji i w otworze pojawia się rozczochrana głowa mężczyzny. Kloszard o twarzy pokrytej bliznami pustym wzrokiem omiata przestrzeń...

Wypuściwszy z rąk czarnego labradora, którego trzymał w ramionach, mężczyzna z wysiłkiem wydobywa się na zaśnieżony trotuar. Przechodzi przez ulicę, przemykając z trudem między samochodami. O mało co nie wpada pod koła. Rozlega się koncert klaksonów.

Chudy, słaby włóczęga ma na sobie brudne, znoszone palto. Mijani przechodnie instynktownie przyspieszają kroku, aby jak najszybciej oddalić się od niego.

To normalne. Mężczyzna zdaje sobie sprawę z tego, że wzbudza strach, że śmierdzi brudem, moczem i potem.

Ma tylko trzydzieści pięć lat, lecz wygląda na pięćdziesiąt. Kiedyś pracował, miał żonę, dziecko i dom. To było dawno temu. Dziś jest tylko błądzącym cieniem, zakutym w szmaty duchem, mamrocącym pod nosem niezrozumiałe dla nikogo słowa.



Ledwo trzyma się na nogach, właściwie nie tyle idzie, ile wlecze się niepewnym krokiem.

Jaki dziś dzień? Która godzina? Który miesiąc?

Nie wie. Wszystko mu się myli. Światła miasta zamażują mu się przed oczami. Lodowate płatki śniegu niesione wiatrem siekają skórę jego twarzy jak ostrze noża. Stopy ma zmrożone, brzuch obolały, czuje się, jakby za chwilę miały mu popękać kości.

Już dwa lata mijają, od kiedy porzucił społeczeństwo i ukrył się w podziemiach miasta. Jak wielu innych bezdomnych, zamieszkał w korytarzach metra, w kanałach i tunelach kolejowych. Uczciwi obywatele i turyści nie mają się czego obawiać: prowadzona przez władze miejskie polityka „zero tolerancji” przyniosła owoce. Manhattan został skutecznie wyczyszczony z bezdomnych. Przynajmniej na powierzchni. Tak, gdyż pod strzelającymi w niebo wieżowcami pulsuje życie innego miasta: to Nowy Jork pełen ludzkich wraków, wypełniający szeroką sieć tuneli, wnęk i dziur. Tysiące ludzi-kretów, przepędzonych do podziemi, wiedzie życie uciekinierów, chowa się przed policją w brudzie, pośród szczurów i ekskrementów.

Tak już jest.

Mężczyzna grzebie w kieszeni i wyciąga z niej butelczynę taniego alkoholu. Oczywiście, pije. W jego sytuacji trudno nie pić.

Jeden łyk, potem drugi.

Aby zapomnieć o zimnie, o strachu, o brudzie.

O swym poprzednim życiu.

\*

Ostatnie pociągnięcie smyczką. Przez kilka sekund na sali panuje śmiertelna cisza. Ta słynna cisza, która

zapada po ostatnich taktach Mozarta i w której jeszcze przez chwilę brzmi muzyka, ustępuje po paru sekundach rześnistym oklaskom.

Skrzypaczka skłania głowę, dziękuje za bukiet kwiatów, po czym przechodzi przez salę, cały czas przyjmując gratulacje. Goście są entuzjastyczni, ale Nicole wie, że grała nie najlepiej. Technicznie doskonale, czysto, energicznie, lecz bez serca.

Z nieobecny wrokiem odruchowo ściska kilka dłoni, podnosi do ust kieliszek szampana. Chciałaby jak najszybciej wyjść.

— Kochanie, chcesz już wracać?

Nicole obraca się powoli w kierunku, z którego dobiegło do jej uszu tak miłe w tej chwili pytanie. Jej towarzysz, Eriq, staje przed nią z kieliszkiem martini w dłoni. Eriq jest adwokatem pracującym dla spółek biznesowych. Można powiedzieć, że od kilku miesięcy są parą. Eriq troszczy się o nią, zawsze jest w pobliżu, kiedy go potrzebuje.

— Tak. Trochę kręci mi się w głowie. Proszę, zabierz mnie do domu.

Jakby przewidując tę odpowiedź, Eriq szybko poszedł do szatni i teraz podawał jej szary flanelowy płaszcz. Nicole otuliła się nim, zapinając szczelnie kołnierz.

Żegnając się szybko z gospodarzami wieczoru, para zeszła po wielkich marmurowych schodach. Przyjęcie na piętrze dopiero się zaczynało.

— Zawołam ci taksówkę, a sam pójde do biura po samochód i spotkamy się w domu — rzekł Eriq przy drzwiach wyjściowych.

— Pójde z tobą, przecież to pięć minut stąd.

— Żartujesz chyba. Zobacz, jaki śnieg!

— Ale chciałabym się przejść, odetchnąć świeżym powietrzem.

— To nie jest zbyt bezpieczne.

— Od kiedy przejście pieszo trzystu metrów jest niebezpieczne? Przecież będę z tobą.

— Jak chcesz.

W milczeniu skierowali się ku Piątej Alei. Szli szybko. Zimno szczypało skórę. Ruch był wciąż niewielki. Miasto pokrywały spadające cicho ciężkie płatki śniegu.

Od samochodu zaparkowanego tuż za Bryant Park dzieliło ich niecałe sto metrów. W ładną pogodę to śliczne, porośnięte zielenią miejsce idealnie nadawało się do opalania, na piknik czy grę w szachy przy fontannie. Ale tego wieczoru było tu ponuro, ciemno i pusto.

— Dawaj forszę!

Nicole krzyknęła. Przed oczami ujrzała błysk stali.

— Dawaj forszę, słyszysz?! — zażądał facet, grożąc nożem.

Wyglądał na osobę bez wieku, był wielki, silny. Miał ciemny płaszcz i wygoloną czaszkę. W twarzy, przeciętej napuchniętą blizną, błyszczały szalonym światłem małe złe oczy.

— Szybciej!

— Okay, okay... — skapitulował Eriq, wyjmując z kieszeni portfel i wręczając napastnikowi oprócz portfela jeszcze zegarek marki Breitling i telefon komórkowy.

Mężczyzna chwycił łup i odwrócił się do Nicole, zamierzając wyrwać jej torebkę i skrzypce.

Nicole starała się nie okazać strachu, ale nie mogła

spojrzeć napastnikowi w oczy. Spuściła powieki. Czując rękę, zrywającą jej naszyjnik z pereł, zaczęła w myślach recytować alfabet od końca. Bardzo prędko. Tak robiła w dzieciństwie, kiedy bardzo się czegoś bała.

Z Y X W U . . .

To pomagało jej skupić się na czymś innym, w oczekiwaniu, aż skończy się jakiś koszmar.

T S R P O . . .

Facet na pewno zaraz sobie pójdzie, przecież ma już to, czego chciał: pieniądze, komórkę, biżuterię...

N M L K J I H . . .

Zaraz sobie pójdzie. Co by mu dało, gdyby nas zabił?

G F E D C B A . . .

Ale kiedy Nicole otwiera oczy, ten człowiek wciąż tam stoi, grożąc jej nożem.

Eriq widzi to, ale jest skamieniały ze strachu. Nie robi najmniejszego gestu, żeby ją ochronić.

Dlaczego ona wcale się temu nie dziwi?

Tak czy inaczej, nie ma nawet czasu, żeby odskoczyć. Bezsilnie, jak zahipnotyzowana obserwuje ostrze, które za chwilę przetnie jej gardło.

A więc to już koniec? Tak dobrze się wszystko zaczęło. Świetlista droga, a potem zejście do piekieł. Ponury, jakże zaskakujący koniec. Co za niemiłe uczucie być bohaterką historii zakończonej tak okrutnie...

Dziwne. Czasem ludzie mówią, że w chwili śmierci najważniejsze momenty życia przesuwiają się człowiekowi przed oczyma w przyspieszonym tempie. Nicole widzi tylko jedną scenę: ciągnącą się w nieskończoność wyludnioną plażę, na której stoją dwie sylwetki machające do niej wesoło dłońmi. Wyraźnie widzi ich twarze. Pierwsza to twarz jedyne go mężczyzny, którego naprawdę kochała,

a którego nie umiała zatrzymać. Druga to twarz córki, której nie umiała uratować.

Jestem martwa.

Nie. Jeszcze żyję. Jak to?

Ktoś nagle wyrósł jak spod ziemi.

Jakiś włóczęga.

Najpierw wydało się Nicole, że ten drugi też ją atakuje, ale potem zorientowała się, że nie, że stara się ją obronić. Faktycznie, cios nożem zranił jego, a nie ją, a mimo to mężczyzna szybko wstał i rzucił się na napastnika. Wyrwał mu z rąk nóż i skradzione przedmioty. Nicole widziała, jak mężczyźni zaczęli wymierzać sobie ciosy na oślepiętymi pięściami. Mimo że włóczęga był drobniejszy od napastnika, szybko wziął nad nim górę. Pomógł mu w walce pies, ciemny labrador. Napastnik uciekł.

Jednak zwycięstwo nie przyszło łatwo. Włóczęga u kresu sił zwałił się na śnieg, twarzą na pokryty lodem chodnik.

Nicole rzuciła się w jego kierunku, gubiąc po drodze lakierowany pantofel.

Uklękła na śniegu przy głowie mężczyzny, który uratował jej życie. Zobaczyła ślady krwi na śniegu. Dlaczego ten typ rzucił się jej na ratunek?

— Dajmy mu ze dwadzieścia dolarów w nagrodę...

Nie zabrzmiało to zbyt dobrze. Eriq schylił się, żeby podnieść portfel i telefon komórkowy.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, stał się znów eleganckim adwokatem.

Nicole popatrzyła na niego z pogardą.

— Czy nie widzisz, że on jest ranny?

- W takim razie zadzwonię po policję.
- Nie policję trzeba wezwać, tylko karetkę!

Z wysiłkiem odwróciła nieznajomego na plecy. Dotknęła krwawiącego mocno ramienia i spojrzała na zarośniętą twarz.

Dopiero gdy ujrzała jego gorączkowy, wbity w nią wzrok, poznała go.

Ale gdy to się stało, coś się w niej załamało. Oblała ją fala gorąca. Nie wiedziała, czy to cierpienie, czy ulga, czy otwiera się w niej boląca rana, czy, przeciwnie, pojawia się nadzieja.

Pochyliła się nad rannym mężczyzną, zbliżając twarz do jego twarzy, jakby chciała ochronić go przed padającym śniegiem.

- Co ty wyrabiasz? — zaniepokoił się Eriq.
- Nigdzie nie dzwoń, tylko idź po swój samochód — rozkazała mu, wstając.
- Dlaczego?
- Znam tego mężczyznę.
- Jak to, znasz go?
- Pomóż mi przewieźć go do mnie do domu — padła odpowiedź Nicole.

Eriq potrząsnął głową i westchnął.

- A któż to może, do cholery, być?

Nicole patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- To Mark, mój mąż — rzekła po chwili.

# 2

## Zaginiona

*Najbardziej jesteśmy narażeni na cierpienie,  
gdy kochamy.*

Sigmund Freud

Brooklyn. Drugi brzeg rzeki. Mały, luksusowy, zaciszny wiktoriański dom z wieżyczkami i ozdobnymi rynnami...

W kominku syczy ogień.

Mark Hathaway, wciąż nieprzytomny, leżał na kanapie w salonie, przykryty grubym pledem. Nad jego ramieniem pochylała się doktor Susan Kingston. Kończyła zszywanie rany.

— Zranienie jest powierzchowne — wyjaśniła stojącej obok Nicole, zdejmując lateksowe rękawiczki. — Niepokoi mnie raczej ogólny stan zdrowia Marka: jest bardzo wyziębiony no i poza tym te siniaki i odmrożenia na całym ciele...

Wcześniej tego wieczoru, gdy Susan w gronie rodzinnym jadła tradycyjny bożonarodzeniowy pudding, zadzwoniła do niej sąsiadka, Nicole Hathaway, błagając, aby przyszła opatrzyć jej rannego męża.



Mimo że ta prośba ją zaskoczyła, nie wahała się ani chwili. Wraz z mężem doskonale znali Marka i Nicole. Przed tragicznymi wydarzeniami sprzed pięciu lat bardzo się przyjaźnili. Spędzali razem wieczory, sprawdzając menu we włoskich restauracjach w Park Slope, odwiedzając antykwariaty w Brooklyn Height i uprawiając jogging w weekendy na ogromnych trawnikach Prospect Park.

Dziś czasy te wydawały się bardzo odległe, prawie nierzeczywiste.

Susan wpatrywała się w Marka i bardzo mu współczuła.

— Wiedziałaś, że Mark stał się bezdomnym włóczęgą? — spytała.

Nicole pokręciła głową przecząco. Nie była w stanie nic powiedzieć.

Dwa lata wcześniej mąż oznajmił, że odchodzi, że nie może już tak dłużej żyć, że nie ma na to sił. Ona uczyniła wszystko, aby go powstrzymać przed tą decyzją, ale czasem „wszystko” to za mało. Od tej pory nie wiedziała, co się z nim dzieje.

— Dałam mu środek uspokajający i antybiotyki — rzekła Susan, zbierając swoje rzeczy.

Nicole odprowadziła ją do drzwi.

— Wpadnę tu jutro — obiecała Susan. — Ale...

Przerwała, odczuwając jednocześnie skrępowanie i strach przed tym, co zamierzała powiedzieć.

— Ale nie pozwól mu odejść. W tym stanie po prostu umrze.

— A więc?

— A więc co?

- A więc co z nim zrobimy? — spytał Eriq. — Co zrobimy z twoim mężem?

Adwokat trzymał w dłoni szklaneczkę whisky i chodził tam i z powrotem po kuchni.

Nicole patrzyła na niego niechętnym, zmęczonym wzrokiem. Co robiła z tym facetem od prawie roku? Jak mogła dzielić z nim życie? Dlaczego się do niego tak przywiązała?

— Proszę cię, idź już sobie — wyszeptwała.

Eriq potrząsnął głową.

- Nie ma mowy, żebym zostawił cię samą w takiej sytuacji — rzekł.

— Kiedy facet przykładał mi nóż do szyi, nie spieszyłeś się specjalnie, żeby mnie ratować!

Eriq zamarł. Minęło kilka sekund, zanim zaczął szukać usprawiedliwienia.

— Przecież nawet bym nie zdążył... — zaczął i ucichł.

— Proszę cię, idź sobie — powtórzyła po prostu Nicole.

— Jeśli naprawdę tego chcesz... — rzekł. — Jutro do ciebie zadzwonię! — dodał, wychodząc.

Nicole poczuła ulgę, gdy znikł za drzwiami. Wróciła do salonu. Zgasła wszystkie lampy i po cichu przysunęła fotel do kanapy, żeby znaleźć się jak najbliżej Marka.

Jedynym źródłem światła w pokoju był teraz pomarańczowy błysk spalających się w kominku bierwion. Wokół panował spokój.

Wyczerpana, zdezorientowana Nicole położyła swoją dłoń na dłoni męża i zamknęła oczy. Byli tutaj tak szczęśliwi! Gdy wreszcie znaleźli ten dom, prawie oszaleli z radości. Był to tak zwany *brownstone*, powstały pod koniec XIX wieku. Budowla miała fasadę z brązowego

kamienia i ładny ogród. Kupili ją dziesięć lat wcześniej, tuż przed narodzinami dziecka, które zamierzali wychowywać z dala od zgiełku panującego na Manhattanie.

Kilka oprawionych fotografii na półkach biblioteki przypominało o tych szczęśliwych dniach. Na pierwszej mężczyzna i kobieta trzymali się za ręce. Ich spojrzenia wyrażały głębokie porozumienie i wzajemną czułość. Romantyczne wakacje na Hawajach i pełna przygód przeprawa na motorach przez Wielki Kanion. Potem zdjęcie USG i następna fotografia, zrobiona najwidoczniej kilka miesięcy później: bobas o okrągłej buzi, świętujący swoje pierwsze Boże Narodzenie. Na ostatnich zdjęciach dziecko przemieniło się już w małą dziewczynkę tracącą mleczne zęby. Dziewczynka pozowała dumnie przed klatką z żyrafami w zoo w Bronksie, poprawiała czapkę pod prószącym śniegiem Montany, wreszcie podsuwała przed obiektyw swoje dwie rybki błazenki, Ernesta i Cappuccino.

Szczęśliwe dni, które odeszły na zawsze...

Mark zakaszał przez sen. Nicole przebiegł dreszcz. Mężczyzna śpiący na kanapie nie miał wiele wspólnego z tym, którego kiedyś poślubiła. Jedyne oprawione w ramki dyplomy i nagrody, wiszące niczym trofea na ścianach pokoju, świadczyły o tym, że Mark był kiedyś renomowanym psychologiem. FAA i FBI odwoływały się do jego kompetencji jako specjalisty od leczenia urazów związanych z porwaniem lub katastrofą samolotu. Po jedenastym wrześniu był członkiem specjalnej grupy psychologów założonej w celu pomocy rodzinom ofiar oraz tym pracownikom World Trade Center, którzy ocalili z katastrofy. Ponieważ nikt nigdy nie wychodzi bez traumy z takiego dramatu. Część nas wciąż słyszy krzyki, widzi szalejące płomienie i krew. Może nie umarliście, ale

czujecie się zbrukani, męczy was poczucie winy, zżera głucha trwoga, wciąż zadajecie sobie to samo pytanie, na które nigdy nie znajdziecie odpowiedzi: dlaczego ja przeżyłem, a inni zginęli? Ja przeżyłem, a zginęło moje dziecko, moja żona, moi rodzice...

Pracując jako psycholog, Mark powierzał wnioski ze swych doświadczeń prasie popularnonaukowej. W swoich artykułach rozpowszechniał wiedzę na temat nowych terapii — hipnozy, psychodramy — nad którymi pracował jako prekursor wraz ze swym kolegą z zespołu i przyjacielem z dzieciństwa, Connorem McCoyem. Stopniowo stał się modnym psychologiem, którego często widywano w telewizji, i ta nagła sława spowodowała, że wraz z Nicole stali się nagle celebrytami. Słynny „Vanity Fair” w numerze poświęconym najgłośniejszym parom Nowego Jorku zamieścił czterostronicowy artykuł ilustrowany atrakcyjnymi zdjęciami, na których można ich było podziwiać w całej krasie. To było jak namaszczenie.

Jednak bajka z kolorowych stron żurnali prysła jak bańka mydlana. Pewnego marcowego popołudnia ich pięcioletnia córeczka Layla zaginęła w centrum handlowym w Orange County, znajdującym się na południu Los Angeles. Gdy widziano ją ostatni raz, oglądała zabawki na wystawie sklepu Disneya. Jej opiekunka, młoda Australijka, zostawiła ją samą na kilka minut, aby zmierzyć przecenione dzinsy firmy Diesel w butikiu obok...

Ile czasu minęło, zanim zauważyła nieobecność dziewczynki? „Nie dłużej niż pięć minut!” — zapewniła policjantów prowadzących śledztwo. W tym wypadku równało się to wieczności. Przez pięć minut może się wydarzyć wszystko.

Wiadomo, że pierwsze godziny po zniknięciu dziecka

są najważniejsze. To okres, w którym są największe szanse na to, żeby znaleźć je żywe. Po czterdziestu ośmiu godzinach szanse na to szczęśliwe rozwiązanie dramatycznie spadają.

Tamtego dnia, a był to 23 marca, lało. Mimo że dziecko znikło w biały dzień i w zatłoczonym centrum handlowym, policja miała trudności ze znalezieniem świadków wydarzenia. Przejrzenie taśm z kamer przemysłowych, które monitorowały to miejsce, nie przyniosło rezultatów, tak samo jak bezowocne okazało się przesłuchanie opiekunki, winnej co prawda pozostawienia dziecka bez opieki, ale przecież nie porwania.

Minęło wiele dni.

Przez kilka tygodni ponad stu policjantów z psami gończymi i wspomaganymi z powietrza przez helikoptery przeczesało każdy metr kwadratowy całego hrabstwa. Ale mimo wysiłków FBI nie znaleziono żadnego śladu po dziewczynce.

Minęło wiele miesięcy.

Policja była zbita z tropu brakiem jakichkolwiek wskazówek. Nikt nie zażądał okupu. Nie było żadnych poszlak. Niczego.

Minęły lata.

Od pięciu lat zdjęcie Layli wisiało na każdym dworcu, lotnisku, na każdym budynku pocztowym obok zdjęć innych zaginionych dzieci.

Layla znikła. Wyparowała.

\*

Tamtego dnia, 23 marca 2002 roku, życie Marka się zatrzymało.

Zniknięcie córki pogrążyło go w kompletnej rozpacz.

Ból i poczucie winy niczym wybuch wewnętrznego wulkanu odcięły go od jego zawodu, od żony, od przyjaciela.

W ciągu pierwszych miesięcy zaangażował najlepszych detektywów, którzy zabrali się do drobiazgowego śledztwa. Bez rezultatu. Wówczas sam zaczął szukać dziecka.

Te poszukiwania, z góry skazane na niepowodzenie, trwały trzy lata, po czym Mark również znikł. Nie pozostawił żadnej wiadomości ani żonie, ani Connorowi.

Nicole przeżyła tę rodzinną tragedię zupełnie inaczej. Początkowo rozpacz towarzyszyło poczucie konkretnej winy: to ona naciskała, aby Layla pojechała z nią do Los Angeles, gdzie skrzypaczka została zaproszona na serię recitali. To ona znalazła opiekunkę, przez którą zdarzył się dramat. Aby stawić czoło najgorszemu, znalazła jedno wyjście: pracę. Zaczęła dawać jeden koncert za drugim, nagrywać płyty, zgodziła się nawet na wywiady na temat porwanej córki w gazetach i w telewizji, stając się z własnej woli ofiarą niezdrowego zainteresowania publiczności.

Mimo to były dni, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Kiedy nie umiała już zwalczyć ponurych myśli, wynajmowała pokój w hotelu, kładła się do łóżka i chowała pod kołdrę, odcinając się w ten sposób od świata jak niedźwiedź zapadający w zimowy sen.

Każdy walczy z cierpieniem po swojemu...

\*

Nagle w kominku strześliło płonące polano. Mark drgnął i otworzył oczy. Podniósł się gwałtownym ruchem i przez kilka sekund nie mógł się zorientować, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Wszystko powoli do niego wróciło, gdy zobaczył twarz Nicole.

— Czy jesteś ranna? — spytał żony.

— Dzięki tobie, nie — odpowiedziała.

Przez chwilę zdawało się, że znów zapadnie w odrętwienie, lecz nagle zerwał się z łóżka.

— Błagam cię, nie wstawaj! Musisz odpocząć.

Jakby jej nie słysząc, poszedł w kierunku wielkiego okna. Za grubą szybą widać było zaśnieżoną cichą ulicę.

— Gdzie moje ubranie?

— Wyrzuciłam je, Mark. Było brudne.

— A mój pies?

— Wzięłam go ze sobą, był tutaj, ale uciekł.

— Muszę iść! — wykrzyknął Mark, niepewnie idąc w stronę drzwi.

Nicole stanęła przed nim, tarasując mu drogę.

— Posłuchaj, jest noc, jesteś ranny, wyczerpany... Nie widzieliśmy się od dwóch lat. Musimy porozmawiać.

Wyciągnęła do niego ręce, lecz on ją odepchnął. Chwycała go mocno za ramiona, ale zaczął się wyrwać, uderzając niechcący o półki. Jedno ze zdjęć spadło na podłogę. Rozległ się hałas tłuczonego szkła.

Mark pochylił się, podniósł zdjęcie i odstawił na miejsce. Wzrok jego padł na fotografię córki. Dziewczynka miała zielone wesołe oczy, uśmiechała się, emanowało z niej szczęście i radość życia.

Wówczas coś się w Marku załamało. Szlochając, osunął się na podłogę. Nicole przytuliła się do niego i siedzieli tak długo, obejmując się, dzieląc ten sam ból. Jej gładka skóra przylegała do jego zmęczonego ciała, delikatny zapach perfum Guerlaina mieszał się z przykrą wonią człowieka żyjącego na ulicy.



Trzymając męża za rękę, Nicole poprowadziła go do łazienki. Odkręciła prysznic i się wycofała. Odurzony intensywnym zapachem szamponu Mark stał prawie pół godziny pod gorącym, odświeżającym strumieniem wody, lejącym się z sufitu niczym ulewa. Ociekający wodą owinął się szczelnie wielkim ręcznikiem i wyszedł na korytarz, zostawiając na wypastowanym parkiecie kałuże wody. Otworzył szafę, która kiedyś była jego, i zobaczył, że wciąż wiszą tam ubrania. Obojętnie spojrzął na garnitury — Armani, Boss, Zegna — ślady po życiu, które nie było już jego życiem, i zadowolił się džinsami, bluzą z długimi rękawami i grubym swetrem.

Zszedł na dół do Nicole krzającącej się w kuchni.

W kuchni, całej zaaranżowanej w drewnie, szkłe i metalu, było dużo przestrzeni. Wzdłuż ściany biegł długi stół, pośrodku zaś stała wyspa z doskonale wyposażoną kuchenką zapraszającą do gotowania. Kiedyś miejsce to było przystanią wesołych rodzinnych śniadań, podwieczorków i romantycznych kolacji. Ale już bardzo dawno nikt nic tu nie ugotował.

— Przygotowałam ci omlet i grzanki — oznajmiła Nicole, wlewając do kubka gorącą kawę.

Mark usiadł przy stole, ale prawie natychmiast zerwał się z miejsca. Ręce mu się trzęsły. Przedjedzeniem musiał się napić alkoholu.

Pod zdumionym spojrzeniem Nicole gorączkowym gestem odkorkował pierwszą butelkę wina, która wpadła mu w ręce, i zachłannie wypił od razu połowę. To go uspokoiło. Zaczął jeść w ciszy.

— Gdzie byłeś, Mark? — ośmieliła się przerwać milczenie Nicole.

— W łazience.

- Pytam, gdzie byłeś przez te dwa lata.
- Pod ziemią.
- Pod ziemią?
- W tunelach metra, w kanałach, w podziemiach, tam gdzie mieszkają bezdomni.

Jego żona ze łzami w oczach potrząsnęła głową, nie rozumiejąc.

- Ale dlaczego? — spytała.
- Wiesz dobrze dlaczego! - odrzekł Mark podniesionym głosem.

Nicole podeszła do niego i wzięła go za rękę.

- Ale przecież masz żonę, pracę, przyjaciół...

Mark wyszarpnął rękę z jej uścisku i wstał od stołu.

- Daj mi spokój!
- Wyjaśnij mi jedno! — krzyknęła zdesperowana Nicole. — Co ci to wszystko dało, to życie klozarda?!

Mark wbił w nią oczy.

- Żyję tak, bo nie umiem inaczej. Ty potrafisz. Ja nie potrafię.

- Nie zrzucaj na mnie winy, Mark.

— Nie zrzucam na ciebie winy. Zbuduj sobie nowe życie, jeśli ci to odpowiada. Ja nie mogę. Ból, który odczuwam, jest nie do przezwyciężenia.

- Mark, przecież jesteś psychologiem. Pomagałeś ludziom wyjść z gorszych nieszczęść.

— Ale ja nie chcę przezwyciężyć tego bólu. Tylko on mnie trzyma przy życiu. To jedyne, co mi po niej zostało, rozumiesz? Nie mija minuta, żebym o niej nie pomyślał. Żebym się nie zastanawiał, co mógł jej zrobić ten, który ją porwał. Żebym się nie zastanawiał, co się z nią stało.

- Mark, ona nie żyje! — krzyknęła w rozpacz Nicole.

Tego już Mark nie wytrzymał. Wyciągnął rękę i chwycił żonę za gardło, jakby miał zamiar ją udusić.

— Jak możesz w ogóle myśleć coś podobnego?!

— Mineło już pięć lat, Mark! — krzyknęła Nicole, wyrывая mu się. — Pięć lat i nic, żadnego śladu! Nikt nawet nie zażądał okupu!

— Zawsze jest szansa...

— Nie, Mark, nie. To już koniec. Jeśli pomyślisz o tym logicznie, nie ma żadnej nadziei. Ona nie wróci. Takie rzeczy nigdy się nie zdarzają, rozumiesz, nigdy!

— Milcz!

— Najwyżej znajdą jej ciało...

— Nie!

— Tak! I niech ci się nie wydaje, że tylko ty cierpisz. A ja?! Oprócz córki straciłam również męża!

Mark bez słowa wyszedł z kuchni. Nicole wybiegła za nim. Nie daruje mu, co to, to nie!

— Nigdy nie pomyślałeś, że moglibyśmy mieć jeszcze dzieci? Że z czasem mogłoby w tym domu zacząć się nowe życie?

— Zanim będę miał inne dzieci, muszę odnaleźć moją córkę.

— Pozwól mi zadzwonić do Connora. Od dwóch lat szuka ciebie wszędzie. Pomoże ci z tego wyjść.

— Ale ja nie chcę. Moja córka cierpi i ja chcę cierpieć wraz z nią.

— Jeśli będziesz się upierał przy życiu na ulicy, umrzesz. Tego chcesz? Lepiej od razu strzel sobie w łeb.

— Nie chcę umrzeć, chcę być przy niej w dniu, kiedy się znajdzie.

Nicole się załamała. Wzięła komórkę i wykręciła numer Connora.

Odbierz, Connor, proszę cię, odbierz! — zaczęła go błagać w myślach.

Gdzieś w nocy telefon zadzwonił w pustkę. Nicole zrozumiała, że Connor nie odbierze i że przegrała. Sama nie poradzi sobie i nie będzie umiała zatrzymać męża.

Tymczasem Mark wrócił na kanapę w salonie i zasnął jeszcze na kilka godzin.

Wstał o świcie, wyjął z szafy sportową torbę, wsunął do niej koc, płaszcz ortalionowy, kilka paczek herbatników i butelki z alkoholem.

Nicole dała mu telefon komórkowy, baterię i ładowarkę.

— Gdybyś zdecydował się zadzwonić do Connora albo gdybym ja chciała się z tobą porozumieć...

Kiedy Mark pchnął drzwi wyjściowe, śnieg już nie padał i nad miastem wstawał błękitny świt. Jak tylko stąpnął na obsypanym śniegiem chodniku, w magiczny sposób, zza pojemników na śmieci wyłonił się czarny labrador. Szczeknął cicho. Mark z wdzięcznością podrapał go po łbie. Pochuchał w dłonie, żeby je rozgrzać, zarzucił torbę na ramię i skierował się ku Mostowi Brooklińskiemu.

Nicole, stojąc na progu, patrzyła na mężczyznę swego życia, który zanurzał się w porannej mgie. Wybiegła na środek ulicy.

— Nie umiem bez ciebie żyć! — krzyknęła.

Mark był jakieś dziesięć metrów od niej. Słyszając Nicole, niczym ogłuszony bokser zatrzymał się i odwrócił do niej. Bezradnie rozłożył ręce i znikł za rogiem.

# Ktoś podobny do mnie

*Życie jest koliaż z pereł.*

**Björk**

*Dziewczyna, która igrała z ogniem.*

**Tytuł powieści Stiega Larssona**

Doktor Connor McCoy miał gabinet w jednym ze szklanych wieżowców prestiżowego Time Warner Center, z zachodniej strony Central Parku.

Był z niego bardzo dumny. Urządził go w taki sposób, żeby pacjenci czuli się w nim dobrze i mieli wrażenie, iż są u najlepszego specjalisty. Dzięki poczcie pantoflowej jego renoma była coraz większa i nie zaszkodziła jej nawet krytyka praktykowanych przez niego nietypowych metod leczenia, które nie wszyscy jego koledzy po fachu popierali.

W ten wigilijny wieczór Connor wciąż jeszcze siedział w gabinecie, studiując historię choroby jednego z pacjentów. Ziewnął i rzucił okiem na zegarek.

Wpół do pierwszej w nocy.

Ale przecież i tak nie miał do kogo wracać. Connor żył tylko dla swojej pracy. Nie miał ani żony, ani rodziny. Swoją pierwszą kancelarię założył do spółki z Markiem Hathawayem, przyjacielem z dzieciństwa, z którym dzielili zamiłowanie do psychologii. Obydwaj wychowali się w biednej dzielnicy Chicago. Zetknęli się wówczas z bliską z cierpieniem i postanowili poświęcić kariery i energię na wynalezienie nowych metod terapii. Błyskawicznie osiągnęli sukces, któremu kres położyła jednak tragedia w rodzinie Marka. Connor pomagał mu, jak mógł, i wraz z nim zaczął szukać córki, gdy policja zrezygnowała z dalszego śledztwa. Ale to nie wystarczyło, Mark zagrożony w smutku znikł. Ucieczka współnika załamała Connora. Nie tylko stracił najlepszego przyjaciela, ale równocześnie poniósł największą zawodową porażkę.

Aby odegnąć te smutne wspomnienia, Connor wstał z fotela i nalał sobie trochę whisky.

— Wesołych świąt! — rzucił, unosząc szklaneczkę w kierunku swego odbicia w lustrze.

Pokój zalewało nierealne światło wpadające przez szklane ściany. Widok na park przyprawiał o zawrót głowy. Pomieszczenie było pozbawione zbędnych ozdób, wystrój miało prosty. Stojące na metalowej półce dwie rzeźby Giacomettiego wydawały się unosić w powietrzu, a jednobarwny obraz Roberta Rymana na ścianie był zagadką dla tych, którzy postrzegali w nim jedynie biały kwadrat. Connora od zawsze fascynowała delikatna gra światła na białym płótnie.

Dostrzec niewidzialne, przejrzeć na wylot pozory...

W tym leżało sedno jego zawodu.

Ze szklanką whisky w dłoni lekarz przyjrzał się dokładnie kilku zdjęciom widocznym na ekranie laptopa.

Były to wyniki tomografii komputerowej mózgu jednego z pacjentów. Oglądanie skanów mózgu zawsze go fascynowało.

Cierpieć, kochać, być nieszczęśliwym: wszystkie te uczucia rodziły się tam, w zwojach naszego mózgu, wśród miliardów neuronów. Pożądanie, pamięć, strach, agresja, myślenie logiczne, sen, wszystkie te stany zależały częściowo od różnych substancji chemicznych wydzielanych przez organizm, od neuroprzekazników, które podają informacje od jednego neuronu do drugiego. Pasją Connora były ostatnie odkrycia z dziedziny neurologii, w ten sposób stał się jednym z pionierów analizy biologicznych przyczyn depresji. Prace, w których brał udział, wykazały na przykład, że osobnik mający krótszą formę białka przekaznikowego predysponowany jest do depresji czy samobójstwa. Tak więc okazuje się, że ludzie nie rodzą się jednakowo odporni na przeciwności losu.

Ale Connor nie umiał zaakceptować tego genetycznego determinizmu. Był przekonany, że psychika i biologia są nierozłącznie związane, i dlatego zawsze bardzo zależało mu na kształceniu się w obydwu domenach, psychologii i neurologii. To oczywiste, że nie możemy się pozbyć naszego dziedzictwa genetycznego, ale w ciągu życia, reagując inaczej na bodźce emocjonalne, możemy zmienić reakcje naszego mózgu. Takie było credo Connora: nic jest do końca zdefiniowane.

Wychylił szklaneczkę whisky, włożył płaszcz i wyszedł z gabinetu.

W budynku był pięciogwiazdkowy hotel, a także kilka restauracji i klub jazzowy. Ze wszystkich pięter dochodziły do niego odgłosy bawiących się ludzi, jeszcze bardziej podkreślając jego samotność.



Wszedł do windy i zjrzał do teczki, żeby sprawdzić, czy nie zapomniał jakiegoś ważnego dokumentu. Następnego dnia zamierzał pracować w domu. Za dwa dni miał zorganizować sesję grupowej psychoanalizy, a ten rodzaj terapii wymagał doskonałego przygotowania.

Winda zjechała na parking, do którego wejście chronione było za pomocą systemu skanującego siatkówkę oka. Connor wykonał żądane czynności i ruszył w kierunku swego sportowego samochodu, srebrnego błyszczącego astona martina. Nacisnął na kluczyk i auto otworzyło się automatycznie. Connor poczuł przyjemny zapach skórzanej tapicerki. Rzucił teczkę na miejsce dla pasażera i wyjechał z garażu na Columbus Circle. Śnieg wciąż padał grubymi płatkami i było ślisko. Connor wjechał na Avenue of the Americas w kierunku Tribeki.

Radio w samochodzie nadawało elektroniczną muzykę zespołu Radiohead, wysyłającą słuchającego prosto w niepewną przyszłość, w której ludzie, po przegraniu wszystkich wojen, przestali istnieć. Muzyka ta doskonale pasowała do nastroju, w którym od dłuższego czasu znajdował się Connor, czyli do bardzo złego samopoczucia.

Na skrzyżowaniu z Broadwayem spróbował w ryzykowny sposób przyspieszyć i o mało co nie wypadł z drogi. Coraz częściej zdarzało mu się świadomie przekraczać granice bezpieczeństwa. Przypominało mu to o tym, że żyje.

Przy wjeździe do Greenwich Village zatrzymał się na czerwonym świetle. Uchwyciwszy kurczowo kierownicę, na chwilę zamknął oczy. Muszę wziąć się w garść! — pomyślał. Do tej pory wydawało mu się, że wykonywany zawód pozwala zwyciężyć dawne strachy. Nawet napisał książkę zatytułowaną *Przeżyć*. Opisał w niej historię, która

mu się przydarzyła, podając sposoby wyjścia z podobnego psychicznego zamętu. Ale zniknięcie Marka wszystko przekreśliło i Connora ogarnęła jeszcze większa rozpacz. Samotność, która go dopadła, była niszcząca. Męczyło go ciągłe poczucie winy.

Przetarł oczy. Dźwięk telefonu komórkowego wyrwał go z otępienia. Wyjął aparat z kieszeni i popatrzył na ekran:

Nicole Hathaway

Nicole? Prawie nie rozmawiali ze sobą od chwili, gdy zaczęła się spotykać z Erikiem, tym adwokatem. Co to był za idiota... Serce Connora zaczęło bić szybciej. A może jakieś nowiny o Marku? Trudno było w to uwierzyć, jednak podekscytowany właśnie zamierzał odebrać, gdy...

— Cholera!

Drzwi od strony pasażera otworzyły się gwałtownie i jakaś ręka chwyciła jego skórzaną torbę. Nie zastanawiając się długo, Connor wyskoczył z samochodu i rzucił się w pościg za złodziejem czy raczej złodziejką. Mimo padającego śniegu widział długie włosy dziewczyny przyciskającej do piersi swoją zdobycz. Biegł coraz szybciej, z każdym krokiem bardziej narażając się na to, że się poślizgnie na zaśnieżonym chodniku i upadnie. Prawie ją doganiał, gdy nagle ona rzuciła się na jezdnię między przejeżdżające samochody i przebiegła na drugą stronę.

— Wstrętna gówniara! — zaklął Connor i nie bacząc na ryzyko wpadnięcia pod jadący samochód, pobiegł za nią. Za nic na świecie nie chciał stracić dokumentów, które miał w teczce. Dotyczyły intymnych szczegółów z życia jego pacjentów.

Biegł teraz rytmicznie, coraz bardziej zbliżając się do złodziejki. Kiedy zorientował się, że ona już ledwo dyszy ze zmęczenia, skoczył i ją przewrócił. Leżała teraz unieruchomiona, z twarzą w śniegu i ręką wygiętą do tyłu.

— Oddawaj! — ryknął Connor, wrywając jej torbę, po czym powoli się podniósł, nie puszczając wykręconego ramienia dziewczyny, którą zmusił do wstania razem z nim.

— Puszczaj! — krzyknęła dziewczyna, wrywając się gwałtownie.

Głuchy na jej żądania, Connor pociągnął ją za sobą kilka metrów w kierunku latarni. Dopiero tutaj zobaczył ją wyraźnie. Miała około piętnastu lat, była delikatnej budowy, szczupła. Bładość jej twarzy kontrastowała z czernią długich włosów, miejscami brzydko rozjaśnionych. Rozjaśnione pasma były czerwonawe. Zniszczone palto zakrywało minispódniczkę, spod której wystawały nałożone jedno na drugie rajstopy z popuszczanymi oczkami.

— Puść! — usłyszał powtórna prośbę.

Connor w odpowiedzi ścisnął ją jeszcze mocniej. Co robiła ta młoda dziewczyna sama w środku nocy w wieczór wigilijny?

— Jak się nazywasz? — spytał.

— Odpieprz się! — wykrzyknęła w odpowiedzi.

— Skoro tak, to pójdziesz ze mną na posterunek policji.

— Wieprz!

Dziewczyna zaczęła się szarpać i z kieszeni wypadł jej portfel. Connor szybko podniósł go z ziemi. Na jakiejś legitymacji przeczytał:

Evie Harper

Urodzona 3 września 1991 roku

- Co robisz na ulicy o drugiej w nocy, Evie?
- Niech mi pan odda portfel! Nie ma pan prawa!
- Na twoim miejscu w ogóle nie wspominałbym o prawie — zauważył Connor.

Puścił ją. Odeszła parę metrów, ale nie uciekała. Patrzyła na niego prowokująco.

Connor przyjrzał się dziewczynie. Drżała z zimna. Oczy miała mocno podkreślone czarną kredką, lecz pod tym makijażem, który nadawał jej wygląd wampirzycy, łatwo było odgadnąć przestraszone spojrzenie dziecka, niepozabawione jednak determinacji.

- Chodź, odwiozę cię do rodziców — rzekł Connor.
- Nie mam rodziców! — dziewczynka cofnęła się o parę kroków.
- No to gdzie mieszkasz? W jakimś ośrodku? Masz może prawnych opiekunów?
- Odpieprz się!
- Powtarzasz się! — westchnął lekarz. — To wszystko, czego cię nauczyci w szkole?

Mimo irytacji współczuł dziewczynie. Przypominała mu kogoś, choć nie bardzo wiedział kogo. Wiedział również, że cierpiała i że to cierpienie zabijało wszystkie inne uczucia.

- Czy potrzebujesz pieniędzy?

Dziewczyna milczała. Jej oczy wciąż zdradzały panikę, mimo że bardzo starała się to ukryć.

- To narkotyki, tak? Potrzebujesz swojej dawki? Brakuje ci działki?
- Niejestem żadną narkomanką! — oburzyła się Evie.
- Chodzisz gdzieś do szkoły?
- Co cię to obchodzi?

Connor podszedł do Evie i zrobił wysiłek, aby porozmawiać z nią spokojnie.

— Posłuchaj, jestem lekarzem. Mógłbym ci pomóc znaleźć jakiś nocleg — zaproponował.

— Chcesz mnie uratować, tak?

— Chcę ci pomóc.

— Nie potrzebuję twojej pomocy!

— A czego potrzebujesz?

— Forsy, to wszystko!

— Forsy? Na co?

— Cholera, jesteś policjantem czy co?!

Connor otworzył portmonek Evie zamykaną na rzepy i zajrzał do środka. Pusto. Żadnego banknotu ani nawet drobnych. Wsadził na miejsce legitymację i oddał cały portfel dziewczynie, która prawie wyrwała mu go z dłoni.

— Może chcesz zjeść coś ciepłego? — zaproponował.

— W zamian za co?

— Za darmo, Evie, za darmo. — Connor potrząsnął głową.

Teraz dziewczyna patrzyła na niego nieufnie. Życie ją nauczyło nie ufać mężczyznom, nawet takim, którzy wyglądali przyzwoicie.

— A dlaczego chcesz mi pomóc?

— Bo mi kogoś przypominasz.

Dziewczyna jakby się wahała.

— Idę. Nie potrzebuję twojego jedzenia — powiedziała w końcu.

Ale Connor się uparł.

— Posłuchaj, kawałek dalej, na Czternastej Ulicy, jest kawiarnia. U Alberta, czy coś w tym rodzaju. Znasz to miejsce?

Evie przytaknęła niechętnie.

— Ja wracam do samochodu. Podjadę tam, żeby coś

zjeść. Alberto w Nowym Jorku to mistrz hamburgerów. Nie ma nic wspólnego z McDonalodem, zobaczysz.

— Nic nie zobaczę.

— No, ja w każdym razie tam jadę. Jeśli za dziesięć minut przyjdzie ci ochota na krwistego hamburgera z cebulką, cienkimi plasterkami kiszzonego ogórka i podsmażanymi ziemniakami, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Nie spiesząc się, poszedł środkiem chodnika w kierunku samochodu. Po jakichś dwudziestu metrach odwrócił się. Światła latarni odbijały się srebrem w spadających z nieba płatkach śniegu, co nadawało ulicy bajkowy wygląd. Evie, jakby skamieniała z zimna, stała wciąż w tym samym miejscu. Znow uderzyła Connora jej delikatna postać i ta śmiertelna bladość. Wyglądała, jakby zaraz miała umrzeć.

— Nie przyjdę tam! — rzuciła agresywnie.

— Twoja decyzja — warknął Connor.

Minął niecały kwadrans i Evie siedziała przy kontuarze w kawiarni, z apetytem zając hamburgera, tak jak ktoś, kto nie jadł od co najmniej dwóch dni.

Była to jadłodajnia z dawnych czasów, w której unosił się przyjemny zapach New Jersey. Miała ławki ze zniszczonego skaju, a wszystkie metalowe przedmioty były ładnie spatynowane starością. Na ścianie za kasą wisiała kolekcja kartek pocztowych z pozdrowieniami, żeby każdy uwierzył, iż Jack Nicholson, Bruce Springsteen czy Scarlett Johansson niedawno odwiedzili to miejsce. W głębi zawodziło radio. Jakiś stary kawałek Claptona dla niewielu samotnych gości.

Stojąc na ulicy, Connor palił papierosa i przyglądał się przez szybę dziewczynie, jakby chciał przejrzeć na wylot

jej duszę. Evie zwinęła płaszcz w kulkę i położyła go koło siebie na ławce. Rozpięta kamizelka ukazywała T-shirt z wielkim sloganem „Kabaliści robią to lepiej”. Na szyi wisiały na srebrnym łańcuszku odwrócony krzyż i pięcioramienna gwiazda. Tak łapczywie jadła hamburgera, że cała umazała się sosem pomidorowym. Gdy próbowała oczyścić sobie usta papierową serwetką, Connor zauważył, że nadgarstki miała oklejone plastrem. Zauważył również ślady samookaleczeń po wewnętrznej stronie przedramion. Eufemizmem było stwierdzić, że dziewczynie wiodło się nie najlepiej. Emanowały z niej bunt i determinacja, czuć było jednocześnie, że ciągnie już ostatkiem sił. Connor potrafił przejrzeć ludzi na wylot, mieli tę cechę wspólną z Markiem od czasów, kiedy byli młodzi.

Mark...

Na myśl o przyjacielu Connorowi zwilgotniały oczy. W dzieciństwie przyrzekli sobie, że zawsze będą mogli na siebie liczyć. Przez wszystkie minione lata razem stawiali czoło ciosom, których życie im nie oszczędziło. Ale zniknięcie Layli położyło kres dotychczasowej rzeczywistości i tym postanowieniom.

Connor zaciągnął się papierosem po raz ostatni i rzucił niedopałek w śnieg. W ten wigilijny wieczór czuł się, jakby dźwigał na ramionach całe zmęczenie świata. Co robił o trzeciej nad ranem w tym zimnie, zamiast siedzieć u siebie w domu? Nie mógł dalej tak żyć. Przecież i tak nie uda mu się uratować wszystkich. Rola świętego Franciszka była dla niego zbyt trudna. Może nadszedł czas, aby zrobić przerwę, zapomnieć o pacjentach, opuścić Manhattan i gdzieś indziej zacząć nowe życie.

Odrodzić się.

Myślenie o tej ewentualności wprowadziło go na kilka sekund w błogi nastrój. Zaraz jednak poczuł na sobie spojrzenie Evie, która patrzyła na niego przez szybę kawiarni. Podniósł głowę i po raz pierwszy ich spojrzenia się skrzyżowały. Connor zrozumiał w jednej sekundzie, że ta dziewczyna przypomina mu jego samego. Nie znał jej, ale wiedział, że cierpieli podobnie. Ona niosła swoje cierpienie jak sztandar, podczas kiedy on chował swoje pod przykrywką zawodu lekarza. Ale w rezultacie należeli do tej samej rodziny. Connor postanowił wejść do ciepłego wnętrza kawiarni. Gitara Claptona ustąpiła teraz gitarze Boba Dylana. *Shelter front the Storm*. Uciec przed burzą. Jedną z jego ulubionych piosenek, którą Dylan napisał w roku 1975 po rozwodzie z żoną Sarą. I oto kolejny dowód na to, jak doskonale wpływają cierpienia na twórcze natchnienie...

— Jaki jest ten hamburger? — spytał, siadając na ławce naprzeciw Evie.

— Niezły — odpowiedziała, wypijając łyk milkshake'a.

Connor nachylił się ku dziewczynie. Jeśli miał jej pomóc, musiał się o niej dowiedzieć czegoś więcej. Starał się, by jego słowa wzbudziły jej zaufanie.

— Powiedziałaś, że potrzebujesz pieniędzy...

— Och, odczep się — rzuciła Evie.

— Nie, nie, proszę cię, powiedz mi, na co ci one potrzebne? Chciałbym zrozumieć...

— Nie ma tu nic do rozumienia.

— No, jeśli tak się do tego odnosisz...

Connor westchnął. Dlaczego zawsze kusiło go, żeby zajmować się ludźmi wbrew ich woli? Zirytowany wstał od stołu i podszedł do baru. Zamówił piwo, nie spuszc-



czając oka z dziewczyny, która, zaniepokojona, obgryzała pomalowane na czarno paznokcie, patrząc w szybę.

Płacąc za piwo, Connor przejrzał zawartość portfela. Trzy studolarowe banknoty wyjęte niedawno z bankomatu. Żeby czuć się pewnie, musiał mieć zawsze przy sobie większą sumę gotówki. Klasyczna reakcja kogoś, kto wiedział, co to jest bieda.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Zszedł ze stołka barowego i podszedł do Evie, która zbierała swoje rzeczy.

— Zagramy w pewną grę! — oznajmił, kładąc na stole sto dolarów.

— Jak się ta gra nazywa? Przekupywanie nieletnich?

— Wydawało mi się, że zależy ci na pieniądzach...

Dziewczyna spojrzała na banknot z mieszaniną pogardy i ciekawości. Ręka Connora częściowo go zasłaniała i widać było, że brakowało mu części serdecznego palca.

— Jeśli chcesz, banknot jest twój. — Connor podsunął pieniądze w kierunku Evie. — Musisz tylko odpowiedzieć na jedno pytanie.

Evie popatrzyła na niego. Nie rozumiała, o co mu chodzi. Zawahała się. Ale w końcu podjęła decyzję.

— Dobra, pytaj.

— Na co potrzeba ci pieniędzy? — Connor spojrzał jej prosto w oczy i nie spuszczał wzroku.

Evie przysunęła dłoń do zielonego banknotu.

— Chcę kupić spluwę! — oznajmiła odważnie.

Chwyciła banknot i wsadziła go do kieszeni, patrząc prowokująco na Connora. To były najłatwiej zarobione pieniądze w jej życiu. Connor zamarł. Zmroziła go ta odpowiedź. W wyobraźni ujrzał rewolwer, usłyszał wy-

strzał i krzyki. Jakieś skrywane głęboko wspomnienie zaczęło wydobywać się na powierzchnię. Poczował się źle. Wyciągnął z kieszeni drugi banknot i położył go na stole.

— Po co ci broń?

Evie milczała. Chciała skłamać, ale czuła, że Connor na pewno w kłamstwo nie uwierzy. W pewien sposób prawda była wyjątkowa, a on ofiarowywał jej przecież za nią sto dolarów.

— Chcę zabić pewnego faceta.

Zdanie to padło jak wyrok śmierci. Przerażonemu Connorowi zakręciło się w głowie. Zebrał się w sobie.

— Dlaczego?

Tym razem Evie się nie wahała. Powiedziała już i tak zbyt wiele. Chwyliła ostatni banknot gestem gracza, który zgarnął już dużo forsy w pokerze.

— Chcę się zemścić.

Wówczas w głowie Connora zabrzmiało zdanie z przeszłości. Nieubłagana zemsta. Po plecach przebiegły mu ciarki.

— Chcesz się zemścić? Za co?

Ale Evie już włożyła płaszcz i zawiązała szalik pod brodą.

- Przykro mi, to są dwa dodatkowe pytania, a chyba nie masz już więcej pieniędzy — rzuciła.

Wpadł we własną pułapkę. Spojrzał bezsilnie na nią, jak wychodziła z restauracji.

— Zaczekaj! — zawołał, próbując ją zatrzymać.

Wybiegł na ulicę i dogonił ją. Śnieg wciąż padał. Miasto było ledwo widoczne pod ciężką szarą chmurą.

- Nie możesz tak odejść. Jest zimno, niebezpiecznie. Chodź, znajdę ci jakiś nocleg.

Evie odwróciła się do niego plecami. Nawet nie starała się odezwać. Nie wiedząc, co więcej może zrobić, Connor wsunął jej do kieszeni swoją wizytówkę.

— To na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie...

Ale wiedział, że to nie nastąpi. Tymczasem Evie, przechodząc przez ulicę, zatrzymała się na środku pasów.

— Ta osoba, którą ci przypominam, to kto? — zapytała.

Stojąc przed kawiarnią, Connor zapalił kolejnego papierosa. W powietrzu zawisł niebieskawy dym, jakby unieruchomiony przez zimno.

— To ja — rzekł.

Dziewczyna popatrzyła na niego zaskoczona. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Spojrzenia ich zetknęły się po raz ostatni i Evie ruszyła w drogę. Connor patrzył, jak znika w ciemnościach nocy. Nerwowo zaciągał się papierosem. Wkrótce stracił ją zupełnie z oczu, ale jeszcze długo stał jak ogłupiały, wpatrzony w ślady jej butów na śniegu. To jasne, że nie mógł uratować każdego. Ale jakie są szanse przeżycia piętnastolatki, zagubionej pośród zimowej nocy na wielkim Manhattanie?

# Droga przez noc

*Gdy przeglądasz się w lustrze i masz ochotę  
je stłuc, to nie lustro trzeba zniszczyć, to  
ciebie trzeba zmienić.*

Anonim

Connor zaparkował samochód na Broome Street i pieszo przeszedł dwa kwartały, które oddzielały go od domu. Tak jak w całym mieście, w Soho również sypał równo śnieg, przysłaniając neony galerii, restauracji i modnych sklepów. Connor podszedł do budynku osadzonego na stalowych rusztowaniach. Na niedawno odnowionej fasadzie paliły się setki żarówek, a na chodniku stał niedokończony bałwan ze śniegu, cierpliwie czekając na kapelusz i marchewkę lub fajkę.

— Masz chociaż to! — rzekł Connor, okręcając mu szyję swoim szalikiem.

Wszedłszy na klatkę schodową, wyjął pocztę ze skrzynki i wcisnął guzik windy, która zawiozła go na ostatnie piętro. Mieszkał w obszernym lofcie, urządzonym po spartańsku. Wewnątrz nie pachniało ani świeżym ciastem,

ani pieczonym przez wiele godzin indykiem. Nie było choinki, nie było pokoju dzieciennego. Było chłodno, martwo. Kupił to mieszkanie pięć lat wcześniej, stanowiło dla niego symbol zawodowego sukcesu, ale nigdy go tak naprawdę nie umeblował. Nadmiar pracy, komplikacje... Zwłaszcza nie było tam nikogo, z kim mógłby dzielić radości urządzania wnętrza.

Poświęcił życie na analizę ludzkich dusz, tymczasem sam był skryty i zamknięty w sobie. Podobały mu się kobiety, ale wdawał się tylko w romanse bez przyszłości. Nawet gdy wszystko szło dobrze, prędzej czy później partnerka wyrzucała mu chłód. Nie mógł przecież się tłumaczyć tym, że nie umie znaleźć w związku z kobietą intymności, która rodziła się w sposób naturalny między nim a jego pacjentem.

Zduślił ziewnięcie i otworzył lodówkę. Stała tam prawie już pusta butelka chardonnay. Nalał sobie kieliszek i wrócił do salonu. Ponieważ w mieszkaniu było zimno, wychylił jednym haustem porcję alkoholu i nalał sobie drugą. Czuł, jak ogarnia go znana mu destrukcyjna chandra. Całe życie z nią walczył, ale też musiał cały czas być czujny.

Rozwiązał krawat. Zrobił kilka kroków w kierunku wielkiego okna, wrócił i padł na kanapę. Wciąż widział oczyma wyobraźni tę dziwną dziewczynę, która prawie ukradła mu torbę. Pomyślał o rozpacz, którą ujrzał w jej spojrzeniu, i znów pożałował, że nie udało mu się jej pomóc. Głowa bolała go od odbijającego się echem w mózgu oświadczenia: „Chcę zabić jednego faceta, żeby się zemścić”.

— Nie rób tego głupstwa — szepnął, jakby dziewczyna mogła go usłyszeć. — Cokolwiek ci ten typ zrobił, nie zabijaj go.

W tym momencie zadzwonił telefon. Zmarszczył brwi. To z pewnością była Nicole. Przez to wszystko zapomniał do niej oddzwonić.

Odebrał telefon.

To nie była Nicole.

W słuchawce usłyszał przestraszony, zupełnie zmieniony głos młodej dziewczyny, która przyznawała się do zbrodni.

# Światło

*Nie doczekasz świtu,  
nie odbywszy drogi przez noc.*

Khalil Gibran

## Trzy miesiące później...

Zima skończyła się i ustąpiła miejsca wiosnie. Nad East Side pojawia się bladnoróżowy świt. Dzień z pewnością będzie słoneczny.

Niedaleko brzegów East River wznosi się kościół Notre Dame, mała budowla w hiszpańskim stylu. Z jednej jego strony stoi jakiś magazyn, z drugiej nieciekawy budynek. Parafia obejmuje również tymczasowy przytułek dla bezdomnych. Urządzony jest on bardzo skromnie — płytki podłogi są popękane, przepierzenia cienkie, problemy z kanalizacją i dopływem wody — lecz ci, którzy mieszkają na ulicy, cenią go sobie. Odwrotnie niż oficjalne przytułki miejskie, ten zapewnia dyskrecję. Bezdomni wiedzą, że nikt nie będzie ich o nic pytał i że znajdują tu pożywienie i czyste ubrania.

W znajdującej się w piwnicy sypialni leży na połowych łóżkach około dziesięciu ludzi. Na parterze, w stołówce, ci, którzy już wstali, jedzą skromne śniadanie. To prawdziwy Dziedziniec Cudów XXI wieku: przy jednym ze stołów siedzi kobieta, jeszcze młoda, ale już bezzębna, i chłepcze kawę; obok niej potężnej postury Rosjanin bez ręki niezręcznie rozdrabnia herbatnik, żeby wystarczył na dłużej; pod oknem stary wychudły Murzyn, najwyraźniej niezainteresowany jedzeniem, zwija się w kulkę w swoim śpiworze, odmawiając jakąś litanię.

Nagle drzwi otwierają się i staje w nich brodaty mężczyzna w czarnym płaszczu. Mimo że najwyraźniej nie spędził tu nocy, wygląda, jakby dobrze znał to miejsce. Od pewnego czasu regularnie się tutaj zjawia, by naładować swoją komórkę. Zamyślony przechodzi obok innych obojętnie i ciężko siada przy kontakcie w ścianie, w który włącza przewód od srebrnego aparatu. Mark Hathaway nie widział się z żoną od Wigilii. Teraz już nie przypomina niczym tamtego Marka. Włosy ma w nieładzie, wzrok martwy, twarz brudną. Dawno opuścił świat żywych. Dni mijają mu w ciągłej mgle, jest to jego ostatni etap.

„Masz wiadomość” — oznajmia mu tymczasem aparat.

Nagrany głos nie wzrusza go specjalnie, aż do chwili gdy słyszy głos swojej żony: „Mark? To ja”. Mimo otępienia jest w stanie zrozumieć, że jego żona szlocha.

„Zadzwoń do mnie, proszę cię, to bardzo pilne!” — mówi głos i dodaje po krótkiej przerwie: — „Muszę ci coś powiedzieć”.

Mark jest pewien, że Nicole oznajmi mu, iż znaleziono ciało ich córki. Przed oczyma pojawia mu się przerażający obraz: jakiś potwór, wielkie zwierzę, mała dziewczynka krzycząca ze strachu, noc...



„Miałeś rację...” — Mark wstrzymuje oddech. Serce wali mu w skroniach.

„Miałeś rację!” — powtarza Nicole i znów przerywa. Tym razem Mark już nic nie rozumie. — „Znaleźli ją!” — ciągnie jego żona. Mark zamyka oczy i stara się powiedzieć parę słów modlitwy, nie za bardzo wiedząc do kogo.

„Ona żyje, Mark!”.

Fala gorąca przepływa przez całe jego ciało. Mark zaczyna płakać.

„Mark, Layla żyje!” — powtarza głos Nicole w telefonie.

# Layla żyje

*Kochać znaczy zaopiekować się czyjąś samotnością i nie starać się ani jej zburzyć, ani nawet poznać.*

Christian Bobin

Mark nawet nie starał się wysłuchać tej wiadomości jeszcze raz. Layla żyje! Minutę wcześniej był umierający, teraz zaś czuł się odrodzony, nowina zupełnie go zelektryzowała. Wszedł z przytułku i pobiegł wzdłuż Stanton Street do Little Italy. Usiłował złapać taksówkę, ale żaden szofer nie chciał go wziąć. Tak czy inaczej nie miał ani grosza w kieszeni. Trudno, pojedzie na gapę metrem aż do Brooklynu.

W wagonie metra zwałił się bez sił na siedzenie. Nie mógł oddychać, widział wszystko zamazane, ale nie wolno mu było się teraz poddać. Musiał się uspokoić, dojść do siebie. Nawet jeśli głowa mu pękała, a serce biło z szybkością stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę.

Uspokój się. Musisz stać się tym, kim byłeś przedtem. Zrób to dla Layli. Ona żyje. Zawsze byłeś o tym przekonany. Nie wiedziałeś dokładnie dlaczego, ale tak było.

Zamknął oczy. Starał się opanować.

To dlatego nigdy nie zdecydowałeś się na ostatni krok. Żeby być obecnym w chwili, gdy ją odnajdą. Teraz będziesz musiał jej pomóc. Musisz być silny. Dla niej.

Długi czas siedział bez ruchu, otwierając oczy tylko po to, żeby sprawdzić, na którą stację wjeżdża metro. Nagle z zamętu panującego w jego mózgu coś się wyłoniło, bardziej przez intuicję niż w wyniku logicznego myślenia.

Data! Sprawdź datę!

Na jednym z siedzeń naprzeciw niego leżało poranne wydanie „New York Post”. Wziął je i nerwowo sprawdził datę: sobota, 24 marca 2007 roku. Wiadomość, którą zostawiła mu Nicole w telefonie, była wiadomością z poprzedniego wieczoru. A więc Layla została odnaleziona wczoraj, 23 marca 2007 roku. Sama w sobie data ta nie oznaczała nic specjalnego, ale dla niego była jak wypalona gorącym żelazem w sercu i w mózgu. Layla bowiem znikła 23 marca 2002 roku. Dokładnie pięć lat wcześniej.

\*

Mark zjawił się na małej spokojnej uliczce Brooklynu, na której stał obecnie obcy mu budynek, kiedyś będący jego domem. Na chodniku zauważył samochód policyjny stojący w miejscu, gdzie nie wolno było parkować. Dwoma susami pokonał schodki ganku i zapukał do drzwi, zapominając o dzwonku. Po chwili w otwartych drzwiach stanęła Nicole. Jej spojrzenie mówiło o wszystkim: o bolesnej nieobecności, o tym, jak silne jest prawdziwe przywiązanie... Padli sobie w ramiona. Uścisk przerwało przybycie agenta FBI, który stanął za plecami Nicole.

— Dzień dobry, doktorze Hathaway — rzekł policjant,

pokazując swoją odznakę. — Frank Marshall, oddział FBI w Kalifornii, myślę, że przypomina mnie pan sobie.

Mark popatrzył na niego. Nicole musiała go uprzedzić, ponieważ nie zdziwił się na widok kloszarda. Miał solidny wygląd Eda Harrisa: był krępy, włosy miał obcięte na jeża, wyraz twarzy przychylny. To on prowadził śledztwo w sprawie zniknięcia Layli.

— Gdzie ona jest?! — spytał Mark. — Gdzie jest Layla?!

Nicole otworzyła usta, ale Marshall odpowiedział za nią:

— Trzeba być ostrożnym, doktorze Hathaway — uprzedził go, idąc w kierunku laptopa leżącego na stole w salonie. — Na razie nie jesteśmy w stu procentach pewni, że chodzi o pana córkę. Dopiero powie nam coś na ten temat analiza DNA, która jest w toku.

Marshall nacisnął klawisz i na ekranie pojawiła się twarz dziewczynki.

— To zdjęcie zostało zrobione wczoraj wieczorem, kilka godzin po tym, jak została odnaleziona.

Mark nachylił się ku ekranowi.

— To jest Layla! To nasza córka! — stwierdził zdecydowanie.

— Mam nadzieję, że to ona — powiedział Marshall.

— Chcę ją zobaczyć!

— Nie ma jej w Nowym Jorku, doktorze.

— A gdzie jest? — spytał Mark, podchodząc do Marshalla.

— W Los Angeles. W Saint Francis Memorial Hospital.

— Jak ona się czuje?

— Trudno powiedzieć. Lekarze ją badają. Jeszcze za wcześnie, żeby...

— Została pobita? Zgwałcona?

- Naprawdę nie wiemy.
- Jak to nie wiecie! — wybuchł Mark.

Zbliżył się do policjanta tak, że prawie go dotykał ciałem, i patrzył na niego groźnie.

— Panie doktorze, niech się pan uspokoi. — Marshall cofnął się odruchowo. — Powiem panu wszystko po kolei, tak jak pana żonie.

Nicole zaciągnęła ich do kuchni i przygotowała kawę. Mężczyźni usiedli obok siebie i Marshall wyciągnął z kieszeni notes. Chciał być pewien, że nie pominie żadnej informacji.

— Wczoraj po południu, około siedemnastej, znaleziono błąkającą się w jednym z pasaży centrum handlowego Sun Shine Plaza w hrabstwie Orange County, pod Los Angeles, dziesięcioletnią dziewczynkę.

Mark objął głowę rękami.

— Wiek, wygląd, znamię, z którym się urodziła, blizna na brodzie, wszystko wskazuje, że chodzi o waszą córkę — ciągnął Marshall.

— To w tym centrum handlowym... — zaczął Mark cicho.

— To w tym centrum ona zniknęła, dokładnie pięć lat temu, co do dnia! — dokończył za niego Marshall.

Na twarzy Marka pojawił się wyraz niedowierzania.

— A więc pojawiła się z powrotem dokładnie o tej samej godzinie, o której zniknęła, i w tym samym miejscu... tyle że pięć lat później.

— Zgadzam się z panem, że to nie może być przypadek.

— A co ona mówi?

— W tym właśnie problem, doktorze, ona nic nie mówi. Mark zmarszczył brwi.

— Dotąd nie powiedziała ani słowa, ani do nas, ani do lekarzy, którzy zajmują się nią od wczorajszego wieczoru — powiedział Frank.

Może cierpi na całkowity zanik mowy? — zastanowił się Mark, reagując tym razem jak psycholog. Wiele razy zdarzyło mu się leczyć dzieci cierpiące na mutyzm funkcjonalny. Zniecierpliwiał się.

— Dość tego gadania! Lecę do Los Angeles, po Laylę — oznajmił, wstając.

— Zarezerwowaliśmy dla państwa miejsce na dziś lub jutro - - powiedział Frank, również wstając. — Proszę tylko powiedzieć, kiedy będziecie gotowi, odwieziemy was na lotnisko.

— Jesteśmy gotowi! — rzekł Mark. — Nie ma sensu zwlekać.

W pokoju zapadła nieprzyjemna cisza, po czym odezwała się Nicole.

— Nie!

Mark popatrzył na nią z niedowierzaniem.

Nicole za całą odpowiedź wskazała palcem w kierunku szyby, w której odbijała się sylwetka Marka. Mark popatrzył na szybę. Zobaczył obcego, brudnego mężczyznę, z włosami zwisającymi w tłustych strąkach i z nastroszoną brodą. Miał spuchniętą twarz, oczy nabiegłe krwią. Można się było go przestraszyć.

— Chyba nie chcesz, żeby twoja córka zobaczyła cię w takim stanie? — spytała Nicole.

Mark opuścił głowę zawstydzony.

— Całe szczęście, że inni moi klienci nie zachowują się tak jak pan! — wymamrotał pod nosem Jo Callahan,

jeden z ostatnich właścicieli tradycyjnych męskich zakładów fryzjerskich w Brooklynie. — Dwuletnia przerwa w stryżeniu włosów jest doprawdy czymś nierozsądnym, doktorze Hathaway! A już nie mówię o brodzie.

Stary fryzjer potrzebował całej godziny, żeby uporać się z tym zadaniem. Na koniec, zgodnie ze zwyczajem, przystawił owalne lustro z tyłu głowy klienta, żeby ten mógł podziwiać nowe uczesanie.

— Teraz już nie będę tak długo zwlekał z wizytą u pana — obiecał wdzięczny Mark. Z włosami krótszymi o dziesięć centymetrów i świeżo ogolony z trudnością poznawał siebie samego.

Wyszedłszy od fryzjera, zajął jeszcze na chwilę do bardzo eleganckiego sklepu na Park Slope, który zwykł odwiedzać, gdy był jeszcze młodym ambitnym psychologiem. Płócienne spodnie, dobrze skrojona marynarka, modne polo z krokodylkiem wyszytym srebrną nitką... Oczywiście, że „szata zdoła człowieka”. Kilka godzin wcześniej był wyrzutkiem społecznym, który spał w jakiejś opuszczonej pakamerze, a teraz, wymyty, skropiony wodą kolońską i w czystym ubraniu, znów wyglądał na dobrze sytuowanego mężczyznę. Do domu wrócił pieszo. Przed drzwiami nie stał już radiowóz. Do diaska z wami! — pomyślał o policjantach. Miał zadzwonić, gdy przypomniał sobie, że Nicole dała mu jego klucze. Otworzył drzwi. Korytarzem przeszedł do salonu. Okna były otwarte. Pokój tonął w wiosennym świetle i w powietrzu unosił się aromat bergamoty i kwiatów pomarańczy. Muzyka Keitha Jarretta sącząca się z wieży stereo zalewała pokój deszczem kryształowych dźwięków. *The Koln Concert*: apoteoza Jarretta, najpiękniejszy zaimprovizowany koncert wszech czasów, podobał się nawet tym, którzy

nie lubili jazzu. Mark poczuł wzruszenie. Płyta ta miała dla niego wartość sentymentalną. Dostał ją w prezencie od Nicole na początku znajomości.

— Nicole! — zawołał żonę.

Cisza. Pewnie jest na górze.

Pokonując schody po dwa stopnie, wbiegł na piętro.

— Nicole?

Otworzył drzwi do łazienki. Pusto. Stał na progu sypialni. Na drzwiach przypięta pineską wisiała kartka pocztowa przedstawiająca dwie objęte sylwetki odcinające się od tła, lekkiego jak mgła prześcieradła. Mark od razu rozpoznał *La Valse*, rzeźbę Camille Claudel, którą wspólnie podziwiali w Muzeum Rodina podczas pierwszej podróży do Paryża... Muzyka Jarretta, teraz ta rzeźba... Jakby dwa cukierki zostawione przez Nicole, każące mu myśleć o przeszłości. Ale gdzie jest jego żona? Bezradnie odczepił kartkę i przeczytał tekst z drugiej strony:

*Najdroższy Marku,  
nie niepokój się o mnie. Wszystko jest w porządku,  
tyle że nie jestem w stanie pojechać z tobą teraz do  
Los Angeles. Nie myśl, że nie chcę. Pragnę znów być  
z tobą i z naszą córką. Ale to jest niemożliwe. Tę  
podróż musisz odbyć sam. Przepraszam cię, że nie  
mogę powiedzieć nic więcej. Później to zrozumiesz.  
Cokolwiek się stanie, wiedz, że zawsze cię kochałam  
i zawsze będę kochać.*

*Nicole*



# 7

## Made in heaven

*Gdy nadchodził, bałam się.*

*W miarę jak się zbliżał, bałam się coraz mniej.*

Emily Dickinson

### **Dwanaście godzin później**

#### **Los Angeles**

#### **Saint Francis Memorial Hospital**

Winda bardzo długo jechała do góry. Stojący w niej Mark Hathaway i Frank Marshall patrzyli na siebie jak dwa porcelanowe psy. Zanim winda dotarła na miejsce, przedstawiciel FBI postanowił zadać Markowi pytanie, które od początku cisnęło mu się na usta:

— Nie wydaje się panu dziwne, że żona nie przyjechała z panem?

Mark nie odpowiedział od razu. Franka opanowało nieprzyjemne uczucie, że mówi w pustkę.

— Przecież jednak córka, o której myślała, że nie żyje... — drażył temat Frank.

— O co panu chodzi?! — przerwał mu zirytowany Mark.

Na twarzy policjanta pojawiło się wahanie.

— Jeśli wie pan coś, czego my nie wiemy o pańskiej małżonce — powiedział wreszcie — jeśli ma pan jakieś podejrzenia, musi pan nam to powiedzieć. O to mi chodzi.

Ale Mark nadal milczał, nawet ostentacyjnie odwrócił się plecami do policjanta. Postanowił zapomnieć o dziwnej kartce, którą zostawiła mu żona i o której nie wiedział, co myśleć. Na razie chciał skupić się na córce. Zobaczy ją już za kilka minut. Nic innego się nie liczyło. Wszystko poza tym było nieważne.

- Jeszcze jedno — dorzucił Frank. — Dla dobra śledztwa FBI postanowiło, aby wiadomość o odnalezieniu pańskiej córki pozostała tajemnicą. Nie zawiadomiliśmy gazet i dobrze by było, aby dziennikarze na razie nic o tym nie wiedzieli.

— Dlaczego?

— Mamy ku temu powody — ostrożnie odpowiedział policjant.

— Oczywiście nie zamierza mi pan nic wyjaśnić! — zaatakował go Mark. — Wciąż ta obsesja trzymania wszystkiego w tajemnicy. Ale ja się nie zgadzam! Nie ma pan prawa mi rozkazywać!

Frank, poirytowany zachowaniem Marka, nacisnął guzik alarmu, blokując windę między piętrami. Postanowił wyjaśnić sytuację.

- Żeby sprawa była jasna, Hathaway: pozwolę panu zabrać Laylę do Nowego Jorku tylko wtedy, gdy zgodzi się pan na moje warunki.

— Mam pana w dupie. Włącz pan tę windę z powrotem.

— Przed wszystkim pańską córkę ma codziennie badać nasz psycholog. Kiedy zacznie mówić, my pierwsi będziemy z nią rozmawiać.

To już było dla Marka za wiele. Złapał policjanta za kołnier i rozpłaszczyl go na lustrze windy tak gwałtownie, że dźwig się zachybotał.

— Psychologiem to ja jestem, zrozumiano?! Mojej córki nie będzie oglądał nikt poza mną. Jestem specjalistą od tego typu wypadków, jestem najlepszy w swojej dziedzinie.

Frank nie szarpał się, zauważył tylko:

— Być może był pan najlepszy w swojej dziedzinie, ale teraz jest pan już tylko kłębkim nerwów, człowiekiem gwałtownym i impulsywnym, którego domem przez dwa lata była ulica. Nie jest pan idealną osobą, aby zajmować się dzieckiem w stanie szoku, chyba się pan ze mną zgodzi.

Mark rozluźnił uścisk, ale nie przestał przyciskać Franka do lustra.

— Nie byliście nawet w stanie odnaleźć Layli. Jeśli dziś się znalazła, to nie dzięki wam. Więc odczepcie się ode mnie. Teraz ja się zajmę córką. Wasze śledztwo jest zakończone.

Puścił policjanta i nacisnął guzik, aby winda ruszyła.

Frank poprawił kołnierzyk koszuli.

— Śledztwo będzie trwało, dopóki nie znajdziemy porywacza pańskiej córki — oznajmił spokojnie.

\*

Drzwi windy rozsunęły się i Mark znalazł się w długim oszklonym korytarzu, o którego szyby okienne uderzał deszcz i wiatr. Noc już zapadła i Miasto Aniołów rozświetliło się po sam horyzont. Mark, idąc według otrzymanych wskazówek, patrzył na numery pokoi. Pokój Layli znajdował się na samym końcu korytarza. Zauważył

te drzwi, gdy był od nich oddalony około czterdziestu metrów.

Pokój numer 466.

Czterdzieści metrów.

Szpitalne hałasy, przechodzące korytarzem pielęgniarki i lekarze, tego wszystkiego Mark nie słyszał. Poruszał się jak w próżni, powoli. Czuł się jak nurek schodzący pod wodę na jednym oddechu. Był niecierpliwy, lecz jednocześnie onieśmielony. Żeby dodać sobie odwagi, analizował w myśli wszystkie możliwe hipotezy: być może córka go nie pozna albo okaże się wobec niego agresywna, albo on nie będzie umiał zmusić jej do mówienia, albo...

Trzydzieści metrów.

Czas ciągnął się w nieskończoność. Dlaczego tak się bał? Przecież to on miał rację. Od pięciu lat wbrew wszystkim mobilizował siły, aby nie przyjąć do wiadomości hipotezy o śmierci córki. Walczyć należy umysłem, a nie pięściami. Zasadę tę przyjęli wraz z Connorem jeszcze w dzieciństwie, kiedy mieszkali w biednej dzielnicy w Chicago. To przekonanie pchnęło ich do wyboru zawodu. A kiedy ból staje się zbyt silny, kiedy człowiek już nie jest w stanie się bronić, trzeba zwinąć się w kłębek i przeczekać burzę. Zawsze przychodzi chwila, w której wróg, zmęczony, przestaje uderzać. Moment, w którym wreszcie na horyzoncie ukazuje się perspektywa ratunku z opresji.

Dwadzieścia metrów.

Im bardziej zbliżał się do drzwi pokoju córki, tym bardziej czuł na sobie ciężar cierpień, przez które przeszedł w ostatnich latach. Pięć lat spędzonych w pustce pełnej bólu, pięć lat przeżytych w świadomości cierpień, zadawanych córce, przed którymi nie mógł jej uchronić.

Ciężko jest, gdy można zareagować na zadane dziecku cierpienie jedynie swym własnym cierpieniem, ciężko żyć, wiedząc, że tylko cierpienie łączy go z córką.

Dziesięć metrów.

Jeszcze kilka kroków i koszmar się skończy. Na razie trudno mu było w to uwierzyć. Tymczasem drzwi pokoju uchyliły się, zanim do nich podszedł. Najpierw zauważył aureolę z kręconych włosów nad zbyt obszerną różową piżamą. Potem dziewczynka prowadzona przez pielęgniarkę uniosła głowę i spojrzała na niego.

To ona! Urosła, rzecz jasna, ale jemu wydała się maleńka i bardzo delikatna. W klatce piersiowej poczuł szok, jakby od wybuchu granatu, ale nie chciał przestraszyć dziecka i pohamował ochotę rzucenia się biegiem w kierunku córki. Zadowolili się nieśmiałym kiwnięciem ręką. Przebiegły go ciarki.

Laylo, nie odchodź, nie odchodź!

Dziewczynka stała. Mark pokonał strach i spojrzał jej w oczy. Od chwili, gdy zaginęła, minęło tysiąc osiemset dwadzieścia osiem dni. Mark oczekiwał, że zobaczy stworzenie oszołomione i zdezorientowane, ale w oczach, w które spojrzał, nie zauważył ani strachu, ani cierpienia. Przeciwnie, dziewczynka wydawała się spokojna, zrównoważona. Co więcej, nagle jakby uśmiechnęła się, puściła dłoń pielęgniarki i podbiegła do niego. Mark pochylił się i objął ją.

— Już wszystko jest dobrze, kochanie — powiedział.

Przycisnął ją do siebie i ogarnęło go uczucie nieskończonej wdzięczności. Było ono o wiele mocniejsze niż to, które poczuł, kiedy córka się urodziła.

— Już koniec, koniec — szepnęła jej do ucha. — Wreszcie koniec.

Żeby podkreślić znaczenie tego stwierdzenia, zaczął grzebać w torbie, z której wyjął małego pluszowego królika. Pamiętał, żeby wziąć ze sobą tę zabawkę.

— Przywiozłem ci twojego króliczka, pamiętasz go? Zawsze z nim zasypiałaś.

Dziewczynka złapała króliczka i przycisnęła do piersi.

— Wreszcie koniec... — powtórzył Mark, żeby mocniej w to uwierzyć. — Wracamy do domu.

# 8

## Terminal 2

*Śnić o odlocie w nieznane  
Smutek odjazdu nieść w sobie  
Zamknąć się w dziwnej chorobie  
Odjechać, gdzie nie jedzie nikt.*

Jacques Brel

**Dzisiaj**

**25 marca 2007 — 8:00**

**Lotnisko w Los Angeles, LAX**

**MARK**

Taksówka zatrzymała się przed drugim terminalem, ale Mark nie od razu wysiadł. Podczas całego przejazdu Layla spała w jego ramionach i nie chciał jej gwałtownie obudzić. Po wyjściu ze szpitala spędzili noc w hotelu w centrum miasta. Layla wciąż milczała, ale wydawała się spokojna i szczęśliwa z powodu jego obecności.

— Niedługo zaczniesz mówić — obiecał ojciec śpiącej córce.

Był zresztą o tym przekonany. Przede wszystkim musi

zrobić wszystko, aby dziecko poczuło się bezpieczne w rodzinnym gronie.

Gdy zbliżali się do lotniska, patrzył z niechęcią przez szyby samochodu na zwiększający się ruch. Nienawidził Los Angeles, zanieczyszczonego powietrza, które tu panowało, powierzchowności ludzi i przemocy. Gargantuiczne miasto zawsze wywoływało w nim wrażenie, jakby chciało pochłoniąć wszystko, co stało mu na drodze, zarówno przyrodę, jak i mieszkańców.

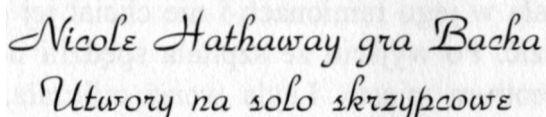
W ochronnym kokonie samochodu jeszcze przez kilka minut nie musiał się niczego obawiać, kołysany przez czyste dźwięki utworu na skrzypce, który rozbrzmiewał z radia.

Znam skądś tę muzykę... — pomyślał.

— Co to za utwór? — spytał.

— To *Chaconne* Bacha — odpowiedział szofer meloman, wręczając mu okładkę CD.

Mark przyjrzał się płycie. Na okładce było zdjęcie zrobione specjalnie w bardzo atrakcyjny sposób: skrzypaczka w zwiewnej sukni opierała twarz o lustro, w którym jej odbicie powodowało, że na oglądającego spoglądała postać dwugłowa, sexy i niepokojąca jednocześnie. Na żółtym pasku charakterystycznym dla znanej firmy płytowej widniało nazwisko artystki oraz koncert, który wykonywała:



*Nicole Hathaway gra Bacha*  
*Utwory na solo skrzypcowe*

Mark nie zdążył poczuć się nieswojo. Layla otworzyła oczy. Popatrzyła na ojca z uśmiechem i ziewnęła.

— Włóż kurtkę — zaproponował Mark. — Będziemy lecieć samolotem.



Dziewczynka posłusznie włożyła kurtkę i wyszli z samochodu, kierując się na lotnisko.

Na poziomie hali odlotów panowała nerwowa atmosfera. Tydzień wcześniej zapobieżono próbie zamachu terrorystycznego w Wielkiej Brytanii, który zasiał panikę po obu stronach Atlantyku, ciągnąc za sobą serię fałszywych alarmów. Ochrona antyterrorystyczna osiągnęła poziom oscylujący między „krytycznym” a „poważnym” i co dzień anulowano wiele lotów. Mark sprawdził, czy to nie dotyczy przypadkiem ich samolotu, i szybkim krokiem udał się do odprawy. Wiedział, że wzmożona kontrola pasażerów i bagaży przedłuży jej czas, a chciał jak najszybciej mieć za sobą formalności.

Przebijając się przez tłum, trzymał mocno Layłę za rękę jakby w obawie, że dziewczynka znów zginie. Nagle usłyszał, jak ktoś woła jego nazwisko.

— Doktorze Hathaway! Doktorze Hathaway!

Odwrócił się zaskoczony. Kilka metrów za nim jakiś nieznamy mężczyzna biegł w jego kierunku.

— Michael Philips, pracuję dla „Heralda” - - przedstawił się.

Mark zmarszczył brwi.

— Chciałbym porozmawiać przez chwilę z pana córką! — oznajmił reporter, wyciągając z kieszeni magnetofon.

— Nie mamy panu nic do powiedzenia! — rzucił zdecydowanie Mark, przyciskając Layłę do siebie i przyspieszając kroku. Ale reporter przeciął mu drogę i zaczął szybko przekonywać:

— Proponujemy panu kontrakt: siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za wywiad i sesję zdjęciową...

— Spieprzaj pan! — wybuchł Mark.

Odwracając się do reportera plecami, zauważył, że ten wyciągnął telefon komórkowy i zamierzał ukradkiem zrobić im zdjęcie. Starając się chronić Laylę, złapał Philipa za gardło, naciskając na krtań tak mocno, aż ten wypuścił z ręki aparat, który upadł na podłogę. Mark starannie rozgniół go obcasem.

— Zapłaci mi pan za to! — zagroził mu dziennikarz, masując szyję.

Mark popatrzył na niego. Zdziwiła go impulsywność dziennikarza i szybkie tempo, w jakim wszystko się odbyło. Kiedy odchodził w kierunku strefy odpraw, usłyszał ostrzegawczy głos Philipa:

— Nie zdaje pan sobie sprawy, w jakiej jest pan sytuacji, Hathaway, nic pan nie rozumie! Badam ten przypadek od dłuższego czasu i mam informacje, którymi mógłbym się z panem podzielić. Nie zna pan prawdy! Ani na temat pana żony, ani na temat pana córki!

## **EVIE**

Autobus z Union Station wypuścił pasażerów przed drugim terminalem. Wśród nich była piętnastolatka o niesamowitym wyglądzie. Wyszła jako ostatnia. Jeszcze niedobudzona znalazła się na poziomie hali odlotów i zmrużyła oczy, żeby przyjrzeć się ekranom informacyjnym. Ostatnią noc spędziła na jakiejś ławce i wszystko ją bolało. Burczało jej w brzuchu. Stawy trzeszczały i miała wrażenie, że zaraz złamie rękę lub nogę. Łapczywie popatrzyła na witrynę kawiarni Starbucks, na oferowane rodzaje kawy i ciasteczek, ale nie miała już ani dolara. Wyciągnęła dyskretnie z kosza na śmieci stojącego przed kafejką butelkę z resztką soku pomarańczowego i kawałek muffinki.

Za kilka godzin będzie w Nowym Jorku. Z powodu irytującej przeszkody musiała pojechać do Los Angeles, ale obecnie była w stanie udać się tam, gdzie mieszkał poszukiwany przez nią mężczyzna. Miała jego adres: jakiś budynek w północnej części Manhattanu. Kiedy go odnajdzie, zabije go. Zabije go. Zabije.

Może potem przestanie tak bardzo cierpieć.

\*

## ALYSON

Ogromny bajerancki samochód terenowy o ostrych liniach zaparkował nie bez trudności na trzecim poziomie podziemnego parkingu drugiego terminalu. W samochodzie, Porsche Cayenne, brzmiały ogłuszające dźwięki rapu i R&B. Za kierownicą siedziała dwudziestosześcioletnia kobieta, Alyson Harrisom włosy miała platynowe, ostrzyżone krótko, wąskie dzinsy firmy Notify, pasek typu lasso i wciętą skórzaną kurtkę.

Zgasiła motor i opadła bez sił na kierownicę. Cała drżała. Musiała się uspokoić, jeśli chciała, żeby wpuszczono ją na pokład samolotu. Nie miała wyboru. Pogrzebała w torebce od Hermesa i wyjęła małą puderniczkę z kości słoniowej. Gorączkowo wciągnęła trochę kokainy i resztkę białego proszku wtarła sobie w dziąsła. To było jedyne wyjście, żeby się nie załamać. Bez kokainy czuła się beznadziejnie, kompletnie bezradnie. Już od wielu lat straciła kontrolę nad ilością pochłanianego narkotyku, ale kolejne dawki zawsze przynosiły oczekiwany efekt.

Faktycznie, z minuty na minutę Alyson czuła się coraz pewniej. Znów była silna. Wróciło zaufanie we własne możliwości. Niedługo to dobre samopoczucie miało zmienić się w stan arogancji i nadwrażliwości. Ale przecież

chodziło jej głównie o to, aby móc wsiąść do samolotu i polecieć do Nowego Jorku.

Wyjęła z oczu szkła kontaktowe krótkowidza i zastąpiła je kolorowymi soczewkami: jedno oko było różowe, drugie niebieskie. W tylnym lusterku poprawiła grzywkę i podpięła ją spinką w kształcie motyla. Tak wystrojona wyszła z samochodu, chwiejąc się na wysokich obcasach. Ciągnęła za sobą walizkę na kółkach.

Gdy zaświecił flesz jakiegoś paparazzi, Alyson zobaczyła swoje odbicie w szybie zaparkowanego samochodu. Widok był okrutny, lecz prawdziwy. Ukazywał nafaszerowaną kokainą kobietę, wartą miliard dolarów.

Oto więc stoją wszyscy troje w odległości paru metrów od siebie, na tej niewielkiej scenie, którą jest w tym przypadku port lotniczy. Mark, Evie, Alyson. Nie znają się, nigdy ze sobą nie rozmawiali, ale coś ich łączy. Wszyscy troje znajdują się w decydującym momencie ich życia, są podenerwowani, gotowi na wszystko. Wszyscy mają bolesną przeszłość. Życie ich zostało złamane przez czyjąś nieobecność lub śmierć. Wszyscy czują się jednocześnie ofiarami i winowajcami. Za kilka minut wsiądą do tego samego samolotu. Ich życie ulegnie zmianie.

— Pójdę pierwszy, a ty za mną, dobrze, Laylo?

Mark zdjął marynarkę i pasek, po czym położył rzeczy na ruchomym pasie i przeszedł przez bramkę. Czujnik metalu nie zareagował.

— No, teraz ty! — zawołał do córki, zbierając swoje rzeczy.

Dziewczynka spokojnie poszła w kierunku ojca, ale gdy przechodziła przez bramkę, włączył się alarm.

— Proszę opróżnić kieszenie dziecka i zdjąć mu buty.

Mógłbyś być sympatyczniejszy! — pomyślał Mark, rzucając policjantowi nieprzyjemne spojrzenie. Trzeba powiedzieć, że tego ranka na lotnisku panowała bardzo nerwowa atmosfera. Napięcie zwiększyła jeszcze obecność wojska, które brało udział w przeszukiwaniu pasażerów i kontrolach bagaży. Hathaway ukląkł przy córce, aby pomóc jej ściągnąć buciki. Sprawdził też kieszenie, ale były puste.

— Już dobrze, kochanie.

Layla przeszła powtórnie przez bramkę tylko w skarpetkach, włączając alarm po raz drugi. Dziwne, miała na sobie tylko dżinsy, T-shirt i kurtkę.

Mark zmarszczył brwi.

— Ta wasza maszyna musi być zepsuta!

Policjant nic nie odpowiedział, tylko podszedł do dziecka.

— Proszę, podnieś ręce do góry i odwróć się.

Layla posłusznie wykonała polecenie, podczas gdy policjant przesunął po jej ciele specjalnym detektorem.

Nagle, na poziomie szyi dziecka, aparat zaczął głośno brzęczeć.

— Co to znaczy?! — zdenerwował się Mark.

Policjant nie wiedział. Przesunął aparatem po szyi dziecka jeszcze raz. Znowu zabrzęczało. Zawołał kolegę i poprosił o nowy detektor. Ale nowy aparat nie zmienił sytuacji: wszystko wskazywało na to, że Layla miała pod skórą coś metalowego!

Zdumiony strażnik włożył słuchawkę do ucha i pod-

niósłszy oczy ku kamerze nadzorczej, odezwał się do niewidocznego rozmówcy:

— Proszę pani, mamy tu problem...

Mark z córką stali w pustym pokoju wyglądającym jak cela, w której odbywają się przesłuchania. Przed nimi w marynarce i spodniach stała Latynoska o surowej twarzy, która najwyraźniej miała się za Condoleezę Rice, gdy oglądała ich paszporty.

— Niech mi pan wyjaśni, doktorze Hathaway, czy córka pana przechodziła ostatnio jakąś operację?

— Nie... Nie wiem — przyznał Mark.

— Czy umieszczono jej coś pod skórą na poziomie szyi? Może chip? Albo jakikolwiek inny implant?

— Nie wiem.

Odpowiedzialna za bezpieczeństwo na lotnisku rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

— Jak to, nie wie pan! To pańska córka czy nie?

— To długa historia — odrzekł Mark znużonym tonem. Condoleezza zwróciła się wówczas do Layli:

— Czy nie boli cię z tyłu głowy?

Dziewczynka wytrzymała jej spojrzenie bez mrugnięcia, cały czas milcząc.

— Co, zamurowało cię?

Mark zmęczonym ruchem podniósł się z krzesła.

— Idziemy! — rzekł, biorąc córkę za rękę. — Trudno, spóźniliśmy się na samolot, wynajmiemy samochód.

— Nigdzie pan stąd nie wyjdzie — rzekła policjantka, wskazując na żołnierza, który stał na warcie przed drzwiami biura.

— To się dopiero okaże! — wybuchł Mark. — A przede wszystkim proszę mi zwrócić paszport. Nie jestem o nic oskarżony.

Zapowiadał się poważny konflikt, gdy zadzwonił telefon.

— Kto? — spytała Condoleezza, naciskając na guzik interkomu.

— FBI, proszę pani — zawiadomiła sekretarka. — Agent Frank Marshall.

— Proszę mu powiedzieć, żeby zadzwonił później.

— Mówi, że to pilne.

— Dobrze, proszę mi go dać — zgodziła się policjantka, wyłączając interkom.

Mark z powrotem opadł na krzesło. Zdziwiła go ingerencja Marshalla i zastanawiał się, czym ona się skończy.

Rozmowa przez telefon była krótka, Condoleezza powiedziała tylko dwa razy „tak” i raz „dobrze, proszę pana”, zanim odłożyła słuchawkę. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie, gdy zwróciła się do Marka.

— Wszystko w porządku, doktorze Hathaway! — W jej głosie brzmiała skrucha, gdy zwracała mu paszport. — Proszę nam wybaczyć. Życzę panu i pana córce przyjemnego lotu.

\*

Zirytowany upokarzającą kontrolą Mark zdecydował, że zasłużyli na porządne śniadanie. Przy ladzie Bon Café, jednej z sieci kafejek, założonej przez jakiegoś Francuza, zamówił dwie duże tace wypełnione smakołykami i usiadł wraz z Laylą przy małym stoliku pod palmą. Z przyjemnością zauważył, że córka ma apetyt i że z zapałem zajada francuski rogalik, popijając go sokiem pomarańczowym. Sam zadowolił się kawą, którą przełknął szybko, rzucając roztargnionym wzrokiem na

egzemplarz „USA Today”, który dostawali w prezencie wszyscy klienci.

Terminal skąpany był w łagodnym białym świetle. Gdy Mark i Layla wstawali i odchodzili, za ich plecami przeszła młoda dziewczyna. Dyskretnie siadła przy ich stoliku, aby szybko wypić resztę soku pomarańczowego i niezaczętego jogurtu. Skorzystała również z okazji, aby rzucić okiem na tytuły w gazecie. Artykuł z wielkim zdjęciem zajmował połowę pierwszej strony. Oto co przeczytała Evie:

**Samobójstwo miliardera  
Richarda Harrisona**

    Założyciel firmy Green Cross, jeden ze światowych liderów w handlu towarami spożywczymi, zmarł wczoraj w Nowym Jorku w wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Miliardera znaleziono na jego jachcie. Leżał w kałuży krwi. Strzelił sobie w głowę z wiatrówki.

    Według posiadanych przez nas informacji Richard Harrison zostawił list do najbliższych, w którym wyjaśnił powody swego czynu. Dwa lata wcześniej stwierdzono u niego alzheimera i Harrison nie mógł znieść myśli o tym, że choroba uzależniłaby go od pomocy innych.

    Msza żałobna odbędzie się jutro po południu na Manhattanie.



Richard Harrison położył kamień węgielny pod swoje imperium w roku 1966 w maleńkiej miejscinie w stanie Nebraska, otwierając sklepik delikatesowy, którego specjalnością była sprzedaż po obniżonych cenach. Natychmiast odniósł sukces i szybko otworzył sieć podobnych sklepów, najpierw tylko w okolicy, a wkrótce w całym kraju. Obecnie firma Green Cross zarządza ponad sześciuset wielkimi, supermarketami.

Richard Harrison, człowiek dyskretny, znany ze skromnego trybu życia, mieszkał w tym samym domu od trzydziestu lat. Zdobyty majątek nie wpłynął na codzienność tego wielkiego biznesmena, który chciał, aby ludzie postrzegali go jako człowieka przeciętnego. Nosił się również bardzo skromnie.

Dyskrecja i powściągliwość nie cechowała jego jedynej córki Alyson, której wyczyny regularnie zajmują pierwsze strony plotkarskiej prasy.

Evie przerwała czytanie, bo od strony automatycznych drzwi dobiegły ją jakieś hałasy. Powodem ich było wejście do terminalu Alyson Harrison, ściganej przez całą chmurę paparazzich. Krucha sylwetka w ogromnych okrągłych okularach przeciwsłonecznych zakrywających połowę twarzy z trudem opędzała się od natrętów, którzy okrążając ją, zadawali natarczywe pytania. Co chwila strzelały flesze aparatów. „Alyson, spójrz tutaj, Alyson! Jak sobie dajesz

radę, Alyson? Jakie łączyły cię stosunki z ojcem? Podobno byliście skłóceni? Alyson? Jak człowiek się czuje, kiedy odziedziczy miliard dolarów? Alyson? Czy jest ktoś w twoim życiu w tym momencie? Czy planujesz powrót do szpitala? A narkotyki? Alyson? Nie odpowiedziała pani, czy naprawdę pani z nimi skończyła? Alyson! Alyson!".

Pytania spadały na nią jak uderzenia w twarz. Początkowe zainteresowanie mediów bardzo Alyson schlebiało. Przez jakiś czas wydawało jej się, że panuje nad sytuacją i że umie nakierować działanie prasy na swoją korzyść. Później okazało się, że tak często ją pokazują, iż stała się bohaterką prasy brukowej, i pułapka się zamknęła. Teraz nie było dnia, żeby jakiś fotograf czy osobnik z komórką w rękę nie starał się wdrzeć w jej życie osobiste.

Kolejne flesze. Alyson zasłoniła twarz rękami, żeby się przed nimi ochronić. Wspomnienia z przeszłości nadleciały z szybkością światła.

Kolejny flesz...

I flashback...

# Alyson

## Pierwszy flashback

### Osiem lat wcześniej

**Spadkobierczyni imperium Green Cross  
autorką skandalu na Times Square**

*(AP - 18 października 1999)*

Wieczorem w dniu wczorajszym Alyson Harrison, wychodząc z modnej restauracji, w której obchodziła dziewiętnaste urodziny, spowodowała zbiegowisko na Times Square. Najwyraźniej odurzona alkoholem młoda kobieta urządziła strip-tiz na samym środku ulicy, pośród chichotów i inwektyw padających ze strony licznie zgromadzonych gapiów.

Od kiedy przestała się uczyć i „całkowicie poświęciła się” bywaniu na przyjęciach i zakupom, córka miliardera

Richarda Harrisona regularnie trafia na pierwsze strony skandalizującej prasy przez swoje godne rozpieszczonego dziecka ekscentryczne wybryki.

### **Kapryśna Alyson**

*(AFP - 23 grudnia 1999)*

Będąc przejazdem z Paryżu, miliarderka wzbudziła oburzenie personelu hotelu George V. Zrobiwszy ogromne zakupy w butikach na Polach Elizejskich, zarezerwowała obok wspaniałego apartamentu dodatkowy pokój jedynie po to, aby w nim przechować swoje sprawunki. „Było tam co najmniej trzydzieści pudełek z butami wyłącznie drogich marek” – stwierdziła jedna z pokojówek.

\*

### **Steve i Alyson: Sprawa chyba poważna**

*(Online - 14 stycznia 2000)*

Kanał e-Muzic ogłosił to już tydzień temu, lecz obecnie sprawa jest oficjalna: perkusista grupy rockowej 6th Gear i spadkobierczyni imperium Green Cross romansują ze sobą od ponad dwóch tygodni.

Steve Glenn, lat trzydzieści jeden, ma opinię „złego chłopca” i znany jest

z zamiłowania do alkoholu. Steve i Alyson to wybuchowy koktajl, który powinien przynieść dużo pracy paparazzim.

★

### **Skandal w Courchevel**

*(AFP - 12 lutego 2000)*

Spadkobierczyni imperium Green Cross nie pokazała się jednak tego weekendu w prestiżowym uzdrowisku alpejskim, gdzie zarezerwowała dwa szlaki narciarskie wyłącznie dla siebie. „Nikt jej nie widział. Musiała się przestraszyć wielkiego zamieszania medialnego, które powstało w związku ze skandalicznym sposobem rezerwacji owych szlaków. Tutaj nie bardzo lubi się osoby obchodzące prawo” – podało anonimowo jakieś miejscowe źródło.

### **Miliarderka kleptomanka**

*(AP - 3 maja 2000)*

Alyson Harrison nie traci żadnej okazji, aby pokazać, że istnieje! Ognista blondynka została wczoraj wieczorem zatrzymana za kradzież ubrań wartości wielu tysięcy dolarów w eleganckim butik w Beverly Hills. Jej ojciec oznajmił już oficjalnie, że powierza obronę

córki Jeffreyowi Wexlerowi, jednemu z najlepszych obecnie adwokatów.

\*

### **Alyson zwolniona z aresztu!**

*(AP - 8 czerwca 2000)*

\*

### **Steve i Alyson – koniec romansu**

*(Online - 18 grudnia 2000)*

\*

### **Alyson Harrison oskarżona o ucieczkę!**

*(„The Telegraph” - 3 stycznia 2001)*

Fakt, że ktoś jest miliarderem, nie upoważnia go do tego, aby czuł, że jest ponad prawem.

Według strony internetowej [OMZ.com](http://OMZ.com), Alyson Harrison zbiegła z miejsca wypadku, w którym na szczęście obyło się bez ofiar.

Przestępstwo to przeszłoby niezauważone, gdyby przypadkowy przechodzień nie sfilmował sceny telefonem komórkowym. Alyson zmuszona do przyznania się zaangażowała adwokata Jeffreya Wexlera, aby znalazł polubowne rozwiązanie sprawy z właścicielem uszkodzonego samochodu.

\*

**Alyson Harrison**  
**ma nowego przyjaciela**

*(Online - 12 lutego 2001)*

Celebrytka, która rozstała się z rockerem Steve'em Glennem, pocieszyła się w ramionach aktora Austina Tylera, bohatera telewizyjnego serialu *Pacific Pallissad* poznanego podczas kręcenia jakiejś reklamy.

\*

**Alyson Harrison rujnuje się**  
**dla Roxy'ego!**

*(AP - 6 marca 2001)*

Spadkobierczyni robi ekstrawaganczkie zakupy dla swojego psa. Obróżka wysadzana brylantami, garderoba zaprojektowana przez wielkich krawców, seanse u psiego psychologa, nic nie jest za dobre dla Roxy'ego, pieska chińskiej rasy z czubem, którego Alyson wszędzie ze sobą wozi. „W przeciwieństwie do ludzi, wiem, że on mnie nigdy nie opuści” – oświadczyła, aby uzasadnić niebotyczne wydatki na swojego pupila.

## **Internet: wideo „gorąca” Alyson**

*(Online - 20 lipca 2001)*

Po tym, jak ukradziono jej komórkę w jakiejś dyskotecie w Miami, spadkobierczyni obawiała się, że ktoś nieuczciwie wykorzysta dane w niej zawarte. Poza adresami członków świata sław telefon zawierał liczne zdjęcia i filmy wideo o treści osobistej. Dwuminutowy teledysk, który można obecnie obejrzeć w Internecie, przedstawia Alyson i jej przyjaciela w trakcie uprawiania seksu.

„Jestem zaszokowana tym, że moje osobiste sprawy zostały podane do publicznej wiadomości” – oświadczyła Alyson. – Chcę za to przeprosić moją rodzinę i przyjaciół”.

Gdy minął jednak pierwszy szok, Alyson szybko się pozbierała. „Seks jest sprawą naturalną i nie widzę powodu, dlaczego miałabym się czuć winna!” – oświadczyła z tupetem.

## **Alyson Harrison lansuje własną kolekcję bielizny**

*(AP - 6 sierpnia 2001)*

Wszystkie jej projekty będą do nabycia wyłącznie w sklepach Green Cross.



## **Alyson Harrison znów samotna?**

*(Online - 28 sierpnia 2001)*

\*

## **Alyson adeptką kabały**

*(Reuters - 9 września 2001)*

Jak wielu jej podobnych w Hollywood, ekscentryczna blondynka oświadczyła, że jest adeptką kabały, ostatniej mody religijnej panującej w środowisku sław. „Nigdy nie rozstaję się z moją bransoletką z czerwonego sznurka. Pomaga mi ona uchronić się przed nieszczęściem oraz pozwala pozostać w stałym kontakcie z moją duszą”.

## **Perfumy Alyson**

*(AP - 29 września 2001)*

Teraz z kolei spadkobierczyni imperium Harrisona wprowadza na rynek perfumy nazwane jej imieniem. Młoda kobieta związała się ze słynną marką perfum (własnością jej ojca!), aby stworzyć własny zapach. Perfumy powinny ukazać się na rynku przed Bożym Narodzeniem.

\*

## **Alyson Harrison znów zaręczona?**

*(Online - 28 października 2001)*

\*

## **Alyson Harrison chce zagrać w filmie**

*([Imdb.com](http://Imdb.com) - 20 listopada 2001)*

\*

## **Od jednego sportowca do drugiego...**

*(Online - 5 grudnia 2001)*

Alyson Harrison rzeczywiście interesuje się sportem. Po piłkarzu Davidzie DeLalunie kolej na mistrza olimpijskiego w pływaniu Johna Aldreena, który również wpadł w sidła blond spadkobierczyni.

\*

## **Perfumy Alyson robią kłapę**

*(AP - 8 stycznia 2002)*

\*

## **Alyson Harrison zaaresztowana za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym**

*(Reuters - 12 stycznia 2002)*

Gwiazdka filmowa i przedstawicielka świata bogaczy Alyson Harrison została zatrzymana w nocy z soboty na niedzielę w Los Angeles za prowadzenie samochodu

w stanie nietrzeźwym, jak powiadomiły nas źródła policyjne.

Aresztowanie nastąpiło o drugiej piętnaście w Beverly Hills, po tym jak policjanci na motorach zauważyli, że samochód młodej kobiety niebezpiecznie zygzakował po drodze. Szybko znaleźli na siedzeniu napoczętą butelkę tequila. Test alkoholowy wykazał, że panna Harrison, lat dwadzieścia dwa, miała we krwi dużo więcej alkoholu, aniżeli to jest dozwolone.

Prokurator zadecyduje, kiedy młoda kobieta odpowie w sądzie za to wykroczenie.

### **Alyson skazana!**

*(Reuters - 24 lutego 2002)*

Alyson Harrison została dziś skazana na karę grzywny w wysokości tysiąca dolarów oraz zawieszenie prawa jazdy na sześć miesięcy. Badanie krwi wykazało, że 12 stycznia 2002 prowadziła samochód w stanie nietrzeźwym. Spadkobierczyni wielkiej fortuny będzie musiała odbyć specjalne szkolenie na temat niebezpieczeństw, jakie grożą osobom prowadzącym po pijanemu.

# 10

## Na pokładzie samolotu

*W obliczu trudnej sytuacji człowiek ma do wyboru trzy rozwiązania:*

- 1) *Walczyć*
- 2) *Nic nie robić*
- 3) *Uciec.*

Henri Laborit

**Dzisiaj**

**25 marca 2007 — 10:00**

**Lotnisko w Los Angeles LAX**

— Dzień dobry państwu, kapitan McCarthy wraz z załogą witają na pokładzie samolotu Airbus A380 lecącego do Londynu przez Nowy Jork. Proszę zająć miejsca i zapiąć pasy. Linie lotnicze Shangri-La życzą państwu przyjemnego lotu.

Kiedy Mark wsiadał do samolotu, zdumiało go, jak wielka była to maszyna. Airbus stał wzdłuż podwójnej rampy, która mogła pomieścić ponad pięciuset pasażerów. Aby usprawnić wchodzenie na pokład tylu ludzi, odbywało się to przez dwa pomosty, z których każdy prowa-

dził na inny poziom. Tuląc w ramionach Laylę, Mark przez dziesięć minut szukał przydzielonych im miejsc, tak wielkie było wnętrze samolotu. Singapurska kompania Shangri-La, przeczekawszy kilka spóźnień w dostawach maszyny, okazała się pierwszą kompanią eksploatującą ten wielki europejskiej produkcji samolot pasażerski i nie oszczędzała na luksusowym wyposażeniu wnętrza. Duże okna i szeroko rozstawione siedzenia znajdowały się nawet w klasie ekonomicznej, dzięki czemu kabina pasażerska była jasna i wygodna.

Mark z córką siedzieli obok siebie w tyle dolnego poziomu. Kiedy dotarli do swego rzędu, młoda, może piętnastoletnia dziewczyna z brudnymi tłustymi włosami drzemała już na siedzeniu przy oknie. Na kolanach trzymała wymiętoszoną torbę z napisem:

Evie Harper

Layla usiadła między ojcem a Evie. Miała na sobie różowy T-shirt z cytatem z *Alicji w krainie czarów*, który Mark kupił jej w jakimś butiku w strefie bezcłowej. „Podążaj za białym królikiem” — radził slogan, nad którym widniał wizerunek królika o szalonym wzroku, ubranego w redingot, z wielkim kieszonkowym zegarkiem w łapce.

— Wszystko dobrze? — spytał Mark, właściwie nie oczekując odpowiedzi.

Córeczka spojrzała na niego łagodnie. Markowi ścisnęło się serce, ale udało mu się nie okazać wzruszenia. Pogrzebał w plastikowej reklamówce, którą dostał w księgarni, i wyjął z niej blok rysunkowy, paczkę flamastrów oraz dwie książki: jakąś ilustrowaną historyjkę dla dzieci i pierwszy tom *Harry'ego Pottera*.

— Wziąłem dwie książki, bo nie wiem nawet, czy ty umiesz czytać... — przyznał Mark, kładąc zakupy na rozkładanym stoliczku. — Pięć lat temu to ja czytałem ci do snu, pamiętasz?

Upił łyk wody mineralnej z małej butelki, która stała obok niego.

— Wiesz, kochanie, nie mam pojęcia, co się z tobą działo — ciągnął. — Nie wiem, kto się tobą zajmował przez ten cały czas. Wyobrażam sobie, jak musiałaś cierpieć, jak okropnie musiałaś się bać. Na pewno czułaś się bardzo samotna, zagubiona i myślałaś, że zapomnieliśmy o tobie, ja i mama. Tymczasem to nieprawda. Myśleliśmy o tobie bez przerwy. Oddalibyśmy wszystko, aby tylko ciebie odnaleźć.

Dziewczynka, wpatrzona w ojca, słuchała bardzo uważnie z otwartymi ustami.

— Nie wiem, aniołku, czy pamiętasz, jaki jest mój zawód. Kiedyś zapytałaś mnie, co robię, odpowiedziałem, że jestem doktorem, ale doktorem specjalnym, który leczy nie ciało, lecz zranione dusze. To trudno wyjaśnić. Ludzie przychodzą do mnie, kiedy cierpią psychicznie. Cierpią, bo przeżyli coś, co zraniło im serce. Te cierpienia są trudne do wyleczenia...

Mark nie mógł znaleźć właściwych słów. Zamilkł i po chwili znów się odezwał:

— Często takie osoby czują się winne, nawet jeśli w istocie to one same zostały skrzywdzone. Mój zawód pozwala mi przekonać je, że można przezwyciężyć bolesne przeżycia. Każda rana w końcu się zagoi. Jestem o tym głęboko przekonany. Można przekształcić rany na duszy w źródło siły. To nie są żadne czary. Na to trzeba po prostu czasu. Nie zawsze można się całkiem wyleczyć.

Ból nigdy nie znika bez śladu. Czasem siedzi w nas przyuczajony, ale pozwala nam otrząsnąć się ze złych wspomnień i żyć dalej. Wiem, że to trudno zrozumieć, ale przecież jesteś inteligentną dziewczynką.

Mark znów zamilkł.

— Mówię ci o tym — powiedział w końcu — bo chcę, żebyś rozumiała, że zrobię wszystko, żeby cię chronić i żeby ci pomóc, ale ty musisz mnie w tym wesprzeć, kochanie. Kiedy będziesz gotowa, opowiesz mi, co się stało. Mnie możesz zwierzyć się ze wszystkiego. Nie dlatego, że jestem lekarzem, ale dlatego, że jestem twoim ojcem, rozumiesz?

Layla w odpowiedzi uśmiechnęła się nieśmiało, po czym skupiła się na książkach, które kupił dla niej ojciec. W końcu wybrała *Harry'ego Pottera*. Mark popatrzył na nią uważnie. Naprawdę czytała. Umie czytać... Ktoś nauczył ją czytać... — pomyślał. Ale kto?

Layla przewracała stronę po stronie, a Mark starał się jak mógł, aby ukryć zdenerwowanie. Głowa bolała go od mnóstwa pytań, na które nie znał odpowiedzi. Kto porwał jego córkę? Dlaczego wypuszczono ją dokładnie pięć lat później? Dlaczego ona zamykała się w tym budzącym strach milczeniu? Jak wyjaśnić dziwny epizod w trakcie przechodzenia przez bramkę bezpieczeństwa? Czy faktycznie Layla miała pod skórą jakieś obce ciało? Z pewnością, ale co to mogło być? Może jakiś elektroniczny chip, żeby móc stwierdzić, gdzie dziewczynka znajduje się w danym momencie? Żeby znać trasę jej przemieszczania się? Ale w jakim celu? A Nicole? Dlaczego zniknęła, tak jakby miała sobie coś do wyrzucenia? Nie mówiąc o tym dziennikarzu, który wiedział o pojawieniu się Layli, mimo że FBI trzymało sprawę w tajemnicy?

I dlaczego mu powiedział, że Mark nie zna prawdy ani o żonie, ani o córce?

„Nie zna pan prawdy!”.

W tym samym momencie w przedniej części wyższego pokładu personel pokładowy ogarnęło nagłe podniecenie: wszyscy wpatrzeni byli w Alyson Harrison, która pojawiła się na specjalnie wydzielonej przestrzeni przedziału pierwszej klasy, na której stało około sześćdziesięciu foteli o modnym kształcie zaopatrzonych w konsole z przyciskami.

Uprzejma i elegancka stewardesa zaprowadziła Alyson do jej miejsca.

— Witamy na pokładzie Shangri-La, proszę pani. Cała nasza ekipa jest do pani dyspozycji. Życzymy przyjemnej podróży.

Alyson, nie zdejmując okularów słonecznych, opadła na fotel. Od niedawna w miejscach publicznych ogarniała ją panika. Nie czuła się bezpiecznie. Wszędzie śledziły ją tysiące oczu i zawsze znalazł się jakiś amator paparazzi z przygotowaną komórką, w nadziei uchwycenia zdjęcia, które potem będzie mógł sprzedać łąsum na takie kąski plotkarskim witrynom internetowym.

W sumie nigdzie nie czuła się bezpieczna. Od kilku lat jej życie było nieskończonym pasmem błędów i ekscesów, które z każdym dniem niszczyły ją coraz bardziej, i odziedziczony miliard dolarów nie pomagał jej w niczym. Okazało się, że to, co ma w życiu największą wartość, nie ma ceny. Dużo czasu minęło, zanim Alyson to zrozumiała. Zbyt dużo.

\*



Wielki samolot dokołował do pasa startowego i przygotował się do startu.

— Startujemy za minutę! — uprzedził kapitan.

Maszyna, która ważyła pięćset sześćdziesiąt ton i miała dwa piętra, bardziej przypominała latający transatlantyk aniżeli zwykły samolot liniowy. Jak coś takiego może w ogóle się wznieść w powietrze? — zastanawiała się Evie, wyglądając przez okno. Dopiero drugi raz leciała samolotem i nienawidziła tego.

Pilot wcisnął gaz i cztery silniki pchnęły ogromną masę w przód po pasie startowym. Evie zaczęła obgryzać paznokcie. No, dobra, wznos się! — wydała maszynie rozkaz w myślach. Rozejrzała się dokoła niespokojnie, ale nikt nie zdawał się denerwować długim czasem, którego potrzebował samolot, żeby wzlecieć w powietrze. To byłoby rzeczywiście idiotyczne umrzeć teraz, kiedy zemsta jest tak blisko...

\*

Samolot ciągle kołował... Z wyższego piętra roztaczał się wspaniały widok na pas startowy. Pasażerowie siedzieli na wysokości dwunastu metrów, ponad szeroko rozpiętymi ogromnymi skrzydłami, i sprawiali wrażenie, jakby królowali nad lotniskiem.

Jest jakiś problem, ta cholerna maszyna powinna być już w powietrzu! — pomyślała Alyson. Jakoś nie bała się katastrofy lotniczej. W końcu śmierć byłaby może dogodnym rozwiązaniem: oznaczała koniec cierpienia, wstydu i poczucia winy. Koniec strachu, który przez cały czas skręcał jej żołądek. Koniec wszystkiego...

Kilka razy próbowała popełnić samobójstwo, ale zawsze bezskutecznie. Albo źle wyliczyła lekarstwa, albo nie-

umiejętnie podcięła sobie żyły, albo zbyt szybko przyjechano na ratunek... Do dziś nie udało jej się ze sobą skończyć. Do dziś.

Zaniepokojony Mark odczuwał wibracje pasa startowego rozgniatanego dwudziestoma kołami podwozia samolotu. Nie był pewien, czy to normalne, że tak długo nie wznoszą się w powietrze.

W kieszeni siedzenia naprzeciwko znajdowała się broszura, w której wyjaśniano z dumą, że moc silników turboodrzutowych wielkiego samolotu równa się mocy sześciu tysięcy silników samochodowych. Jeśli jesteś taki mocny, dlaczego jeszcze nie lecisz? — pomyślał Mark i jego niespokojny wzrok napotkał spojrzenie młodej dziewczyny siedzącej pod oknem. Ona również wyglądała na zaniepokojoną. Tylko Layla siedząca między nimi, zatopiona w lekturze, zdawała się nie dostrzegać tego, co się dzieje. Startuj! Startuj! — zawołał w myślach Mark.

Dotarłszy do końca pasa startowego, wielki samolot jakby zawahał się chwilę, zanim wyszarpnął swoje pięćset sześćdziesiąt ton w powietrze, wywołując pełne ulgi „uff” na ustach pasażerów.

\*

W kompletnej ciszy samolot w niecałe sześć minut przekroczył pułap piętnastu tysięcy stóp. Podenerwowany Mark gorączkowo skręcał się na siedzeniu. Ręce mu się trzęsły, na czoło wystąpiły krople potu, plecy miał całe mokre. Głowę ścisnęła mu obręcz strasznej migreny, miał

wrażenie, że ktoś mu wyżywa mózg. Znał źródło tego stanu: to odstawienie alkoholu. Od trzydziestu sześciu godzin nie wziął do ust ani kropli i to dawało już o sobie znać. Wczoraj wieczorem, potem dziś rano pokonał nieodpartą ochotę, aby opróżnić barek w pokoju hotelowym. Udało mu się, pomogła w tym radość z odnalezienia córki. Ale ulica zrobiła z niego alkoholika. Był pewien, że samodzielnie potrafi wyjść z tego piekła, ale wiedział, że to zabierze dużo czasu. Jako psycholog wiele razy miał do czynienia z alkoholikami na odwyku. Wiedział, że nie pijąc, może się spodziewać dezorientacji, delirium, konwulsji, a nawet halucynacji wzrokowych i słuchowych.

Siedząca obok Layla podniosła oczy znad książki i popatrzyła spod oka. Mark dla dodania sobie animuszu mrugnął do niej i uśmiechnął się uspokajająco, ale coś mu mówiło, że córka nie da się oszukać co do jego stanu.

— Czy dobrze się pan czuje? — padło od strony okna.

Pytanie zadała mu młoda dziewczyna. Mark przyjrzał się jej uważniej: jeszcze nie kobieta, już nie dziecko, włosy brudne, utlenione... Ubrana była dziwacznie i wszystko, co miała na sobie, było wymięte, w oczach zaś miała znużenie, które świadczyło o tym, że spotkało ją jakieś nieszczęście mimo jej młodego wieku.

— Wszystko dobrze — uspokoił ją. — Jak się nazywasz?

Dziewczyna się zawahała. Wciąż była ostrożna. Ale coś w Marku mówiło jej, że można mu zaufać. Jakieś ciepło we wzroku, które przypomniało tego lekarza, którego spotkała trzy miesiące wcześniej, w Wigilię, i o którym wciąż pamiętała. Czuła się mu dziwnie bliska, mimo

że wówczas robiła wszystko, żeby mu tego nie okazać. Ku swemu zdumieniu myślała o nim w momentach samotności i niepewności. To zmniejszało strach i przynosiło niejasną nadzieję na jakieś lepsze, mniej okrutne życie.

— Mam na imię Evie — odpowiedziała.

— A ja Mark Hathaway. To jest moja córeczka Layla.

— Cześć, Layla! — rzuciła Evie, nachylając się ku dziewczynce.

— Ona... ona nie mówi — wyjaśnił lekarz.

Evie popatrzyła na rękę Marka.

— To brak alkoholu? — spytała.

— Co?

— Stara się pan przestać pić? To dlatego trzęsą się panu ręce...

— Nie, nie... — zaprotestował speszony Mark. — Dlaczego tak myślisz?

— Moja matka miała to samo, co pan.

— Posłuchaj, to nie jest takie proste... — zaczął Mark i zamilkł. Po chwili spytał: — A co się stało z twoją matką?

— Umarła.

— Ach! Przykro mi.

Zgasł napis „Proszę zapiąć pasy”. Można było wstać.

— Jeśli chce pan rozprostować nogi, zajmę się córką — zaproponowała Evie.

— Dziękuję, nie trzeba — odrzekł Mark. Teraz on z kolei poczuł nieufność.

— Jeśli szybko się pan czegoś nie napije, może się to źle skończyć.

Mark podszedł do sprawy racjonalnie. To prawda, że czuł się coraz gorzej. W ciągu kilku godzin porzucił życie na ulicy i miał duże trudności z odnalezieniem swoich

punktów odniesienia. Zwłaszcza zaś nie docenił konsekwencji nagłego odstawienia alkoholu połączonego ze stresem podróży samolotem.

Popatrzył na Layłę. Czy mógł ją zostawić na kilka minut z dziewczyną, której przecież nie znał? Jak zareaguje na to córka? Z drugiej strony, jeśli chciał jej pomóc, absolutnie potrzebował kieliszka lub dwóch.

— Kochanie, tatuś wróci za pięć minut. Spokojnie siedź przy tej młodej damie i czekaj tu na mnie, zgoda?

Następnie zwrócił się do Evie:

— Na piętrze, mniej więcej w połowie poziomu, znajduje się bar. Jeśli będziesz miała jakikolwiek problem z Laylą, natychmiast przyjdź po mnie, zrozumiałaś?

Evie kiwnęła głową.

Mark wstał i najpierw skierował się ku toaletom. Miał sucho w gardle i skóra twarzy paliła go. Był odwodniony, a jednocześnie spływał potem. Wszedł do maleńkiej kabiny, całej z chromu, ceramiki i luster. Nawet w tym miejscu znajdowało się wielkie okno, przez które widać było niebo! Toaleta była luksusowa, prawie bez żadnych ozdób, z wyjątkiem skomplikowanego rysunku wykonanego za pomocą szablonu i farby w aerozolu, który zajmował sporą część ściany. Mark rozpoznał „trzy mądre małpy”, które kilka razy miał okazję widzieć w buddyjskich świątyniach podczas seminarium w Japonii. Pierwsza małpa zasłaniała sobie łapami oczy, druga uszy, a trzecia usta. Podpis pod rysunkiem głosił: „Nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie mówię”. Miał on oznaczać, że temu, który postępuje według owej zasady, przydarzą się tylko dobre rzeczy.

Zastanawiając się nad tą dziwaczną maksymą, Mark zdjął zegarek, umył ręce i spryskał twarz zimną wodą,

unikając spojrzenia w lustro wiszące nad umywalką. Nie chciał oglądać własnego odbicia.

Przesunął dłonie pod automatyczną suszarką i wyszedł z kabiny. Na progu cofnął się — zapomniał zegarka na półeczce obok umywalki. Chwycił zegarek i miał już wyjść z toalety, kiedy coś go przykuło do podłogi.

To niemożliwe! — pomyślał.

Rysunek na ścianie, przedstawiający trzy mały, zmienił się nagle w długi fryz, straszny i ponury. Fryz łączył kilka symboli, z którymi Mark spotkał się już podczas studiów psychologicznych. Była tam klepsydra, kosa i kości: inaczej mówiąc, symbol przepływającego czasu, który się marnuje, nieunikniona i nagła śmierć oraz proch, w który się z powrotem zmieniamy. Potem most, długi i niebezpieczny: most sądu, symbolizujący trudność przejścia w zaświaty. Na koniec drabina: drabina zbawienia, symbol unoszenia się duszy, obok tego symbolu zaś figurował wizerunek człowieka o głowie wilka: był to Anubis, przewodnik umarłych, który miał przeprowadzić zmarłego po śmierci na drugi świat. Napis nad tym malunkiem przypominał mantrę:

*NIE NALEŻY SIĘ BAĆ,  
NALEŻY ZROZUMIEĆ*

Mark stał jak skamieniały. Czyżby to mu się śniło? Zahipnotyzowany widokiem fryzu, nie mógł wyjść z toalety. To, co widział, powodowało, że cierpiał, choć nie był w stanie pojąć dlaczego.

Musiał się zmusić, żeby wyjść. Jednak gdy tylko zamknął za sobą drzwi, natychmiast otworzył je z powrotem.

I oto oczom jego ukazał się inny napis! Tym razem zobaczył ognistego ptaka, którego rozpostarte skrzydła pokrywały całą ścianę. Był to Feniks, mityczny ptak, odradzający się z popiołów. Nad symbolem zmartwychwstania widniał napis:

*CZŁOWIEKA MOŻNA ZNISZCZYĆ,  
ALE NIE MOŻNA ZWYCIEŻYĆ!*

Tym razem Mark naprawdę się przeraził. No tak, mam delirium! — pomyślał. Halucynacje grożące alkoholikowi przy nagłym odstawieniu alkoholu, których bał się naprawdę, materializowały się w bardzo niepokojący sposób. Paliło go całe ciało. Nie mógł przemóc drżenia palców, serce waliło, jakby chciało wyskoczyć mu z piersi.

Jego organizm potrzebował wody, on sam powinien zażyć jakiś lek uspokajający, witaminy. Ale nic takiego nie miał pod ręką. Mógł liczyć jedynie na swoją silną wolę. Zamknął oczy i zebrał ostatnie siły. Za wszelką cenę musiał się uspokoić. Wszystko to, co widzisz, nie istnieje. To tylko twoja wyobraźnia. Na tej ścianie nie ma żadnych napisów. Obrazy śmierci i zmartwychwstania to wynik twoich wewnętrznych lęków i zgryzot, rezultat dwóch lat przebytych na ulicy. Nie wolno ci się tym denerwować. Layla jest z tobą i niedługo spotkasz się z Nicole. Odbudujesz swoją rodzinę. Wszystko będzie znów tak jak kiedyś.

Kiedy otworzył oczy, ściana była czysta. Wyglądała tak, jak na początku. Nie było na niej żadnego napisu.

— No, dobra, skończył pan czy nie? — usłyszał głos zza drzwi. Jakiś facet się niecierpliwił.

Podbudowany tym małym zwycięstwem nad własnymi emocjami Mark szybko wyszedł z toalety, obiecując sobie nie zaglądać tutaj do końca podróży.

Traktując bardzo poważnie rolę starszej siostry, którą obiecała zagrać, Evie nie spuszczała z Layli oczu. Wciąż milcząc, dziewczynka chwyciła flamaster i zaczęła mazać w swoim notatniku, rysując jakieś abstrakcyjne formy, tak jak robią to wszystkie dzieci. Evie patrzyła na nią ze współczuciem, poruszona i zafascynowana jej milczeniem.

Minęło dziesięć minut od chwili, kiedy Markje opuścił. Layla podniosła oczy znad rysunku. Otworzyła usta i nagle stał się cud.

— Powiedz, na co umarła twoja mama? — spytała, patrząc na Evie.



# 11

## Evie Pierwszy flashback

**Las Vegas, Nevada**  
**Październikowy wieczór**  
**Dwa lata wcześniej**

Pusty teren zarośnięty chwastami i zarzucony odpadkami gdzieś na przedmieściu Las Vegas, daleko od błyszczących neonów bulwaru Strip\*.

Na terenie tym stoi jakieś czterdzieści przyczep. Większość z nich jest zniszczona, ma wybite szyby, połamane ściany i dziurawe dachy. Jest to ostatni przystanek przed bezdomnością dla ludzi zarabiających marne grosze czy zrujnowanych hazardzistów, którzy spłukali się w pokera czy w ruletkę i zamieszkali tu tymczasowo, „aby odrobić straty”, tyle że nigdy nie potrafili wyjść z zamkniętego kręgu hazardu.

\* Najśłynniejsza arteria przelotowa miasta, gdzie znajdują się największe hotele i atrakcje dla turystów.

W głębi stoi przyczepa w trochę lepszym stanie z dachem z blachy falistej i otoczona częściowo płótem, dzięki czemu wygląda trochę jak normalny domek.

Pod dachem ustawiono plastikowy stolik, na którym spoczywa wielki stos książek, stoi stary odbiornik radiowy nadający muzykę country oraz małe akwarium z pływającą w kółko rachityczną rybką.

Przy stole siedzi trzynastoletnia Evie; przygryza koniec ołówka, zastanawiając się chwilę, po czym pisze szybko ostatni akapit wypracowania zadanego w szkole na następny dzień.

Nagle ze środkowej przyczepy ktoś ją woła:

— *Date prisa, Evie, vamos a llegar tarde al trabajo!*\*

— *Ya voy, Carmina, dame dos minutos*\*\*.

Nastolatka przebiega przez przyczepę w pośpiechu i myjąc zęby, prędko przegląda to, co napisała. Poprawia kilka błędów. Szybciej, szybciej! — pogania samą siebie w myślach.

Manuel, menedżer ekipy sprzątaczek w hotelu Oasis, nie był miłym człowiekiem. Evie musiała go błagać, żeby zgodził się zatrudnić ją na kilka nocy w tygodniu, mimo jej młodego wieku. Niewdzięczna praca, w której zarabiała się na czarno pięć dolarów za godzinę.

Dziewczyna złapała stojącą na stole otwartą puszkę i przepłukała zęby oryginalną mieszanką coca-coli light i pasty do zębów, którą wypluła do doniczki. Następnie ułożyła książki i zeszyty w tornistrze i wróciła do przyczepy, żeby pożegnać się z matką.

— Idę, mamo!

\* Pospiesz się, Evie, spóźnimy się do pracy! (hiszp.).

\*\* Idę, Carmina, daj mi dwie minuty (hiszp.).

Teresa Harper leżała na dolnym poziomie piętrowego łóżka.

Miała zaledwie trzydzieści cztery lata, ale wydawała się o dwadzieścia lat starsza z powodu chronicznej żółtaczki, która po latach przeszła w marskość wątroby, a potem w raka. Kilka miesięcy wcześniej operacyjnie usunięto jej trzy czwarte wątroby. Kobieta znosi coraz gorzej uboczne skutki zapisanego leczenia: gorączkę, mdłości, straszne zmęczenie i łamanie w kościach.

Teresa chwyciła córkę za rękę.

— Uważaj na siebie, córeczko.

Chora nie pracuje już od roku i obydwie żyją z pieniędzy zarobionych przez Evie i z niewielkiej zapomogi.

— Nie martw się, mamó! — odpowiedziała Evie, wstając.

Cicho zamknęła za sobą drzwi przyczepy i pobiegła do Carminy, sąsiadki, z którą pracowała w hotelu Oasis.

Evie wsiadła do samochodu Carminy. Był to stary pontiac ze zniszczonymi siedzeniami, z którego rury wydechowej dobywał się czarny dym. Carmina, gruba, surowo wyglądająca Meksykanka, miała troje dzieci i męża nieroba, który przeważnie był na bezrobociu. Ponieważ nie lubiła trzepać językiem bez potrzeby, przez większość podróży w samochodzie panowało milczenie. Evie to nie przeszkadzało. Dziewczyna zamknęła oczy. Bardzo martwiła się tym, czego dowiedziała się parę dni wcześniej, a mianowicie, że właściciel terenu, na którym stała ich przyczepa, zdecydował się sprzedać go deweloperowi zamierzającemu urządzić na tym miejscu wesołe miasteczko. Nie powiedziała nic matce, żeby jej nie dener-

wować, ale zastanawiała się nad tym, co się z nimi stanie, jeśli je stamtąd wygonią. Od trzech lat, mimo choroby matki i niepewności jutra, obydwie kobiety osiągnęły pewien stan spokoju. Przedtem ich życie było bardzo ciężkie: alkoholizm, narkotyki, prostytutka... Lata dziewięćdziesiąte były dla Teresy długim ciemnym korytarzem, w którym dzieliła strzykawki, watę, słomki do wdychania kokainy z innymi narkomanami i tak właśnie nabawiła się żółtaczką.

W owym czasie za Teresą chodzili przedstawiciele opieki społecznej, chcąc zabrać jej córkę i umieścić ją w rodzinie zastępczej. Evie nie chciała rozstać się z matką i bardzo wczesnie dojrzała, w sposób zadziwiający dając sobie radę sama. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze to ona była „dorosłą” w rodzinie. To w jej ręce Teresa, w rzadkich momentach przytomności, składała część zarobionych pieniędzy, aby nie zmarnować wszystkiego na heroinę. To ona robiła zakupy, płaciła rachunki, załatwiała problemy z sąsiadami, ona w końcu wyciągnęła matkę z piekła narkotyków.

W końcu stała się matką swojej matki...

— Dojeżdżamy, zbieraj rzeczy! — Carmina potrząsnęła śpiącą Evie, która otworzyła oczy i chwyciła torbę leżącą na tylnym siedzeniu.

Samochód jechał po bulwarze Las Vegas. Była już ciemna noc. Oświetlone neonami hotele rywalizowały w tym, który jest większy. Ogromna sylwetka Oasis mieniła się milionem świateł. Podziemia hotelu, w którym były parkingi, połąkowały starego pontiaca kierującego się ku miejscom zarezerwowanym dla pracowników.

Oasis, z trzema tysiącami pokoi, czterema basenami i galerią handlową był gigantyczny. Wszystko w nim było ponad miarę wielkie: wewnętrzny ogród obsadzony tysiącami palm, przez który przepływała rzeka, plaża wysypana drobnym piaskiem, zoo, w którym zamknięte były lwy i białe pantery, sztuczne wybrzeże lodowe, na którym cierpiały otyłe pingwiny, czy wreszcie akwarium o pojemności stu tysięcy litrów, do którego można było wpuścić delfiny.

Pokoje wyłożone były marmurem i zaprojektowane według zasad feng shui. Ekranu plazmowe zainstalowano nawet w toaletach. Aby bezbłędnie funkcjonować, machina ta zatrudniała tysiące „niewidzialnych”: pokojówek, pomywaczy i innego personelu. Evie należała do „niewidzialnych”. Co noc dostawała inne polecenie. Teraz towarzyszyła ekipie Carminy, która miała zmywać schody dla służby. Była to bardzo niewdzięczna praca. Przez trzydzieści pięter machało się ścierką do podłogi w męczącej pozycji.

\*

## **Druga rano**

Evie przerwała pracę na dziesięć minut. Wyszła na dach hotelu. Znajdowała się na prawie stu metrach wysokości, widziała pod sobą całe Las Vegas i rzekę światła wzdłuż bulwaru Strip.

Urodziła się w tym mieście i nienawidziła go. Tak samo nienawidziła tłumów turystów przybyłych, żeby zawrzeć jakiś nędzny ślub albo żeby przepuścić dolary w kasynach. Nigdy nie rozumiała, co ludzie widzą w tym ogromnym wesołym miasteczku, gdzie wszystko jest sztuczne i nieprawdziwe.

W Las Vegas co trzy kroki wpadało się na automaty do gier hazardowych. Stały one wszędzie, na stacjach benzynowych, w supermarketach, w restauracjach, barach i w pralniach. Natomiast bardzo trudno było tam znaleźć zwykłą książkę do czytania.

Tymczasem to książki Evie lubiła najbardziej. Zwłaszcza powieści i poezje. Pokochała literaturę dzięki pewnemu nauczycielowi ze szkoły i od tego czasu książki były jej ucieczką, paszportem w podróży do innych krain, jedyną okazją, aby wyjść choć na chwilę z nieciekawej przeciętności, w jaką wepchnęło ją życie.

W jednym z lombardów, których pełno w mieście, Evie znalazła paczkę książek za dwa dolary. Były tam *Sto lat samotności*, *Wściekłość i wrzask*, *Zbrodnia i kara*, *Myszy i ludzie*, *Buszujący w zbożu*, *Wichrowe Wzgórza*, *Targowisko próżności*. Garcia Marquez, Faulkner, Dostojewski, Steinbeck, Salinger, Bronte, Wolfe — wszystko za cenę paczki chipsów...

\*

## Czwarta rano

Jeszcze jeden ruch szmatą, jeszcze jeden, i jeszcze jeden...

Evie ma wrażenie, że całe jej ubranie cuchnie śmierdzącą wodą. Plecy ją bolą i strasznie chce się jej spać. Żeby wytrzymać, myśli o matce i o przyszłości. Teresa figuruje na liście oczekujących na przeszczep wątroby. Ale wątroby nadające się do przeszczepu zdarzają się rzadko i Evie bardzo się boi, że matka po prostu nie doczeka operacji.

Musi wytrwać, musi wytrzymać jeszcze kilka miesięcy,

powtarza w myślach, mając wyrzuty sumienia, że z nadzieją czeka na śmierć jakiegoś dawcy organów.

## Szósta rano

Evie odbiera zapłatę w gotówce od kierownika i wychodzi z hotelu Oasis. Niżej na bulwarze mała kafejka obsługuje pierwszych porannych klientów. Evie lubi usiąść w głębi sali, z dala od innych, przy stoliku z widokiem na ulicę. Ma całą godzinę, zanim przyjedzie autobus, który zawiezie ją do szkoły. Jest to jej własna godzina, jedyna chwila podczas całego dnia, kiedy Evie oddaje się temu, co lubi najbardziej: czytaniu i pisaniu.

Tego ranka zamawia gorącą czekoladę i wyjmuje z tornistra książkę w twardej oprawie, której treść ją zafascynowała. Znalazła ją poprzedniej nocy na stoliku nocnym w jednym z pokoi hotelowych. Z pewnością zapomniał jej któryś z gości. Po raz pierwszy znalazła nie żadną powieść czy zbiorek wierszy, ale esej napisany przez neuropsychiatrę z Nowego Jorku, jakiegoś Connora McCoya. Esaj zatytułowany jest *Przeżyć*. Evie wydaje się, że został napisany dla niej.

Lekarz przedstawia w nim dokładnie to, co ona przeżyła. Pisze o konieczności stania się silnym, żeby być czujnym w obliczu najgorszego, pisze o tej żelaznej zbroi, którą przez lata konstruowała i która pomogła jej przetrwać. Ale lekarz również ostrzega przed czymś, co ona instynktownie czuje, ale czego nie umie określić, a mianowicie pisze, że nie wolno zbyt często zamykać się w sobie, bo można stać się zupełnie nieczułym. Serce nasze zmienia się wówczas w soplek lodu, człowiek w żywego trupa i życie traci cały smak.

Z tego powodu Evie próbuje stworzyć sobie wewnętrzny świat, małą pigułkę nadziei, lekkości, której strzeże w głębi siebie, czekając, aż kiedyś wykluje się z niej coś dobrego, kiedyś, kiedy...

Ach, przyszłość... Evie lubi czasem pomarzyć, wyobrazić sobie, że jest pisarką albo psychiatrą, że z kolei ona pomaga cierpiącym. Ale wie, że nigdy nie pójdzie na studia. Uniwersytet nie jest dla córki narkomanki, która mieszka w przyczepie i musi pracować w nocy, żeby zarobić na jedzenie.

Evie pije ciepłą czekoladę i notuje coś w kołonoatniku. Często czuje się bardzo samotna. Tak bardzo samotna. Chciałaby móc podzielić się swymi myślami z kimś, kto by ją zrozumiał. Ale ponieważ nie ma nikogo takiego, powierza swoje wątpliwości i sekrety dziennikowi. Na końcu dziennika znajduje się lista. Jest to dziesięć rzeczy, które chciałaby, aby się spełniły w jej życiu. Wie, że niewiele ma na to szans, ale przecież czasem trzeba sobie pomarzyć, bo inaczej...

Oto ta lista:

*Nr 1: żeby mama dostała nową wątrobę i żeby wyzdrowiała.*

*Nr 2: żebyśmy znalazły nowe mieszkanie, niezbyt drogie.*

*Nr 3: żeby moja mama nigdy już nie tknęła alkoholu ani narkotyków.*

*Nr 4: żebym ja nigdy nie tknęła alkoholu ani narkotyków.*

*Nr 5: żebyśmy wyjechały na kilka dni na wakacje gdzieś daleko od Las Vegas.*

*Nr 6: żebym mogła pojechać na studia do Nowego Jorku.*



*Nr 7: żebym mogła się kiedyś dowiedzieć, kto jest moim prawdziwym ojcem.*

*Nr 8: żebym cały czas była świadoma, że w życiu zdarzają się piękne rzeczy.*

*Nr 9: żebym kiedyś spotkała kogoś, kto mnie zrozumie.*

Numer dziesięć jest życzeniem bardziej skomplikowanym. Evie najpierw coś napisała, a potem to wytarła. Ale jeśli się temu przyjrzeć, można przeczytać:

*Nr 10: żeby kiedyś ktoś się we mnie zakochał...*

# 12

## Mark i Alyson

*Wszystko szyte jest na miarę w dzieciństwie.  
To nie my rządźmy słowami,  
To słowa rządzą nami.*

Witold Gombrowicz

### **Dzisiaj**

#### **Na pokładzie samolotu**

**11:45**

A380 spokojnie kontynuował lot, rozcinając chmury na niebie ponad Górami Skalistymi. Mark wszedł na górny pokład po monumentalnych schodach, które łączyły poziom dolny z górnym. Mniej więcej pośrodku górnego piętra znajdował się bar Floridita, który był dumą linii lotniczych Shangri-La. Relaksująca muzyka, wyszukane oświetlenie, klubowe fotele i kanapy z pikowanej skóry, wszystko to nadawało wnętrzu przyjemny, kameralny nastrój. W tym luksusowo urządzonej pomieszczeniu łatwo było zapomnieć, że się jest w samolocie.

Mark usiadł na jednym z wysokich stołków rozstawionych wokół stojącego pośrodku baru. Za ladą stał Murzyn

z wąsami, z fryzurą afro a la Jackson Five, która powodowała, że wyglądał dokładnie tak jak Izaak, barman z serialu *Statek miłości*.

— Podwójne whisky bez lodu — zamówił Mark.

Już się czuł lepiej. Sama perspektywa napicia się wystarczyła, żeby się uspokoił. Kiedy Izaak postawił przed nim szklaneczkę, Mark pozwolił sobie na luksus odwleczenia pierwszego łyka. Rozejrzał się wokoło. Do baru napływało coraz więcej pasażerów. Obok niego usiadła jakaś młoda kobieta wyglądająca trochę prowokująco. Czekając, aż barman zwróci na nią uwagę, Alyson kręciła głową w rytm muzyki, mieszanki elektro i bossa novy.

— Co pani podać? — spytał barman.

— Daiquiri. Bez cukru, z kroplą soku grejpfrutowego.

Alyson i Mark skrzyżowali spojrzenia.

— To nazywa się Specjalność Hemingwaya — powiedział Mark.

— Słucham?

— Koktajl, który pani zamówiła, gorzkie daiquiri, został wymyślony przez Ernesta Hemingwaya.

Ponieważ Alyson nic nie odpowiedziała, Mark poczuł się zmuszony do dodania:

— Hemingwaya, tego pisarza.

— Wiem, kto to jest Hemingway, dziękuję panu.

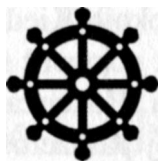
— Przepraszam, nie chciałem pani urazić — wycofał się Mark.

— Nie, to ja przepraszam, ja tylko...

Nie mogąc zapanować nad nagłym wzruszeniem, Alyson przerwała i odwróciła głowę, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Zaintrygowany Mark przyjrzał się jej dokładniej: platynowy blond włosów, smukła sylwetka, podobna do

dziewczyny z agencji towarzyskiej... Gdy pochylił się, aby podnieść swoją torbę, zauważył, że poniżej talii dziewczyna ma jakiś tatuaż, którego widoczny był tylko czubek. Mark rozpoznał buddyjskie koło dharmy:



— Czy dobrze się pani czuje? — spytał.

— Wszystko w porządku — zapewniła go Alyson. — To tylko ta uwaga o Hemingwayu... To był ulubiony pisarz mego ojca.

Popatrzyła Markowi prosto w oczy i nagle poczuła się dziwnie dobrze. Od nieznanego mężczyzny emanował magnetyzm, ciepło, był on taki... ludzki, że Alyson poczuła do niego zaufanie. Miała ochotę kontynuować rozmowę.

— Mój ojciec zmarł kilka dni temu — oznajmiła. — Popełnił samobójstwo.

— Bardzo mi przykro.

— Wystrzeliła dubeltówka, którą czyścił, zupełnie jak...

— ...jak Hemingway — dokończył za nią Mark.

Alyson przytaknęła w milczeniu.

— Nazywam się Mark Hathaway.

— A ja Alyson Harrison.

Po chwili wahania Mark w końcu odważył się zapytać o to, co drażyło go od początku spotkania:

— Dlaczego połowa pasażerów tego samolotu gapi się na panią, Alyson?

Młoda kobieta odpowiedziała, zażenowana:

— Przez ostatnie lata wiele moich zdjęć ukazało się w gazetach... W gazetach... to nawet za dużo powiedziane.

— Dlaczego?

— Jestem pewna, że co najmniej raz musiał pan widzieć jedno z moich zdjęć. Jeśli nie, to naprawdę jest pan wyjątkiem.

— Nie zjrzałem do żadnej gazety od pięciu lat — oznajmił Mark.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Alyson popatrzyła na Marka z ciekawością. Mark odpowiedział takim samym spojrzeniem i poczuł, że Alyson chciałyby porozmawiać.

— No, dobrze, Alyson, proszę, niech mi pani powie, co takiego straciłem przez te pięć lat.

# 13

## Alyson Drugi flashback

**Pięć lat wcześniej**

**Alyson Harrison zatrzymana w Dubaju  
za posiadanie narkotyków**

*(AP- 11 września 2002)*

Słynna spadkobierczyni wielkiej fortuny została zatrzymana na lotnisku w Dubaju. Przyjechała tutaj na kilka dni wakacji. Panna Harrison stanie przed sądem w przyszłym tygodniu. Przyznała, że miała przy sobie kokainę do osobistego użytku, ale zapewniła, że nie używała jej na terenie Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Nie pierwszy już raz siejąca ogólne zgorzenie młoda dama dostaje się na pierwsze strony gazet, ale do tej pory każdy z wywołanych przez nią skandali

kończył się interwencją jej ojca, który wypłacał kilka tysięcy dolarów odszkodowania. Jednak to wydarzenie, które ma miejsce poza terytorium Stanów Zjednoczonych, może się tak dobrze nie skończyć. Przypomnijmy, że w Dubaju, ważnym centrum handlowym i turystycznym, kary za posiadanie lub używanie narkotyków są najsurowsze na całym świecie.

\*

**Alyson Harrison skazana na trzy lata więzienia w Dubaju za posiadanie przy sobie dwóch gramów kokainy!**

*(AP – 18 września 2002)*

Córka biznesmena Richarda Harrisona została dziś rano skazana na trzy lata więzienia. Trybunał uznał ją winną wwiezienia i posiadania kokainy na terytorium Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

\*

**Bloomberg TV**

...bardzo bogaty biznesmen Richard Harrison, założyciel sieci supermarketów Green Cross, poleciał dziś rano do Dubaju, gdzie powinien...

**Z ostatniej chwili**  
**Dubaj**  
**Alyson Harrison ułaskawiona**

*(AP - 19 września 2002)*

Nowe wiadomości w sprawie Alyson Harrison: zaledwie kilka godzin po tym, jak została skazana na trzy lata więzienia, dziś rano Alyson Harrison została ułaskawiona przez rząd Dubaju.

Chwilę po ogłoszeniu tej decyzji blondwłosa spadkobierczyni wielkiej fortuny opuściła terytorium Zjednoczonych Emiratów Arabskich na pokładzie odrzutowca wynajętego przez jej ojca, aby wrócić do Stanów Zjednoczonych.

— Alyson, słyszysz, co mówię?

Richard Harrison siedzi w samolocie naprzeciwko córki. Jest to mężczyzna średniej postury w okularach krótkowidza, ma na sobie sweter z golfem, sztruksowe spodnie i ciężkie buty. Od dawna miał w zwyczaju maskować się, ubierając byle jak, ale w środowisku interesów jest człowiekiem bez skrupułów, którego wszyscy się obawiają.

— Co ci jest, kochanie?

Młoda kobieta, zwinięta na siedzeniu, trzyma podbródek na wysuniętych w górę kolanach. Na słowa ojca wzdyga się.

— Jak śmiesz mnie pytać, co mi jest, po tym, co zrobiłeś?

— To, co zrobiłem, zrobiłem dla twego dobra — od-



powiada ojciec tonem, przez który przebija zmęczenie. — Wierz mi, nie sprawiło mi to przyjemności.

— Sama dałabym sobie radę...

Cisza.

— Nie cofniemy czasu — mówi Richard. — Ale musisz wziąć się w garść, bo nie będzie mnie zawsze przy tobie, żeby wyciągać cię z tarapatów.

— Mam to w nosie. Będę miała twoją forszę.

Mimo że zaboląły go słowa córki, Richard zachował spokój.

— Musisz przestać brać narkotyki. Zajmij się czymś konkretnym. Znajdź coś, co cię zainteresuje, wciagnie. Mogłabyś kierować fundacją założoną przez twoją matkę...

— Mamę zostaw w spokoju!

— Staram się tylko ci pomóc.

— No to odczep się ode mnie!

Richard jest niewzruszony.

— Ta agresja wobec samej siebie i wobec innych, ta chęć zranienia, urażenia drugiej osoby za wszelką cenę... Wiem, że nie taka jest twoja natura, Alyson. Wiem, że jesteś inteligentna, wrażliwa. Po prostu przechodzisz przez trudny okres. Jeśli cię zraniłem, proszę, wybac mi, ale błagam, nie pogrążaj się bardziej, bo nie dasz sobie z sobą rady.

Milczenie.

★

„Moje cierpienie to zemsta na sobie samym”.

Albert Cohen

\*

## **Alyson w odwyku**

*(Online - 4 stycznia 2003)*

Spadkobierczyni imperium Green Cross udała się dziś z własnej woli do kliniki Coolidge'a w Malibu, aby wyleczyć się z uzależnienia od narkotyków i alkoholu. „Panna Harrison postanowiła przedsięwziąć drastyczne środki dla dobra rodziny i siebie samej” – oświadczył jej adwokat, Jeffrey Wexler, w komunikacie prasowym.

## **Alyson znów pije!**

*(Online - 14 sierpnia 2003)*

Alyson Harrison została zatrzymana przy wejściu na pokład samolotu United Airlines kompletnie pijana. Oczekując na lot do Los Angeles na lotnisku w Miami, młoda kobieta wypła w barze kilka drinków za dużo i wyszła, zataczając się. Personel pokładowy odmówił wpuszczenia jej do samolotu. „Panna Harrison zachowywała się przyzwoicie – sprecyzował jednak jeden urzędników United Airlines. – Po prostu była pijana, czego wcale się nie wypierała”.

**Richard Harrison oddaje  
trzy czwarte swojej fortuny  
na działalność charytatywną**

*(Reuters – 28 października 2003)*

Miliarder Richard Harrison oświadczył, że ma zamiar ofiarować dziesięć miliardów dolarów fundacjom charytatywnymi na cele humanitarne. Ta suma, która stanowi około trzech czwartych jego fortuny, zostanie rozdzielona pomiędzy różne organizacje, między innymi część przypadnie Shania Foundation, którą ponad dwadzieścia lat temu stworzył wraz ze swoją pierwszą żoną (zmarłą w roku 1994). Fundacją tą zajmuje się obecnie jego aktualna małżonka, Stephanie Harrison.

## **Luty 2004**

Sypialnia w pastelowych kolorach w nowej klinice odwykowej. Przez okno widać ośnieżone szczyty Montany. Alyson pakuje walizkę. W drzwiach staje Richard. Wzrok ma smutny.

— Właśnie rozmawiałem z dyrektorem. Nie zgadza się na twój dalszy pobyt. Twierdzi, że stanowisz zagrożenie dla pozostałych pensjonariuszy.

— To kompletna głupota! Jediną osobą, dla której stanowię zagrożenie, jestem ja sama!

Richard próbuje niezręcznie ułożyć jeden z jej sweter-

ków, lecz córka gwałtownie wyrywa mu go z rąk. Zachowując mimo wszystko spokój, biznesmen chwytając torbę podróżną ze zniszczonej skóry i wyjmując z niej błyszczącą broszurę oraz bilet samolotowy.

— Posłuchaj, słyszałem o nowej klinice w Szwajcarii. To właściwie nie jest klinika, raczej miejsce, w którym mogłabyś wypocząć...

— Tato, mam dość wszystkich tych miejsc.

— Więc wróć ze mną do domu.

Nawet nie siląc się na odpowiedź, Alyson idzie do łazienki i włącza suszarkę do włosów.

Richard stara się przekrzyczeć szum urządzenia.

— Słuchaj, Alyson...

Wyłącza suszarkę, wyciągając sznur z kontaktu. Chce zmusić córkę, żeby zwróciła uwagę na jego słowa.

— Jest taki psycholog w Nowym Jorku, chciałbym, żebyś go odwiedziła. Nazywa się Connor McCoy. Stosuje różne eksperymentalne metody. To prawdziwa indywidualność wśród innych psychiatrów. Myślę, że mógłby ci pomóc.

— Wiesz co, tato? Wróć sama, taksówką.

— Przeczytaj przynajmniej jego książkę — proponuje ojciec, wręczając jej poradnik neuropsychiatry.

Ponieważ Alyson nie reaguje, Richard wkłada książkę do walizki córki. Na okładce można przeczytać: Connor McCoy, *Przeżyć*.

Ojciec wsuwa między kartki wizytówkę specjalisty, po czym bierze swoją torbę i kieruje się ku drzwiom. Przed wyjściem jeszcze raz odwraca się i patrzy na Alyson.

— Chciałem ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Powinnaś dowiedzieć się o tym ode mnie, nie z prasy.

Zaniepokojona Alyson wychodzi z łazienki. Instynktownie czuje, że usłyszy coś poważnego.

- O czym?
- O tym, że niedługo umrę.

\*

### **Richard Harrison cierpi na chorobę Alzheimerera**

*(CNN. com - 15 marca 2004)*

Siedemdziesięciojednoletni biznesmen Richard Harrison cierpi na chorobę Alzheimerera, jak oświadczył wczoraj rano jego rzecznik prasowy, adwokat Jeffrey Wexler.

„Richard rzeczywiście cierpi na tę chorobę – potwierdził jego adwokat Wexler. – Pierwsze symptomy pojawiły się dwa lata temu, ale Richard stara się normalnie, aktywnie żyć. Mimo że kilkakrotnie już miewał lekkie zaniki pamięci, jest całkowicie świadom, co mu dolega, i nadal każdego ranka wstaje i idzie do pracy”.

Przypomnijmy, że ta degeneracyjna choroba komórek nerwowych jest nadal nieuleczalna. Wobec braków postępów w jej badaniu za czterdzieści lat może objąć ona piętnaście milionów Amerykanów, podczas gdy dziś choruje cztery i pół miliona.

Jesienna noc w Las Vegas.

Russel Malone, menedżer hotelu Oasis, rozwścieczony idzie szybkim krokiem przez ogromny marmurowo-szklany hol w kierunku wind znajdujących się w lobby. Wchodzi do przezroczystej kapsuły, która mknie w górę ponad wielkim, centralnie położonym atrium, w którym w przepływie szaleńczej manii wielkości i z luksusowym rozmachem umieszczono odtworzone w wielkości naturalnej najświetniejsze pomniki rzymskie: fontannę di Trevi, łuk Tytusa, a nawet fragment Koloseum. Winda zawozi Russela na ostatnie, trzydzieste piętro, na którym znajdują się najbardziej luksusowe pokoje. Russel staje przed apartamentem wynajętym przez Alyson Harrison. Wielu klientów zarzuciło recepcję skargami o dobiegających stamtąd hałasach. Aż w korytarzu słychać włączoną na cały regulator muzykę. Russel rozpoznaje głos Kurta Cobaina, który śpiewa *The Man who Sold the World*, piosenkę Davida Bowie, w wersji, którą zaprezentowała Nirvana podczas słynnego telewizyjnego programu nadawanego w MTV, *Unplugged*. Na sekundę wracają do niego wspomnienia z okresu uniwersyteckiego i myśli o Joanie, swojej dawnej dziewczynie, od której dostał tę płytę. Były to czasy, gdy był szczęśliwy i jeszcze beztroski. Ale ten powrót do przeszłości nie trwa długo. Zajmowane stanowisko i poczucie odpowiedzialności sprowadzają go na ziemię.

— Panno Harrison?! — krzyczy, pukając w drzwi. — Czy wszystko w porządku?!

Wcześniej dzwonił, ale nie odbierała telefonu. Ponieważ teraz również się nie odzywa, Russel decyduje się na użycie zapasowego klucza. Wchodzi do apartamentu.

— Panno Harrison?

Przechodzi przez wszystkie pokoje i w końcu wchodzi do łazienki. W pomieszczeniu jest pełno pary. Z niechęcią ciągnie za zasłonę od prysznica. Z ust wyrывa mu się przekleństwo.

Na posadzce leży drżące ciało Alyson Harrison. Na nadgarstkach i kostkach u nóg widać głębokie nacięcia.

W sypialni na stoliku nocnym leży książka, do której Alyson nie zdążyła zajrzeć.

*Przeżyć* Connora McCoya.

\*

## **Czerwiec 2006**

Nautilus to luksusowy hotel na Morzu Karaibskim. Piętnaście metrów dolnej części całej konstrukcji znajduje się pod wodą. To jedno z modnych miejsc, w którym chroni się niewielka elita nuworyszki, bogaczy, gwiazd i pseudogwiazd świata show-biznesu i mody. Ten pod-morski hotel wyróżnia się przezroczystymi ścianami, przez które można obserwować głębiny morskie, pod warunkiem że nie cierpi się na klaustrofobię.

Jest środek nocy. Dwóch nieźle podpitych mężczyzn wychodzi z pokoju 33, wymieniając kilka ordynarnych uwag na temat młodej kobiety śpiącej na łóżku.

Alyson budzi się kilka godzin później. Boli ją głowa. Szybko wstaje i idzie do toalety wymiotować. Wraca, ledwo powłócząc nogami, i zwała się z powrotem na łóżko. Na podłodze zostały pusta butelka po tequili, dwie prezerwatywy, ślady po kokainie...

Alyson płacze.

Nie jest w stanie przypomnieć sobie, co się tutaj działo.

Wiele razy czuła, że dotyka dna, że nie może już opaść niżej.

Ale za każdym razem uczucie to okazywało się nieprawdą.

Ponieważ dno jest dużo głębiej, aniżeli nam się wydaje.

## **Listopad 2006**

Most przerzucony przez autostradę gdzieś w Los Angeles. Noc. Kładka z betonu przerzucona ponad skrzyżowaniem dwóch autostrad, kilka kilometrów od zjazdu.

Alyson zatrzymała swojego wielkiego porsche'a na poboczu i przełożyła już jedną nogę przez barierkę, wpatrując się rozpaczliwie w sznur samochodów jadący nieprzerwanie dwadzieścia metrów poniżej. Dłonie wczepiła w siatkę, a wysokie obcasy drżały niepewnie na cienkiej barierce, ostatnim oparciu przed przepaścią.

Nigdy jeszcze nie była tak blisko tego, żeby skończyć ze wszystkim. Zbyt długo już jest więźniem swojej nędznej egzystencji, swoich wybryków, swojej przeszłości. Zbyt długo żyje udręczona mijającym czasem, w niesmaku dla siebie samej.

Wydaje się, że piekło jest wtedy, gdy nie ma już żadnej nadziei. Więc dziś wieczór — koniec. Gra skończona. Już najwyższy czas.

Ciemność nocy przerywa odgłos wyjących policyjnych syren. Przy Alyson zatrzymuje się radiowóz, potem dwóch policjantów na motorach. Czterech mężczyzn w mundurach zbliża się do niej. Znajdują się w odległości około pięciu metrów. Gdy zaczynają podchodzić coraz bliżej, Alyson krzyczy. Policjanci stają w miejscu. Są bezradni.



Jeśli Alyson zechce, skoczy. Ostatnia chwila wolności przed przepaścią. Jakie to podniecające, mieć jeszcze jakiś wybór.

— Proszę pani, niech pani tego nie robi!

To głos najmłodszego policjanta. Czarny chłopak ma najwyżej dwadzieścia lat i delikatną budowę, w czym podobny jest do Otisa Reddinga. Ma też taki sam pełen melancholii ton głosu oraz taki sam młodzieńczy wąsik.

— Czasem wydaje się, że to jedyne wyjście, ale to nieprawda...

W jego słowach słyhać emocje i czuje się szczerłość. Chłopak najwyraźniej wie, co mówi. Pięć lat wcześniej stracił siostrę bliźniaczkę. Zamknęła się w samochodzie rodziców i wsadziła do ust gumowy wąż podłączony do rury wydechowej. To on znalazł jej ciało, otwierając drzwi od garażu. Przedtem nikt nie zauważył w jej zachowaniu nic niepokojącego.

— Mamy tylko jedno, proszę pani! — mówi policjant, podchodząc do Alyson. — Mamy tylko jedno życie!

Łapie ją za rękę, a ona pozwala ściągnąć się z balustrady.

## **Dzisiaj**

### **Na pokładzie samolotu**

**13:00**

Alyson skończyła opowiadać. Spuściła oczy, zdumiona i trochę zażenowana, że zwierzyła się komuś zupełnie nieznanemu. Mark wysłuchał jej z wyjątkową uwagą. Gdy mówiła, czuła się tak, jakby Mark wziął ją pod swoją opiekę. Przestrzeń, którą oboje zajmowali, wydała jej się hermetycznie zamknięta i całkowicie bezpieczna.

Faktycznie niedużo trzeba było Markowi, aby obudziły

się w nim odruchy psychologa — w pamięci notował najważniejsze punkty tego, co mówiła Alyson, starał się też przeprowadzić szybkie porównanie jej przeżyć z przeżyciami innych swoich pacjentów. Jemu też sytuacja ta przywróciła trochę równowagi. Wejść w kontakt z ludźmi, odwrócić prąd odczuwanych emocji — to zawsze najbardziej lubił. Zawrócić swych pacjentów z drogi do piekieł, pomóc im powoli wrócić do życia.

Popatrzył więc badawczo na młodą kobietę. W tym stadium kontaktu mógł jej zadać tylko jedno pytanie:

— Za co pani tak się karze?

Alyson odwróciła oczy. Coś się w niej ścisnęło, znak, że Mark dotknął czułego punktu. To oczywiste, że odruch samozniszczenia, jakiego padała ofiarą, musiał z czegoś się wziąć. Otworzyła usta i przez sekundę naprawdę chciała powierzyć mu swój sekret, pozbyć się tego ciężaru, który od lat ścigał ją w dół. Ale słowa nie przeszły jej przez gardło, oczy zaś napełniły się łzami.

Mark chciał kontynuować rozmowę, lecz nagle samolotem zaczęło rzucać. Izaak przewrócił szklankę z koktajlem, który właśnie podawał. Ktoś krzyknął i zaczęły migotać światelka alarmowe.

— Proszę państwa, znaleźliśmy się w obszarze turbulencji, proszę wrócić na miejsca i zapiąć pasy — zabrzmiał głos pilota.

Kilku klientów w barze zaczęło protestować, ale w końcu pasażerowie usiedli na swoich miejscach.

— Muszę iść do córki na niższy pokład — wyjaśnił Mark, podnosząc się ze stołka barowego.

— Rozumiem — odrzekła Alyson.

Rozstali się w milczeniu, ale w chwili, gdy odchodzili w przeciwne strony, wiedzieli, że niedługo znów się spotkają.

# 14

## Koło życia

*Koło życia obracało się tak prędko, że nikt nie mógł długo pozostać w pozycji stojącej. W końcu jednak koło zawsze wracało do swego punktu wyjścia.*

Stephen King

**Dzisiaj**

**Na pokładzie samolotu**

**13:15**

Samolotem linii Shangri-La, lot 714, unoszącym się ponad morzem chmur, zaczęło gwałtownie rzucać. Zdenierwowany Mark, nie tracąc czasu, pobiegł w kierunku swego miejsca. Jak mógł zostawić córkę bez opieki na ponad pół godziny? Przez chwilę czuł, że ogarnia go panika. A jeśli miejsce Layli będzie puste? Zaczął rozpychać się łokciami, potracił kilka osób, żeby dotrzeć prędzej na miejsce. A jeśli dziewczynka znów zniknie, i to z jego winy? Idąc między rzędami siedzeń, czuł, jak ziemia umyka mu spod stóp. A jeśli...

Stanął kilka metrów przed swoim fotelem. Layla siedziała tam, gdzie ją zostawił. W rękę trzymała flamaster i patrząc na Evie, z dumą pokazywała jej swoje rysunki.

- Czy wszystko było w porządku? — spytał Mark, siadając.

— W jak największym! — odrzekła Evie, potakując głową.

Mark pochylił się, żeby zobaczyć, co narysowała Layla podczas jego nieobecności.

- Czy mogę obejrzeć? — spytał, głaszcząc ją po włosach.

Layla, wciąż milcząc, zdjęła rękę ze stoliczka, żeby ojciec mógł wziąć kilka zakolorowanych kartek.

W praktyce psychologa Mark, chcąc pomóc wypowiedzieć się młodym pacjentom, często posługiwał się rysunkami. Kiedyś miał prawdziwy talent do ich analizowania i rozszyfrowywania.

Przyglądając się z uwagą pracom córki, odczuł prawdziwą ulgę. Rysunki były bardzo kolorowe, było na nich pełno motyli, gwiazd i kwiatów. Choć od dawna tym się nie zajmował, był przekonany, że nie wyszły spod ręki dziecka, które przeżyło gwałtowny szok.

- Bardzo ładnie rysujesz, kochanie — pochwalił ją.

Miał właśnie odłożyć kartki na stoliczek, kiedy przykuła jego uwagę geometryczna forma powtarzająca się na każdym rysunku, którą najpierw wziął za jakiś kwiat czy gwiazdę.

To był symbol koła dharmy, prawa przeznaczenia, którego obrotu nie może zatrzymać żadna siła, symbolu wciąż rozpoczynającego się na nowo, niezmiennego cyklu: narodziny, śmierć, powtórne narodziny...



Symbol ten widział niedawno wytatuowany na plecach Alyson! Connor również od zawsze zafascynowany był kołem dharmy, nie mógł oderwać oczu od ośmiu promieni mających wskazywać człowiekowi drogę do uwolnienia się od cierpienia.

— Dlaczego to narysowałaś, kochanie? — zapytał, patrząc Layli w oczy.

— Nie wiem! — odpowiedziała spokojnie dziewczynka.

Marka zatkało. Layla mu odpowiedziała! Mówiła! Czy dobrze usłyszał, czy to znów były jakieś halucynacje?

— Dobrze się czujesz, córeczko? — spytał, bojąc się, że córka znów zamilknie.

— Trochę chce mi się spać, ale poza tym dobrze — odpowiedziało dziecko.

Mark poczuł, jak z serca spada mu wielki ciężar, ale nie za bardzo wiedział, co teraz zrobić. O tak wiele rzeczy chciał ją zapytać, ale nie mógł na nią zbyt naciskać.

— Ten samolot jest bardzo duży, prawda? — spytała Layla z uśmiechem.

— Tak, bardzo duży — odpowiedział Mark również z uśmiechem. — To największy samolot na świecie.

— Czy on bardzo szybko leci?

— Bardzo.

— Wcale tego nie czuć — stwierdziła dziewczynka, przechylając się nad Evie, żeby wyrzeć przez okno.

— To prawda! — zgodził się Mark. — W chmurach ma się wrażenie, że stoimy w miejscu, a tymczasem lecimy bardzo prędko, prawie tysiąc kilometrów na godzinę. To złudzenie optyczne.

— Złudzenie optyczne?

— To znaczy, że czasem mylą nas pozory — wyjaśnił.

— Aha.

Wydawało się, że dziewczynka zastanawiała się chwilę nad tym stwierdzeniem, zanim zmieniła temat.

— Czy mogłabym dostać lody?

— Oczywiście. Jak tylko się skończą turbulencje, poprosimy stewardesę.

— Mam ochotę na loda czekoladowego z migdałami — poinformowała dziewczynka najpoważniej w świecie.

— Dobry wybór.

— Marki Haagen-Dazs — dodała.

— Haagen-Dazs?

— Haagen-Dazs. Widziałam, mają je tutaj. I uwierz mi, że to nie było żadne złudzenie optyczne.

Layla uśmiechnęła się, bardzo dumna ze swojej odpowiedzi.

Mark poczuł, że odżywa. Oto widział córkę taką, jaka była, zanim znikła: wesoła, pełna życia, bystra. Znów opanowała go szalona nadzieja, że wszystko będzie tak jak przedtem. Ale najpierw musiał zrozumieć powody nagłej ucieczki Nicole, a zwłaszcza wyjaśnić okoliczności porwania Layli. Ponieważ dziewczynka nagle zaczęła mówić, musi to wykorzystać, ale nie wolno mu jej przestraszyć.

— Czy chciałabyś mi powiedzieć, co ci się przydarzyło? — spytał spokojnie, nachylając się nad nią.

— Co mi się przydarzyło, jak byłam mała?

Przytaknął.

— Teraz nie musisz się bać. Wrócisz do mamy, do domu, odnajdziesz swój pokój, szkołę. Wszystko będzie z powrotem tak jak przedtem, ale najpierw musisz mi powiedzieć, gdzie byłaś przez te wszystkie lata, a przede wszystkim... z kim.

Layla otworzyła usta, jakby chciała od razu odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie i zastanowiła się przez chwilę. Kiedy wreszcie się odezwała, Mark usłyszał:

— Wystarczy, jak spytasz mamę.

Mark zamarł.

— Mama wie, co ci się przydarzyło?!

Layla kiwnęła głową.

— Nie, to niemożliwe, mylisz się.

— Wcale się nie mylę — rzekła Layla, zirytowana, że ojciec wątpi w jej prawdomówność.

— Jesteś pewna?

— Najpewniejsza — stwierdziła dziewczynka bez wahania.

Mark był jak ogłuszony. Po chwili usłyszał, jak zadaje córce pytanie:

— Widziałaś mamę w ciągu tych pięciu lat?

— Oczywiście, bardzo często.

— Jak to, bardzo często?

Layla popatrzyła na ojca łagodnie. Jej oczy błyszczały. Jednym słowem położyła kres rozmowie.

— Teraz chciałabym się przespać, tato.

Wciąż w stanie szoku Mark musiał odczekać chwilę, zanim pogodził się ze stwierdzeniem córki.

— Dobrze, kochanie, odpocznij sobie.

Nacisnął guzik i opuścił jej fotel. Layla odprężyła się,

zamknęła oczy i dała się ukołysać mruczącemu silnikowi samolotu.

Mark natomiast siedział oszołomiony. Czy ma uwierzyć córce? Mimo że dziewczynka wyglądała najnormalniej w świecie, z pewnością to porwanie było dla niej strasznym szokiem. Być może częściowo mówiła prawdę, ale Mark nie mógł uwierzyć, żeby Nicole w jakikolwiek sposób mogła być zamieszana w porwanie własnej córki.

Layla mocno spała. Mark popatrzył na nią z czułością i zaczął nawet oddychać w jej rytmie. Delikatnie pogładził ją po włosach, wsuwając niesforny kosmyk za ucho. Layla odziedziczyła rysy po Nicole, a spojrzenie po Marku, a przynajmniej wszyscy tak mówili. „Ona ma uśmiech mamy, a spojrzenie taty”.

Ale...

Ale Mark wiedział, że to nieprawda. Z tego prostego powodu, że Layla nie była jego biologiczną córką.

Kiedy dziesięć lat wcześniej Mark poznał Nicole, była w pierwszych tygodniach ciąży. Rozstała się właśnie ze swoim przyjacielem, francuskim dyrygentem Danielem Grevinem. Sześćdziesięcioletni Grevin, błyskotliwy, wykształcony, znany i szanowany na całym świecie, poza tym żonaty, romansował prawie z wszystkimi artystkami, które z nim występowały. Jego przygoda z Nicole trwała zaledwie kilka tygodni, ale to skrzypaczka zdecydowała się na zerwanie.

Kiedy Nicole zorientowała się, że jest w ciąży, postanowiła urodzić dziecko i nie zawiadamiać o tym Grevina. Jej spotkanie z Markiem okazało się miłością od pierwszego wejrzenia. Mark pokochał i wychowywał



Laylę jak własne dziecko. To on kładł dłoń na brzuchu Nicole, żeby poczuć pierwsze ruchy malucha, to on trzymał żonę za rękę podczas porodu. Był przy Layli, gdy złapała pierwszy oddech poza brzuchem matki, był przy niej, kiedy stawiała pierwsze kroki, słyszał, gdy dziewczynka zaczynała mówić pierwsze słowa. Szczęście bycia ojcem bardzo prędko pozwoliło mu zapomnieć, że Layla nie jest jego dzieckiem. Oboje z Nicole postanowili utrzymać to w tajemnicy.

Ich sekret. Ich miłość. Ich dziecko.

Nie powiedzieli o tym nigdy nikomu. Ani Connorowi, ani inspektorom policji, którzy przecież dokładnie przebadali ich życie w momencie porwania Layli. Grevin zmarł na serce pod koniec lat dziewięćdziesiątych i z czasem tajemnica zbladła, aż w końcu zupełnie przestała istnieć.

Ponieważ rodzinę tworzy miłość, a nie więzy krwi.

Siedząca przy oknie Evie nie straciła ani jednego słowa z rozmowy Marka z córką. Trochę wbrew sobie nie mogła powstrzymać się od zerkania na psychologa. Nie znając dokładnie całej historii, dostrzegła rozpacz tego człowieka i rozumiała, jak silne więzy łączą go z córeczką. Czuła, że stracił grunt pod nogami, że złamało go jakieś tajemnicze wydarzenie, i odgadywała, że kiedyś musiał być kimś zupełnie innym.

— Dziękuję ci, że zajęłaś się nią — odezwał się Mark, wskazując na Laylę.

— Nie ma za co.

— Myślę, że winien ci jestem wyjaśnienie — stwierdził.

Zaciekawiona Evie popatrzyła na niego, a on w kilku słowach opowiedział historię porwania córki i to, jak tajemniczo pojawiła się z powrotem pięć lat później.

— Powiedz mi, czy moja córka powiedziała ci coś podczas mojej nieobecności? Czy w ogóle coś mówiła?

— Troszkę...

— To znaczy?

— Tak naprawdę, to zadała mi jedno pytanie.

— Jakie?

— Chciała się dowiedzieć, co się stało mojej mamie.

Zaintrygowany Mark spytał:

— I co jej odpowiedziałaś?

# 15

## Evie Drugi flashback

### **Las Vegas, Nevada** **Kilka miesięcy wcześniej**

Jest prawie północ.

Dawny teren kempingowy zmienił się w plac budowy, obecnie zanurzony w ciemnościach. Tylko jakieś dziesięć przyczep stoi jeszcze gdzieś tam, na dziko.

Przyczepa pań Harper oświetlona jest świecami. Tego wieczoru Evie nie poszła do pracy. Wyciągnięta na kanapie przegląda jakieś stare pismo ilustrowane, słuchając dyskretnie radia. Obok śpi jej matka, koło której na stoliku nocnym stoi mnóstwo różnych lekarstw. Evie tłumi ziewnięcie i szykuje się do spania, kiedy w pomieszczeniu rozbrzmiewa dzwonek jej komórki, która działa na abonament i której ona sama używa bardzo oszczędnie.

— Halo?

Dzwoni szpital. Doktor Craig Davis, koordynator transplantacji wątroby, przynosi jej dobrą nowinę: być może

jest wątroba dla jej matki. Muszą natychmiast przyjechać do szpitala!

Jednym skokiem Evie znajduje się przy matce.

— Mamo, mamo! Obudź się!

Teresa z trudnością wstaje. Evie relacjonuje jej całą sytuację i pomaga się przygotować. W niecałe pięć minut później obie kobiety stoją przed przyczepą najbliższej sąsiadki.

— To my, Carmina! Potrzebujemy twojego samochodu, to bardzo pilne!

Czekają, wydaje im się, w nieskończoność, gdy wreszcie otwierają się drzwi, ale zamiast przyjaciółki stoi w nich jej mąż Rodrigo, który wita je przekleństwami.

— *Pero que coño pasa? Esta gente siempre jodiendome...\**

Evie nie zwraca na to uwagi i nie daje się onieśmielić Meksykaninowi. Przekleństw hiszpańskich zna tyle samo, co on. Po tej wymianie grzeczności, z której Rodrigo stara się wyjść z honorem, Meksykanin zgadza się wreszcie pojechać z nimi do szpitala. Tak więc wszyscy siedzą w starym pontiacu firebirdzie z 1969 roku, ze zniszczonymi siedzeniami i rurą wydechową pochodzącą z czasów, w których nawet mowy nie było o normach przeciwko zanieczyszczaniu środowiska. Samochód jedzie zygzakiem i z dziesięć razy w ostatniej chwili unika uderzenia oponami o wysoki trotuar czy barierkę. Dziesięć to również liczba piw Corona, które Rodrigo wychylił, zanim zasiadł za kierownicą...

Na szczęście jakoś dojeżdżają na parking szpitala.

\* A co tam znowu? Kiedy wreszcie się od nas odczepicie?! (hiszp.).

Bywają i takie wieczory, kiedy szczęście się do nas uśmiecha.

Oby to trwało.

Kiedy Evie z Teresą wchodzą do szpitala, doktor Craig Davis czeka już w recepcji.

— Musimy się pospieszyć! — mówi i prowadzi je do windy.

Agencja medyczna, która przydziela organy, zawiadomiła szpital, bardzo późno wieczorem. Tak naprawdę wszystko zaczęło się tego dnia po południu, kiedy jakaś para miała wypadek motocyklowy na drodze do Apple Valley. Obydwoje mieli kaski i motor nie jechał zbyt szybko. Mężczyzna wyszedł z tego właściwie nawet bez zadrapania, niestety, żona zmarła: uraz czaszki. Pogotowie przewiozło ją na oddział reanimacji szpitala w San Bernardino, gdzie zrobiono wszystko, aby ją uratować. Ale na darmo. Choć szybko stwierdzono śmierć mózgu, trzeba było czasu, by przekonać rodzinę, aby zgodziła się na pobranie wątroby do przeszczepu. W takiej sytuacji zawsze oczekuje się cudu. Jakiś młody internista zaczął przekonywać męża, że w stanie śmierci mózgu wszystkie funkcje nerwowe zostają bezpowrotnie zniszczone. Mąż słuchał, lecz nie słyszał. Trzymał żonę za rękę. Jeszcze oddychała, nawet jeśli było to wskutek podłączenia do aparatury. Była ciepła i słyszał bicie jej serca. Ale to już nie było życie. To była iluzja.

Mąż ustąpił wreszcie trochę przed godziną dziewiątą wieczorem, kiedy zrozumiał, że jedyny sposób, aby przedłużyć życie żony, to pozwolić, aby jej organy uratowały życie innym ludziom. Ekipa medyczna natychmiast wyjęła

z ciała serce, płuca, trzustkę i jelita, by wysłano je do Los Angeles, San Diego, Santa Barbara...

Wątrobę zaś włożono do stalowej puszkę i aby utrzymać stałą temperaturę zanurzono w pokruszonym lodzie. Tak ochłodzoną puszkę wysłano helikopterem do Las Vegas. Teresa była pierwsza na liście oczekujących. Czekwała na ten przeszczep ponad dwadzieścia cztery miesiące. Trwało to tak długo, bo po pierwsze brakowało wątroby do przeszczepów, a po drugie Teresa miała rzadką grupę krwi. Jeszcze miesiąc czy dwa i choroba by ją zabrała.

— Zwolnił się blok operacyjny — wyjaśnia Craig Davis. — Będziemy mogli zacząć w ciągu godziny. Musimy tylko szybko zrobić niezbędne analizy...

— Chciałabym, żeby córka została przy mnie — odzywa się Teresa.

— Może być z panią aż do chwili, kiedy będziemy wjeżdżać na blok operacyjny — zgadza się lekarz, prowadząc pacjentkę do izolatki.

Później wydarzenia zaczynają następować jedne po drugich: przychodzi pielęgniarka pobrać Teresie krew, wpada anestezjolog, który zapewnia, że „po wszystkim będzie się pani czuła jak nowa”, w końcu ciało Teresy zostaje zdezynfekowane jodyną i teraz pozostaje czekać.

Przez kilka minut Evie czuje się wspaniale. Strach, że straci matkę, który od lat wiązał jej żołądek w supeł, powoli znika. Czuje się odprężona. Tego wieczoru wie, że wszystko dobrze się skończy.

Zawsze wierzyła w możliwość przeszczepu. Od miesięcy przeglądała z zainteresowaniem fora i strony internetowe, aby zrozumieć, na co właściwie cierpi matka. Wie, że operacja jest jej ostatnią szansą. Oczywiście przeszczep nie wystarczy, aby żółtaczka cudownie znikła,

wciąż istnieje ryzyko, że przeszczepiona wątroba zostanie zarażona wirusem, ale statystyki przeżycia kilku lat po przeszczepie są bardzo wysokie.

Podczas ostatnich miesięcy Evie udawała się kilkakrotnie do małej kapliczki w Riverside. Robiła to w sekrecie przed wszystkimi. Po raz pierwszy w życiu się modliła. Co robić, kiedy nie ma już żadnego wyjścia z sytuacji?

W dzieciństwie pomagało jej wyobrażanie sobie, że koło niej stoi anioł, który ją chroni. Potem, kiedy dorastała, przestała wierzyć w cokolwiek. Nie wierzyła już ani w anioły, ani w Boga, ani w karmę.

Od niedawna znów zaczęła się nad tym wszystkim zastanawiać.

Często miała wrażenie, że prześladowuje ją dziwne fatum, tak jakby jej przeszłość i przyszłość były dawno zapisane w wielkiej księdze przeznaczenia...

Minęła godzina od wizyty anestezjologa.

Potem godzina i piętnaście minut.

Dlaczego to trwa tak długo?

Evie znów czuje supeł w żołądku. Ulga trwała krótko. Kiedy doktor Davis w końcu wraca w towarzystwie pielęgniarki, Evie instynktownie wyczuwa, że lekarz nie przynosi dobrych nowin.

— Mamy rezultaty analiz, Tereso — mówi i widać, że jest zakłopotany.

Evie z konsternacją patrzy na lekarza, który macha jakąś kartką przed nosem jej matki.

— Musiała pani niedawno pić alkohol! — wybucha Davis. — Przecież pani wie, że w takim stanie nie możemy operować!

Przez kilka sekund ostatnie zdanie wisi w powietrzu, jak nierealne.

Załamana Evie patrzy na matkę.

— Nic nie piłam, panie doktorze! — protestuje zdumiona Teresa.

— Dwukrotnie zrobiliśmy testy. Za każdym razem rezultat był pozytywny. Nie wywiązała się pani z umowy, Tereso: co najmniej pół roku bez alkoholu przed jakimkolwiek przeszczepem. Zobowiązała się pani.

— Przecież nic nie piłam — powtarza Teresa.

Ale lekarz już jej nie słucha.

— Proszę skontaktować się z następną osobą na liście — zleca pielęgniarka. — Nie możemy pozwolić sobie na stratę organu.

— Przecież ja nie kłamię! — woła Teresa.

Tym razem nie patrzy już na lekarza, lecz na Evie. Chce, żeby córka jej uwierzyła. Wie, że konflikt z lekarzem przegrała z góry. Zresztą nigdy nie była przekonana co do tej historii z przeszczepem. Czuje, że niedługo umrze, i zależy jej na tym, żeby nie stracić zaufania córki.

— Przysięgam ci, kochanie, że nic nie piłam! — mówi, unosząc się na łożku.

Evie, rozgniewana, robi dwa kroki do tyłu.

— To zdanie słyszałam ze sto razy, od kiedy skończyłam trzy lata, mamo.

— Masz rację, ale teraz...

— Już ci nie wierzę.

— Ale ja mówię prawdę.

— Dlaczego wszystko zepsułaś, mamo? — płacze Evie.

— Kochanie... — mówi Teresa, wyciągając do niej rękę.



Ale Evie odpycha ją brutalnie.

— Nienawidzę cię! — krzyczy i wybiega z pokoju.

**Dzisiaj**

**Na pokładzie samolotu**

**13:45**

— Nienawidzę cię! — kończy opowiadanie Evie. —  
Oto ostatnie słowa, jakie powiedziałam do matki.

— Nigdy już jej nie zobaczyłaś? — pyta Mark.

— Nigdy.

Mark milczy przez chwilę, głęboko poruszony relacją dziewczyny. Samolotem, przez chwilę lecącym spokojnie, znów zaczyna rzucać. Pchany we wszystkie strony przez jakieś niewidzialne siły, kolos robi wrażenie, jakby się przeziębził i szcząkał zębami.

— A potem? — pyta Mark.

— Potem matka umarła.

# 16

## Evie Trzeci flashback

### **Las Vegas, Nevada**

Na cmentarzu w Mountain View wieje wiatr i leje jak z cebra.

Właśnie pochowano Teresę Harper. Ksiądz dawno już sobie poszedł i na cmentarzu jest prawie pusto. Wokół jeszcze niezasypanego grobu stoją Evie z Carminą. Są bardzo przejęte.

Niebo przecina błyskawica i po chwili słychać grzmot.

— Czekam na ciebie w samochodzie — mówi Carmina.

Deszcz się nasila.

Evie zostaje sama. Klęka nad grobem i wyciera łzy wściekłości, które spływają po jej wychudzonych policzkach. Nie widziała matki od chwili kłótni w szpitalu, co miało miejsce dwa miesiące wcześniej. Bez przeszczepu Teresa żyła jeszcze tylko kilka tygodni. Oczywiście, że w końcu zabił ją rak, alkohol i narkotyki, a także wynisz-

czający sposób życia. Ale w tej chwili, nad grobem, Evie ma wielkie poczucie winy. Kiedy w końcu idzie do samochodu, jest przemoczona i trzęsie się z zimna.

Jakaś kobieta, chroniąca się od deszczu pod parasolką, obserwuje nadchodzącą Evie. Przyglądała się z daleka pogrzebowi, nie śmiejąc podejść bliżej. Mimo że nie wygląda na tryskającą zdrowiem, szary płaszcz przeciwdeszczowy, wytworny kostium, w który jest ubrana, oraz modna fryzura świadczą o dobrym stylu. Otwiera bagażnik eleganckiego samochodu w kolorze ciemnoszarym i wyciąga z niego ręcznik, który wręcza dziewczynie, kiedy ta ją mija.

— Wysusz się, bo inaczej dostaniesz zapalenia płuc — mówi do Evie. W jej głosie przebija lekki włoski akcent.

Zaskoczona Evie bierze ręcznik i chowa się pod życzliwie wyciągniętym w jej kierunku parasolem. Przecierając twarz, przygląda się kobiecie, której elegancja świadczy o tym, że z pewnością nie jest to żadna z przyjaciółek matki.

— Nazywam się Meredith DeLeon — mówi kobieta.

Waha się kilka sekund, po czym rzuca:

— To ja zabiłam twoją matkę.

\*

— Rok temu stwierdzono u mnie raka wątroby — zaczyna Meredith.

Obydwie kobiety siedzą naprzeciwko siebie w Coffee Heaven przy drodze prowadzącej na cmentarz. Przed nimi stoją dwa kubki gorącej herbaty.

— Choroba była już w stadium zaawansowanym i okazało się bardzo szybko, że tylko przeszczep może mnie uratować. Moja grupa krwi to niestety „O”, dla tej grupy okres oczekiwania jest dłuższy.

— Moja matka też miała taką grupę krwi.

Meredith kiwa głową i mówi dalej:

— Dwa miesiące temu wieczorem zadzwonił do nas do domu doktor Craig Davis. Spotykaliśmy go już wiele razy z moim mężem Paulem, kiedy jeździłam do szpitala. Powiedział nam, że być może będzie miał dla mnie wątrobę, ale że jest jeden problem.

— Jaki problem?

— Twoja matka znajdująca się przede mną na liście oczekujących.

Przez plecy Evie przebiega lodowaty dreszcz. Za wszelką cenę stara się odsunąć od siebie okropne przypuszczenie.

— Craig Davis dał nam wyraźnie do zrozumienia, że jeśli gotowi jesteśmy ponieść dodatkowe koszty, on jakoś poradzi sobie z twoją mamą.

Evie zamurowało. Teraz wreszcie zrozumiała. Zafałszowano wyniki analiz Teresy, żeby okazało się, że ciągle piła. Przypomniała sobie ostatnie słowa matki: „Ja nie kłamię! Kochanie, przysięgam ci, że nic nie piłam!”.

No tak, jej matka mówiła prawdę, a ona ani przez chwilę jej nie wierzyła.

Teraz z kolei Meredith się załamała, ale postanowiła dobrać do końca swej opowieści.

- Na początku nie chciałam się zgodzić. Uważałam, że to obrzydliwe. Ale czekałam już tak długo, a organy nadające się do przeszczepu zdarzały się tak rzadko... W końcu więc zaakceptowałam propozycję. W tym stanie choroby wciąż leżałam. Nie mogłam się ruszać, tak mnie wszystko bolało. Byłam właściwie prawie jak martwa. Mój mąż, Paul, dobrze zarabia. Ustalił z Davisem, że zapłaci mu dwieście tysięcy dolarów, ale do końca decyzja należała do mnie. Takiego wyboru nie życzę nikomu.

Meredith zamilkła na chwilę zatopiona w myślach. Wyglądała, jakby przeżywała na nowo te trudne momenty.

— Chciałabym móc ci powiedzieć, że zrobiłam to dla moich dzieci — mówi. — Ale to nie byłaby prawda. Zrobiłam to, bo bałam się umrzeć, to wszystko.

Meredith była uczciwa. Od chwili operacji chciała zrzucić z siebie ten ciężar.

— Życie czasami stwarza nam problemy, które możemy rozwiązać tylko wtedy, jeśli zrezygnujemy z wartości, które cenimy — mówi jakby do siebie.

Evie zamyka oczy. Łza spływa jej po policzku, ale ona nie stara się jej zetrzeć.

Meredith kończy rozmowę, podkreślając:

— Jeśli chcesz z tym pójść na policję, powtórzę dokładnie to, co ci powiedziałam. Jestem gotowa ponieść konsekwencje. Będzie tak, jak zdecydujesz.

Wstaje i kieruje się do wyjścia.

— Zrób tak, jak dyktuje ci sumienie — rzuca, wychodząc z kafejki.

Muzealny pontiac Carminy staje obok przystanku autobusowego. Evie wysiada i zamyka drzwi, po czym idzie do bagażnika po małą walizkę i plecak. Greyhound do Nowego Jorku rusza za chwilę. Sprzedając niewielki dobytek po matce, Evie uzbierała zaledwie dwieście dolarów, która to suma w całości poszła na opłacenie podróży na Manhattan. Tam pracuje obecnie Craig Davis. Najpierw szukała go w Las Vegas, ale nieuczciwy lekarz najwyraźniej zaraz po śmierci jej matki przeprowadził się z Zachodniego Wybrzeża na Wschodnie.

— Czy na pewno chcesz tam pojechać? — pyta Carmina, odprowadzając ją do autobusu.

— Na pewno.

Gruba Meksykanka nie ufała emocjom. Wychowała swoje dzieci surowo i cierpliwie skonstruowała sobie zbroję, która pozwala jej wszystko znosić ze spokojem.

— Uważaj na siebie — mówi, delikatnie klepiąc Evie w policzek gestem, który dla niej jest niezaprzeczalnym dowodem uczucia.

— Okay — powiada Evie, wdrapując się do autobusu.

Obydwie wiedzą, że raczej nigdy już się nie spotkają. Carmina podaje Evie bagaż i po raz ostatni macha na pożegnanie ręką. Dopiero później dziewczyna odkryje trzysta dolarów, które wsunęła jej do plecaka.

W końcu autobus rusza.

Evie opiera głowę o szybę okna. Po raz pierwszy w życiu opuszcza Las Vegas. Za kilka godzin będę w Nowym Jorku — myśli. Wtedy zrobię to, co nakazuje mi sumienie. Zabiję Craiga Davisa.

# 17

## *Losing my religion*

*Czasem przyszłość mieszka w nas, a my o tym nie wiemy. Słowa nasze, które wydają się nam fałszywe, odmalowują to, co zaraz nastąpi.*

Marcel Proust

**Dzisiaj**

**Na pokładzie samolotu**

**14:00**

— A co się stało potem?

Przyjemny dla ucha sygnał zawiadomił, że obszar turbulencji został za nimi. Evie drgnęła i wróciła do rzeczywistości. Powrót do przeszłości pogrążył ją w stanie dziwnego transu.

— Co się wydarzyło w Nowym Jorku? — nie ustępował Mark. — Czy znalazłaś mordercę matki?

— Ja...

Evie zamilkła. Była zaskoczona, że tak łatwo otworzyła się przed kimś zupełnie obcym. Dlaczego mu to opowiedziała? Znała Marka zaledwie od kilku godzin. Jak ona,

która zwykle nikomu nie ufała, nagle zwierzyła się z największych tajemnic zupełnie obcemu facetowi? Ale mężczyzna obok niej miał w spojrzeniu, sposobie słuchania i wyglądzie coś, co świadczyło, że rozumie ją w stu procentach. To zachwiało jej stanem równowagi. Teraz jednak poczuła się zagrożona. Musi wyrwać się spod jego wpływu.

— Idę do toalety — oświadczyła.

Mark poczuł, że stracił z nią kontakt. Podniósł się, żeby pozwolić jej wyjść, i popatrzył za nią z żalem.

Opowiadanie Evie go poruszyło. Przypomniało mu się własne dzieciństwo i przyjaciel z tamtych lat, Connor. Spojrzała na córeczkę. Ukołysana przez jednostajny dźwięk czterech silników, z główką schyloną w kierunku okna, spała głęboko.

Samolot się uspokoił. Zapaliło się zielone światełko, oznaczające, że można było już korzystać z telefonów komórkowych. Umożliwiła to stacja GSM zamontowana w kabinie. Ku zdumieniu Marka połowa pasażerów wyciągnęła komórki i zaczęła nerwowo wybijać numery automatycznych sekretarek. Westchnął. Najwyraźniej w ciągu zaledwie trzech lat komunikacja w społeczeństwie weszła na kolejny poziom. Wkrótce pewnie ludzie wszczipią sobie specjalne chipy do uszu, żeby móc telefonować w każdej sytuacji, nawet we śnie czy będąc w łóżku z partnerem lub partnerką. Nigdy jeszcze nie porozumiewano się tak intensywnie, jednocześnie wcale się nie słysząc.

Narzekając w myślach na czasy, w których przyszło mu żyć, Mark zorientował się, że ma ze sobą komórkę Nicole. Wyciągnął ją z kieszeni marynarki i — jakimż to człowiek jest chodzącym paradoksem — zrobił dokładnie



to, co denerwowało go u współpasażerów sekundę wcześniej. Nie miał żadnych wiadomości, ale wiele nieodebranych połączeń pochodzących z numeru, którego nie znał. Od wyjazdu wiele razy próbował połączyć się z żoną w Nowym Jorku, bezskutecznie. Najwyraźniej Nicole nie wróciła do domu, a on nie miał pojęcia, gdzie mogła być.

Jednak spróbował połączyć się z numerem, który wyświetlił się na ekranie.

Jeden sygnał, drugi. Potem włączyła się automatyczna sekretarka:

„Dzień dobry, tu telefon państwa...”

Nagranie zostało przerwane, co uniemożliwiało Markowi zorientowanie się, do kogo zadzwonił.

— Mark?

Natychmiast rozpoznał głos żony.

— Nicole? To ja.

— Czy dobrze się czujesz?

— Ale gdzie ty się podziewasz? Cholernie się denerwowałem.

— Kochanie... Nie mogę długo z tobą rozmawiać.

Mark usłyszał w głosie żony napięcie i wielkie zdenerwowanie. Mimo że był na nią zły, w pierwszym odruchu zaczął ją uspokajać, żeby nie martwiła się o stan zdrowia córki.

— Layla siedzi tutaj obok mnie. Jest w doskonałej formie! I rozmawialiśmy!

Słyszając swoje imię, dziewczynka otworzyła oczy i przetarła je piąstkami. Ziewnęła.

— Chcesz przywitać się z mamą? — spytał Mark, wręczając jej telefon.

— Nie — odrzekło dziecko.

Zaskoczony Mark nie ustępował:

— Kochanie, powiedz mamie kilka słów, to ją z pewnością ucieszy...

— Nie! — powtórzyła dziewczynka stanowczo, odpychając rękę ojca.

Mark zamilkł zdezorientowany. Po kilku sekundach usłyszał w słuchawce głos Nicole:

— Posłuchaj, Mark, muszę się rozłączyć...

Ale on nie chciał o tym słyszeć.

— Zaczekaj! Dlaczego ona nie chce z tobą rozmawiać?

— Wiem, co stało się z Laylą — usłyszał w słuchawce głos Nicole.

Zdanie to uderzyło go jak policzek.

— Co ty opowiadasz? — wydusił. Mieszanka złości i rozpacz kazała mu zacisnąć pięści.

— Wiedziałaś, że ona żyje?!

— Tak mi przykro — usłyszał w odpowiedzi.

— Co tu się dzieje, do cholery?! Czy wreszcie powiesz mi prawdę?

— Nie powinienes mieć do mnie żalu.

— Przecież to mnie prawie zabiło! — krzyknął do słuchawki. — A ty patrzyłaś na to przez te wszystkie lata! Pogrzebałaś mnie za życia! A ona żyła!

— To nie jest tak, jak myślisz, Mark. Ja...

— Dość tej rozmowy! — zabrzmiało gdzieś z tyłu Nicole.

— Co to za facet? — spytał Mark.

— To jest zbyt skomplikowane... Ja...

— Odłóż słuchawkę, Nicole! — rozkazał głos.

— Kto to jest! — krzyknął Mark.

— To nie jest tak, jak myślisz! — powtórzyła Nicole.

— Rozłącz się albo wszystko popsujesz! — powtórzył zirytowany głos.

— Kocham cię! — powiedziała po prostu Nicole.  
I na tym się skończyło.

Mark znieruchomiał, wpatrzony w pustkę. Nie mógł się otrząsnąć z szoku. Minęło dziesięć minut od krótkiej rozmowy z Nicole. Wykręcił numer jeszcze raz, ale nie było już nawet automatycznej sekretarki. Żona kłamała w sprawie własnej córki. Było to kłamstwo straszne, gorsze od zdrady, gorsze od wszystkiego. Po raz pierwszy w jego myśli zakradło się zwątpienie: czy znał kobietę, którą poślubił? Od poprzedniego wieczoru wiele zebrało mu się pytań, na które nie miał odpowiedzi.

Najpierw dziennikarz na lotnisku, potem jego własna córka. Obie te osoby wydawały się ostrzegać go przed Nicole, ale je zlekceważył. Teraz nie wiedział, co robić. Umysł, serce i ciało reagowały na tę sytuację fizycznym i psychicznym załamaniem. Czterdzieści osiem godzin wcześniej był kłozardem, otępiały żył w podziemiach miasta, ratując się alkoholem.

Potem, oszalały z radości po odnalezieniu córki, uległ złudzeniu, że uda mu się wyjść z nałogu samodzielnie. Przez chwilę faktycznie dał radę, panował nad sytuacją, nad efektami *delirium tremens*, ale oto jego świat zawalił się po raz drugi i to nietrwałe zwycięstwo nie wytrzymało kolejnego ciosu. Zbity z tropu wbił wzrok w dłonie, które zaczęły znów drżeć. Cały się spocił, dusił się, musiał się ruszyć.

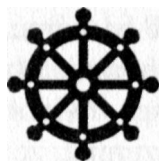
Kiedy gwałtownie podnosił się ze swojego miejsca, przypadkiem popatrzył na córeczkę, znów śpiącą. Oddychała głęboko i regularnie, twarz jej skąpana była w białym świetle słońca. Widok ten wystarczył, żeby Mark się uspokoił. Zrozumiał, że jedynie córka może go

uratować. Potrzebował jej tak, jak ona potrzebowała jego. Tak długo, jak z nią będzie, będzie ją chronił i w pewnym sensie ona będzie chroniła jego.

Evie stała nachylona nad toaletą i wymiotowała niewielkie śniadanie zjedzone kilka godzin wcześniej. Od rana było jej niedobrze, a stan ten tylko się zaostrzył podczas podróży. Ostatnio miała wiele problemów ze zdrowiem: bóle i zawroty głowy, nieprzyjemny szum w uszach... Nie mówiąc już o tym, że czuła się coraz słabsza.

Wyprostowała się, wytarła i przepłukała usta. Przeraziła się swoim odbiciem w lustrze. Uporczywy ból rozcinał czoło, w skroniach jej pulsowało. W małej kabinie było duszno i człowiek mógł się nabawić klaustrofobii. Muszę stąd jak najprędzej wyjść, bo zemdleję! — pomyślała. W ciągu sekundy przez myśl przebiegło jej sto obrazów. Wspomnienia, obawy, niewiele krótkich momentów radości... Wydało jej się nawet, że słyszy jakieś szepty.

Miała już wyjść z toalety, kiedy poczuła, że swędzi ją ręka. Musiała się podrapać przez T-shirt. Ale ten gest, zamiast przynieść jej ulgę, pogorszył sytuację i pieczenie wkrótce zmieniło się w ból. Prawie wbrew sobie zaczęła się drapać aż do krwi, nagle przerażona tym nieznanym stanem. Kiedy podniosła rękaw, zobaczyła liliowy siniak z tyłu lewego przedramienia. Wygięła się do tyłu, żeby sprawdzić, co to może być, i wtedy ujrzała w lustrze, że ma na ramieniu dziwny znak:



# 18

## Przeżyć

*Wspomnienia istnieją, ale ktoś przeprowadził przez nie elektryczność, połączył je z naszymi rękami i dlatego, jak tylko się je przywoła, palą nas oczy.*

Mathias Malzieu

### **Dzisiaj**

#### **Na pokładzie samolotu**

**14:15**

Samolot linii Shangri-La do Nowego Jorku, numer lotu 714, przelatywał niczym ciężkie ptaszysko nad wielkimi połaciami płaskiego ładu.

Evie zamknęła za sobą drzwi toalety, przerażona tym, co ujrzała. Na czole perliły jej się kropelki potu, oddech miała szybki i przeszywały ją dreszcze. Kto bez jej wiedzy wytatuował ten cholerny znak na ramieniu, znak, który tak dziwnie przypominał arabeski wyrysowane przez siedzącą obok niej dziewczynkę?

Niepewnym krokiem wracała na miejsce, z trudnością przeciskając się między stewardesami rozdającymi właś-

nie tace z posiłkiem i pasażerami, którzy wstali rozprostować nogi, aby uniknąć zapalenia żył czy zatoru płucnego, nowych syndromów podróży w klasie ekonomicznej, o których bez przerwy było głośno w mediach.

Evie dotarła wreszcie do swego rządu. Siadając, starała się nie obudzić Layli. Podziękowała Markowi, że wziął dla niej tacę z posiłkiem.

— Czy coś się stało? — spytał Mark, patrząc na jej zmienioną twarz.

— Nie, to tylko zmęczenie — rzuciła, wiedząc, że on nie da się oszukać.

— Gdybym mógł ci pomóc...

— Może mi pan podać mój plecak.

Mark wyciągnął plecak, który ześlizgnął się pod jego fotel. Suwak był niedomknięty i kiedy podniósł torbę, wypadła z niej książka.

Mark schylił się, żeby ją podnieść. Była to książka w twardej oprawie, o zniszczonej okładce i pozaginanych rogach, najwyraźniej wiele razy czytana. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie rzucić okiem na tytuł, który brzmiał:

### *Przeżyć*

autor: Connor McCoy

Mark zamarł. Kilka lat wcześniej Connor napisał tę książkę, chcąc zrzucić z siebie ciężar własnej przeszłości. Było to dzieło eklektyczne, w którym fachowa wiedza psychologiczna przeplatana była wspomnieniami z dzieciństwa. Connor, opierając się na doświadczeniach z własnej młodości i na wnioskach wyciągniętych z najbardziej spektakularnych sesji terapeutycznych, jakie zdarzyło mu

się prowadzić, starał się doradzić pacjentom, w jaki sposób pozbyć się lęków, zrozumieć stresy i przestać cierpieć. Książka, wydana w małej oficynie, nie mieściła się w popularnych standardach i dlatego nie była reklamowana tak, jak na to zasługiwała. Nie pisano o niej w prasie. Trafiała na początku do niewielkiej grupy czytelników, głównie dzięki poczcie pantoflowej, ale obecnie miała wielu oddanych fanów.

Mark obejrzał tył okładki. Była tam fotografia Connora spoglądającego ze smutnym uśmiechem, tak dobrze Markowi znajomym. To przypadkowe zetknięcie ze zdjęciem Connora wywołało u Marka prawdziwe wzruszenie. Swego czasu byli sobie tak bliscy. Przed jego upadkiem dzielili się wszystkim. Dlaczego nawet do niego nie zadzwonił, żeby zawiadomić go, że Layla się znalazła? Dlaczego nawet o tym nie pomyślał?

— To moja ulubiona książka — rzekła Evie. — Czy pan ją czytał?

— Napisał ją mój najlepszy przyjaciel — odpowiedział Mark, zwracając ją właścicielce.

— Pana najlepszy przyjaciel? To pan jest tym Markiem, o którym on tak często pisze?

— Tak. Wychowaliśmy się razem w tej samej dzielnicy Chicago.

— Wiem.

— Dlaczego powiedziałaś, że to twoja ulubiona książka? — chciał wiedzieć Mark.

— Bo ona mi bardzo pomogła. Głupio tak mówić, ale czasem mam wrażenie, że została napisana specjalnie dla mnie.

— To z pewnością największy komplement, jaki można zrobić autorowi — oświadczył Mark.

- Ale zawsze się zastanawiałam... — zaczęła Evie.
- Nad czym?
- Czy wszystko, o czym on pisze, to prawda?
- To wszystko prawda — zaświadczył Mark.

Zamilkł.

— Ale nie cała prawda — dodał po chwili, kładąc nacisk na słowach „niecała”.

Evie zmarszczyła brwi.

— To znaczy...?

— O niektórych bardzo ważnych rzeczach Connor nie mógł napisać.

— Dlaczego?

Mark spojrzał Evie w oczy. Czasem czuł, że umie osądzić osobę w pół sekundy. Przynajmniej pod tym względem, czy może obdarzyć ją zaufaniem.

Można jej zaufać, zapewnił go wewnętrzny głos.

— Dlaczego nie mógł napisać o wszystkim? — powtórzyła pytanie Evie.

— Żeby nie pójść do więzienia — odrzekł Mark.



# 19

## Mark i Connor Pierwszy flashback

**Listopad 1982**

**Przedmieście Chicago**

**Mark i Connor mają po dziesięć lat**

Dzielnica Greenwood na południu Chicago to skupisko nędzy i przestępczości. Widok to tragiczny: kilometrami ciągną się zniszczone chodniki, puste budynki, stoją wraki spalonych samochodów. Na opuszczonych terenach leży pełno śmieci. Handel prawie nie istnieje: kilka otwartych sklepów spożywczych ukrywa się za żelaznymi kratami, jest jeden supermarket, jeden bank, nie ma nawet szpitala. Dobrze prosperują jedynie sklepy monopolowe. Dzielnica wygląda, jakby w centrum Stanów Zjednoczonych pojawił się zbombardowany Bagdad.

W Greenwood prawie wszyscy mieszkańcy są czarni. Prawie wszyscy biedni. Od dawna ci, co mogli, uciekli z tego miejsca, w którym życie z roku na rok staje się coraz cięższe.

Mały Mark Hathaway mieszka z ojcem. Ojciec jest dozorcą w miejscowej szkole. Matka zostawiła ich, gdy chłopiec miał trzy lata. Gdy pytał ojca, dlaczego mama ich opuściła, ojciec powtarzał: „Bo nie była tu szczęśliwa”.

Nie, nie była szczęśliwa w tej szkole urządzonej jak forteca. To prawda, wszystko tu wygląda jak w oblężonej twierdzy: okna są zamurwane, drzwi opancerzone, a we wszystkich drzwiach wejściowych zamontowano detektory metalu, które regularnie co rano piszczą z powodu broni palnej i noży sprężynowych przemycanych na teren szkoły. Wszędzie jest pełno gangów narzucających okolicy swoje prawa. Rodzice i policjanci na emeryturze zorganizowali specjalne patrole, aby utrzymać spokój, lecz nie odniosło to wielkiego skutku. Dzieci przychodzą do szkoły zastraszone. Wiele z nich było już świadkami strzelaniny czy morderstwa i ma różne problemy neurologiczne.

Zimowy wieczór. Jest siódma. W szkole nikogo już nie ma. W jednej z klas na ostatnim piętrze zapaliło się światło.

Dziesięcioletni Mark kieruje się ku małej szkolnej bibliotece stojącej przy ścianie w głębi pomieszczenia. Tak naprawdę „biblioteka” to zbyt poważna nazwa dla etażerki z płyty pilśniowej, na której stoi kilkadziesiąt tanich powieści. Co wieczór, gdy ojciec wychyla piwo, Mark chowa się tu, gdzie ma spokój, aby skończyć odrabianie lekcji. Ojciec jest co prawda alkoholikiem, lecz spokojnym, nie awanturuje się. Co najwyżej, po trzech czy czterech budweiserach pomstuje na Reagana, na Kongres, na władze komunalne, na czarnych, na Azjatów,

na Meksykanów, na swoją byłą żonę i w końcu na całe społeczeństwo, które czyni odpowiedzialnym za własną nędzę i nieszczęście.

Mark przesuwa palcem po rzędzie książek na półce, aż znajduje poszukiwany tytuł: *Zabić drozda*. Autorką książki jest Harper Lee. Mark przeczytał już dwieście stron, ale książka tak mu się podoba, że stara się czytać tylko jeden rozdział dziennie, żeby wystarczyła mu na dłużej. Jest to wspaniała opowieść o adwokacie, który samotnie wychowuje dwójkę dzieci w małym miasteczku w stanie Alabama podczas Wielkiego Kryzysu w latach trzydziestych. W miasteczku życie płynie spokojnie aż do dnia, gdy zostaje on oficjalnie wyznaczony do obrony Murzyna niesprawiedliwie oskarżonego o gwałt na białej kobiecie. Mimo braku tolerancji współmieszkańców i ich pełnej uprzedzeń postawy, adwokat postara się, aby wygrała prawda.

Mark siada w jednej z ławek, wyjmuje z papierowej torebki kanapkę z pastą orzechową i zagłębia się w lekturze. Książka bardzo go uspokaja, gdyż daje mu nadzieję na to, że czasem inteligencja ludzka i odwaga cywilna mogą zatrumfować nad przemocą i głupotą. Inteligencja... Już od pewnego czasu Mark zrozumiał, że jest dość bystry, nawet jeśli nie dowodziły tego średnie oceny, jakie przynosił ze szkoły. Trzeba powiedzieć, że w jego klasie nie lubiano dobrych uczniów i często dawano im na przerwach prawdziwy wycisk. Dlatego Mark postanowił ukrywać swoje zdolności, udawać, że jest taki jak inni, i uczyć się samodzielnie.

Nagle panującą wokół ciszę przerwał głuchy odgłos, który się powtórzył. Zaniepokojony Mark podniósł głowę znad książki. Czy to rury kanalizacyjne? A może szczur?

Hałas dochodził z szafki, w której nauczyciel chował przybory do rysunków. Mark, przestraszony, ale zaintrygowany, zawahał się chwilę, zanim uchylił drzwi od szafki. W głębi zauważył chłopca mniej więcej w tym samym wieku co on. Chłopiec wyglądał na wyczerpanego.

Teraz, najwyraźniej przestraszony, wyskoczył z szafy i podbiegł do drzwi. Wszyscy w tej szkole cały czas się bali, bo działano według reguły: najpierw zbić, a dopiero później się odezwać. Jednak ten chłopiec, gdy był już przy drzwiach, odwrócił się. Przez chwilę obaj patrzyli na siebie ze zdziwieniem.

— Co robiłeś w tej szafie? — spytał Mark.

Mimo że nigdy z nim nie rozmawiał, znał chłopca z widzenia. Był dziwny, trzymał się na uboczu, przypominał przybysza z obcej planety. Mark przypomniał sobie nawet jego imię: chyba nazywał się Connor.

— Spałem — odrzekł Connor.

Przypominał findesieclowego Huckleberry'ego Finna. Cały był potargany, chude ciało okrywały brudne i za ciasne ubrania.

- Jesteś głodny? — spytał go Mark, już wspomagany intuicją pozwalającą odgadnąć emocje targające drugą osobą.

- Trochę — odrzekł Connor po chwili wahania.

Tak naprawdę od rana nic nie jadł. Rodzina zastępcza, do której trafił ostatnio, nie była dla niego zbyt dobra. Pomiatali nim i regularnie karali, aby „nauczyć go życia”.

Tyle że życie on już znał. Rodzice porzucili go zaraz po urodzeniu, tułał się od jednej przybranej rodziny do drugiej, przeżył już i przecierpiał wiele. Wszystko to jednak wyparł ze swojej świadomości. Najchętniej uciekał

w stworzony przez siebie wyimaginowany świat, do którego on jeden znał klucz.

— Masz! — rzekł Mark, dzieląc się z nim kanapką.

Niepewny, jak zareagować, Connor zawahał się chwilę, do tej pory nikt nie był dla niego bezinteresownie dobry. Nikt go nie kochał, nikt nie był dla niego miły. Connor nie ufał nikomu. Teraz jednak w oczach Marka zauważył coś dziwnego: milczącą akceptację, obietnicę przyjaźni. Chwycił połówkę sandwicza i usiadł obok Marka pod ścianą.

Przez moment byli zwykłymi dziećmi.

**1982, 1983, 1984...**

**Na śmierć i życie...**

Mark i Connor spotykali się odtąd co wieczór w tej samej sali klasowej. Na zewnątrz królował zamęt, krążyły narkotyki, płonęły samochody, walczyły ze sobą gangi, broń przechodziła z rąk do rąk. A ci dwaj chłopcy mieli swój kącik, w którym panował spokój. Przebywając tu, przestawali się bać. Przez tygodnie i miesiące poznali się bliżej i nauczyli się sobie ufać. Mark miał naturę intuicyjną. Wytrwały, pełen współczucia, był delikatniejszy i łatwiej ulegał wpływom niż skryty Connor, który był z kolei spokojny i każdą decyzję najpierw musiał przemyśleć. Poza tym już wówczas poszukiwał absolutu.

Obydwaj zdecydowali się działać wspólnie.

Razem odrabiali lekcje, czytali, słuchali muzyki i ku swemu zdumieniu, dużo się śmiali. Odkryli, że życie to nie tylko cierpienie, nie tylko samotność. Że stosunki między ludźmi to nie tylko podporządkowanie słabszego

silniejszemu. Poczuli się bezpieczni emocjonalnie, znaleźli wiarę i siłę. Wiarę, że cokolwiek się stanie, zawsze mogą na siebie liczyć. Siłę, żeby nie dać się złamać.

\*

## Luty 1984

W Chicago była szósta rano i niebo powoli stawało się niebieskie. Jak prawie zawsze, Connora zbudziło uczucie zimna. Chłopiec spał w jadalni, na materacu położonym wprost na podłodze, bez pościeli. Wstał, poszedł do kuchni, przemył twarz nad zlewem. Wyszedł z mieszkania, kiedy jeszcze wszyscy spali. W mieście było zimno jak na Alasce. Normalnie, żeby dostać się do szkoły, powinien wsiąść do metra tuż pod domem, ale stacja została zamknięta przez władze miejskie, które miały nadzieję w ten sposób zmniejszyć przestępczość. To specyfika Greenwood: autobusy jeździły tu tylko wtedy, gdy eskortowała je policja. Więc Connor szedł do szkoły pieszo, po drodze zbierając puste puszki aluminiowe, by je potem sprzedać za parę centów. Wieczorami w towarzystwie rówieśników zdarzało mu się kręcić wokół stacji benzynowych na South Side w nadziei zarobienia paru groszy: nalewał benzynę, pucował karoserię lub choćby mył przednią szybę.

Z czasem zrozumiał reguły rządzące życiem w tej dzielnicy, prawo przemocy, oszustwa, układy. Ale można znać te zasady i nigdy się do nich nie stosować.

Gdy dotarł wreszcie na Sześćdziesiątą Pierwszą Ulicę, słońce stało już wysoko i w Hyde Parku było zupełnie jasno. Dziwne to było miejsce: niby jest się cały czas w getcie, ale niedaleko znajduje się prestiżowy Uniwersytet Chicagowski, uczelnia dla dzieci z najlepszych

rodzin, w którym rok studiów kosztuje trzydzieści tysięcy dolarów. Getto i uniwersytet: trzeci świat i „świątynia wiedzy” — wszystko oddzielone od siebie zaledwie paroma ulicami...

Za każdym razem, gdy szedł tą ulicą, Connor patrzył na zachód, w kierunku kampusu. Dlaczego życie potrafi być takie niesprawiedliwe? Tak łatwe dla jednych, tak trudne dla innych. Jaki jest w tym sens? Czy jest w tym jakaś logika? A może faktycznie istnieje Bóg i on wystawia nas na próbę?

Connor tego nie wiedział. Chciał tylko za wszelką cenę znaleźć się „po drugiej stronie”. Któregoś dnia on i Mark opuszczają tę podłą dzielnicę.

Ale dokąd pójda? Co będą robić?

W głowie Connora nie powstał jeszcze żaden sprecyzowany plan, lecz chłopiec czuł, że jego powołaniem jest pomaganie ludziom takim jak on.

\*

## **Sierpień 1986**

### **Mark i Connor mają po czternaście lat**

Na boisku do koszykówki zalanym słońcem Mark i Connor, tylko w krótkich spodenkach, zlni potem, odbywają bezlitosny pojedynek. Na ziemi stoi tranzystor ze zniszczonymi głośnikami, nadający ostatni numer Jamesa Browna, *Living in America*.

Connor próbuje trafić piłką do kosza. Piłka odbija się od metalowej obręczy, chwilę wisi w powietrzu i opada obok. Teraz piłkę przejmuje Mark, który akrobatycznym skokiem wkłada ją do kosza i wygrywa mecz, po czym tańczy na boisku indiański taniec zwycięstwa, żeby podrażnić się z przyjacielem.

— Pozwoliłem ci wygrać! — rzuca Connor.

— Akurat! A widziałeś ten rzut w stylu Magica Johnsona?

Obaj chłopcy, wyczerpani, siadają pod siatką ogrodzenia. Podają sobie butelkę nagrzaną słońcem coca-coli. Przez chwilę milczą, po czym po raz setny zaczynają rozmowę na ulubiony temat: jak wydostać się z getta. Od pewnego czasu problem ten obsesyjnie do nich wraca. W South Side nie ma przyszłości, nie ma perspektyw. Istnieje jedynie alternatywa: albo przeżyć, albo stąd uciec.

Obydwaj marzą o stypendium, aby móc dostać się do którejś z wyższych uczelni w centrum miasta. Mają co prawda dobre stopnie, ale to nie wystarczy, aby zapomniano o ponurej reputacji, jaką ma ich szkoła.

Szybko zrozumieli, że tylko oni mogą rozwiązać ten problem i że żadne instytucje im w tym nie pomogą. Ale aby opuścić getto, trzeba dużo pieniędzy, bardzo dużo. A zarobić te pieniądze mogą jedynie na handlu narkotykami.

W dzielnicy handel ten kwitnie. Władza, biznes, stosunki społeczne, wszystko zależy od handlu narkotykami. Nie oszczędza on nikogo. Wszyscy mają przynajmniej jakiegoś krewnego, jeśli nie przyjaciela czy współmałżonka, który albo sam się narkotyzuje, albo jest dealerem. Narkotyki rozzuchwalają czterech jeźdźców apokalipsy: przemoc, strach, chorobę i śmierć. Niektórzy policjanci nawet sami handlują i zatrzymują część zarekwirowanego towaru na prywatny użytek albo po to, żeby go odsprzedać z zyskiem.

Mark i Connor wiedzą, że dobrze prosperujący dealer zarabia kilka tysięcy dolarów tygodniowo. Niektórzy z ich szkolnych kolegów przestali przychodzić na lekcje, bo



woleli pracować dla gangu przy tym lukratywnym biznesie. Więc jest zupełnie naturalne, że któregoś dnia im również przychodzi na myśl taki pomysł.

— A dlaczego nie mielibyśmy robić tak samo? — rzuca Mark.

— Co tak samo? — pyta Connor, marszcząc brwi.

— Wiesz dobrze, o czym mówię. Jesteśmy inteligentni i zaradni. Moglibyśmy skorzystać z tych układów. Jargo już nam proponował współpracę. Wiesz, ile on zarabia tygodniowo?

Connor denerwuje się.

— Nie mam najmniejszej ochoty maczać w tym palców.

— Przecież ja ci mówię o handlu, nie o braniu. Jeśli będziemy działać mądrze, to przez dwa lata odłożymy pieniądze na studia. To będzie przynajmniej sensowny cel.

— Nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

— Nie bylibyśmy pierwsi! Wiesz przecież, co robił stary Kennedy podczas prohibicji? Handlował nielegalnie alkoholem. Tak zbił majątek. Dzięki temu jego syn został prezydentem, a my dostaliśmy prawa obywatelskie!

— Ach, wszystko ci się pomieszało!

Teraz zdenerwował się Mark.

— Więc wymyśl coś innego. W jaki inny sposób możemy zarobić na studia? Jeśli stąd nie wyjedziemy, za dziesięć lat będziemy albo w ciupie, albo na cmentarzu!

— W cuda nie wierzę, ale jeśli zrezygnujemy... — powiada Connor. Głos mu się łamie, ponieważ krępuje się powiedzieć to, o co mu chodzi. Przełyka ślinę. Kończy zdanie, patrząc przyjacielowi prosto w oczy:

— ...jeśli zrezygnujemy z naszych zasad, to tak, jakbyśmy zrezygnowali ze wszystkiego.

Mark chce coś powiedzieć, ale tylko zaciska pięści, odwraca się ku siatce i uderza w nią z całych sił. Wstydzi się, jest wściekły, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy.

Connor wie, co czuje przyjaciel. Kładzie mu dłoń na ramieniu.

— Nie przejmuj się, zobaczysz, że któregoś dnia wreszcie nam się powiedzie — mówi z całym przekonaniem, na jakie go stać. — Nie wiem jak, ale przysięgam ci, że wydostaniemy się stąd.

### **13 października 1987**

**19:36**

Connor siedzi po turecku, na kolanach trzyma książkę, uszy zatyka rękami i stara się nie słyszeć panującego wokół zgiełku. Ale nie może się skupić. Hałas jest zbyt wielki, w jadalni ryczy telewizor, którego nikt nie słucho, ale i nikt nie wyłącza, z pokoiów dobiega głośna muzyka, krzyki dzieci, które się biją i wyzywają. Nie ma gdzie odrobić lekcji. Nigdzie nie ma spokojnego kąta. Klasa, w której spotykał się z Markiem po zajęciach, jest obecnie niedostępna, bo znalazł się jakiś nadgorliwy strażnik nocny i ich wygonił.

Wściekły Connor wstaje i wychodzi z mieszkania, trzaskając drzwiami. Dociera do klatki schodowej, z której stara się szybko wyjść. Wie, że to jest ulubione miejsce dealerów. W końcu łąduje w pomieszczeniu, w którym stoją kubły na śmieci. Stoi tutaj rząd metalowych zbiorników. Jest zimno i ciemno. Connor przegląda każdy zbiornik i w końcu, znudzony, siada przy jednym z nich,

pustym i niezbyt śmierzącym. Wzdychając, otwiera książkę i wyjmuje z kieszeni ołówki. Jest coś rozpaczliwego w tym, że musi odrabiać lekcje w śmietniku, ale przyrzekł sobie walczyć do końca i nigdy nie rezygnować, aby tylko móc pójść na studia. Kto wie, może kiedyś szczęście się do niego uśmiechnie...

Po paru minutach lektury zapomniał o otaczającej go rzeczywistości. Książkę, w której się zagłębił, polecił mu jeden z nauczycieli: jest to *Popularna historia Stanów Zjednoczonych* napisana przez Howarda Zinna. To przekrój pasjonujących dziejów Ameryki odtworzonych na podstawie wspomnień przedstawicieli zmarginalizowanych grup społecznych: Indian, niewolników, dezertersów z wojny secesyjnej, robotnic z fabryk tekstylnych. Historia, jaką opowiada lud, różni się często od oficjalnej wersji podawanej przez szkolne podręczniki.

Zajęty lekturą Connor nie usłyszał zbliżających się kroków. Gdy podniósł głowę, zobaczył, że z obydwu stron stoją jakieś dwa typy. Znał ich z widzenia, to dwóch drobnych gangsterów z dzielnicy, którzy teraz patrzyli na niego bez sympatii.

— No co, frajerze, bawimy się w śmieciach?

Connor zrywa się i rzuca do ucieczki, ale jest już za późno. Chuligani podnoszą go i wrzucają do pojemnika z odpadkami.

— Wiesz, co my robimy ze śmieciami? — słyszy głos dobiegający z góry. Stara się wstać. Dotyka nosa. Czuje, że leci mu krew.

— Śmiecie się pali! — ryczy dealer.

Connor podnosi głowę i widzi, jak jeden z dealerów trzyma w ręce kanister z benzyną. Nie ma nawet czasu krzyknąć, gdy już jest nią oblanym od stóp do głów.

— Chcesz ognia? — proponuje jeden z chłopaków, zapalając zapałkę.

Przerażony Connor stara się jeszcze pomyśleć, że oni chcą go dla żartu tylko postraszyć, chociaż w głębi ducha wie, że dla takich jak oni życie ludzkie znaczy niewiele.

Faktycznie, zapalona zapałka spada na niego i Connor natychmiast staje w płomieniach. Całe ciało zapala się jak pochodnia, a pokrywa od śmietnika się zamyka.

Connor dusi się, szarpie na wszystkie strony, stara się wydostać z tej metalowej pułapki. W końcu zbiornik przewraca się i uwalnia go, ale płomienie cały czas go parzą. W okropnym bólu Connor biegnie na oślep, jakoś dociera na podwórko i rzuca się na ziemię, żeby ugasić płonące na nim ubranie. Powoli przestaje cokolwiek widzieć. Faktycznie, los się odmienił, ale nie w taki sposób, w jaki on się spodziewał. W ułamku sekundy Connor zrozumiał, że jego życie od tej pory zmieniło się na zawsze.

Mdleje.

Ma piętnaście lat.

Chciał tylko w spokoju odrobić lekcje.

# 20

## Mark i Connor Drugi flashback

**13 października 1987**

**21:18**

Karetką na sygnale wjechała na parking izby przyjęć chicagowskiego Szpitala Prezbiteriańskiego. Connor, leżący bez ruchu na noszach, został natychmiast przemyty letnią wodą, aby ochłodzić poparzoną skórę. Kawałki spalonego ubrania przyklejały się do ciała i trzeba było użyć środka znieczulającego, żeby móc je oderwać. Chłopiec został zaintubowany, po czym podłączono mu kropłówkę i skierowano na oddział poparzonych, gdzie zajęła się nim doktor Loreena McCormick.

Ona też dokonała wstępnych oględzin: ciało poparzone w pięćdziesięciu procentach, ramiona, nogi i klatka piersiowa były jęczącymi się ranami. Poparzeniami dotknięte były również dolna część szyi i prawa dłoń. Niektóre z ran były bardzo głębokie i zagrażały jego życiu. To cud, że twarz miał nietkniętą.

Loreena McCormick umieściła Connora na oddziale intensywnej terapii, gdzie wprowadzono go w stan głębokiej narkozy, zanim zaczęto leczyć rany kąpielami antyseptycznymi i maściami odkażającymi. Potem oparzenia zostały okryte sterylnymi kompresami, które przez całą noc zmieniano, aby utrzymać stałą wilgotność i aby rany były wciąż dezynfekowane.

\*

Connor leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami. Wyglądał jak mumia, cały obandażowany, podłączony do różnych kroplówek i linek. Czuł szpitalne otępienie. U wezłowania łóżka stała Loreena McCormick i przyglądała mu się w milczeniu. Ten chłopiec mógłby być jej synem.

Mimo że dzień jej pracy już dawno się skończył, nie mogła się zdecydować na opuszczenie pokoju chorego. Miała wrażenie, że otaczający ją świat stawał się coraz bardziej wrogi, niehumaniczny, wręcz barbarzyński. Skończyła właśnie czterdzieści pięć lat i wiedziała, że prawdopodobnie nie będzie już miała własnych dzieci. Powodem była jej kariera, to, że nigdy tak naprawdę się nie zakochała, ale również dręczący ją strach, nad którym nie umiała zapanować, że w tym zwariowanym świecie nie potrafi ochronić dziecka przed grożącymi mu niebezpieczeństwami.

Stała zamyślona, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł nastolatek, którego gonił strażnik.

— Puszczaj! To jest mój przyjaciel! — wrzasnął Mark, podczas gdy strażnik, trzy razy większy od niego Murzyn, złapał go za szyję.

Loreenie udało się przekonać strażnika, żeby puścił chłopca.

— To mój przyjaciel! — powtórzył Mark, zbliżając się do łóżka.

— Gdzie są jego rodzice? Znasz ich? — spytała lekarka.

— On nie ma rodziców.

Loreena podeszła do Marka.

— Jestem doktor McCormick — powiedziała. — To ja zajmuję się twoim kolegą.

— Czy on umrze? — spytał Mark ze łzami w oczach.

Loreena podeszła jeszcze bliżej chłopca i zobaczyła jego błagalne spojrzenie.

— Czy on umrze? — powtórzył Mark. — Proszę mi powiedzieć prawdę.

— No, jest w bardzo poważnym stanie... — zaczęła Loreena.

Zapadło milczenie.

— Ale ma szanse przeżycia — oznajmiła w końcu lekarka, zapraszając Marka gestem ręki, żeby usiadł na krześle obok łóżka. — Chcesz wiedzieć prawdę, oto ona: ciało twojego przyjaciela jest poparzone w ponad pięćdziesięciu procentach. Przez dwa nadchodzące dni będziemy go utrzymywali w głębokim uśpieniu. W takim stanie on nic nie czuje, nie cierpi. Jest młody, zdrowy, jego system oddechowy został oszczędzony, nie zatruł się żadnymi toksycznymi gazami. To dobre nowiny.

— A złe?

— Problem w tym, że jego rany mogą się zainfekować. Kiedy skóra jest spalona, nie chroni już nas przed bakteriami. Nasz organizm nie umie się wówczas bronić przed zmasowanym atakiem zarazków. Stan jego ran może się pogorszyć, może zachorować na ropnicę. Ropnica to jest...

— Zakażenie krwi, wiem — rzekł Mark.

— Więc musisz być cierpliwy i modlić się, żeby wszystko dobrze się skończyło.

— Ja nie wierzę w Boga — oznajmił Mark. — A pani wierzy?

Loreena popatrzyła na niego stropiona.

— Ja... Nie wiem.

— Ja wierzę w panią. Błagam, niech pani go uratuje.

## **W głowie Connora**

### **Między życiem...**

#### **...a śmiercią**

Lecę.

Nie, spadam.

Spadam ku niebu, spadam i spadam.

Jestem lekki jak piórko. Wznoszę się. Lecę na miękkim dywanie. Obmywa mnie światło.

Jest mi dobrze.

Wszystko widzę i wszystko rozumiem.

Wszystko jest gdzieś zapisane.

Wszystko ma swój sens, dobro, zło i ból...

Jest mi dobrze.

Ale wiem, że ten stan nie będzie trwał.

Wiem, że o wszystkim zapomnę.

\*

## **15 października 1987**

Teraz, kiedy minął już okres krytyczny, Loreena McCormick starała się wyciąć jak najwięcej martwej tkanki. Skóra Connora wyglądała jak wyszorowana silnym deter-



gentem. Krwawą masę zastąpiła pofałdowana, granulowana tkanka. Trudno było dokładnie ocenić głębokość szkód. Na razie stan Connora był stabilny, ale wciąż istniało ryzyko zakażenia krwi lub komplikacji ze strony systemu oddechowego.

Loreena nacięła lancetem klatkę piersiową i szyję pacjenta, aby umożliwić krążenie krwi i uniknąć pogłębiania się ran. Następnie wycięła dwa centymetry kwadratowe skóry poniżej pośladków. Próbkę tę zamierzała wysłać do laboratorium w Bostonie, w którym dwa lata wcześniej wynaleziono metodę pozwalającą na wyhodowanie komórek z niewielkiego kawałka skóry. Technika ta była jeszcze w stadium eksperymentu, lecz Loreena postanowiła zaryzykować. Nawet wiedząc, że proces ten może trwać kilka lat i że trudno przewidzieć jego następstwa.

Na koniec postanowiła zmniejszyć dawki leków uspokajających, żeby Connor powoli zaczął wracać do przytomności.

\*

## **W głowie Connora**

### **Między życiem...**

#### **...a śmiercią**

Wciąż frunę, lecz teraz wolniej, ospale.

Moje ciało staje się ciężkie jak ołów.

Opuszczam się coraz niżej,

bliżej świata, odczuć ludzi.

Znów się boję, boję się cierpienia, śmierci.

Chmury wokół mnie nie są już białe, stają się purpurową, palącą, duszącą parą.

Wszystko mnie boli. Płonę.  
Teraz wszystko jest czerwone, jak lawa wulkanu, jak stop.  
Smutek.  
Koniec podróży.  
Otwieram oczy...

## **16 października 1987**

Connor otwiera oczy. Leży na wielkiej jasnej sali oddziału poparzeń. W głowie mu szumi. Próbuje się ruszyć, ale szybko rozumie, że to nierozsądne. Opuszcza głowę i widzi, że cały jest zabandażowany. Nagle przypomina sobie wszystko. Strach go paraliżuje.

— Witaj, staruszkule! — odzywa się wzruszony Mark.

— Dzień dobry, Connor! — wita go Loreena. — Jak się czujesz?

Chłopak rozgląda się i otwiera usta, ale nie jest w stanie nic powiedzieć.

— Nie martw się, teraz się tobą porządnie zajmiemy — obiecuje Mark.

## **17 października 1987**

Przy pomocy pielęgniarki Loreena zdjęła bandaż z klatki piersiowej młodego pacjenta. Connor postanowił obejrzeć swoje rany. Zrobiło mu się niedobrze. Chciał okazać się silnym mężczyzną, rzeczywistość go jednak przerosła. Ciało jego wygląda jak owrzodzone cielsko jakiegoś potwora. Chce mu się płakać. Nie ma wyjścia z tej sytuacji. Jak to wyleczyć?!

— Strach to normalna reakcja — pociesza go Loreena, patrząc mu w oczy.

Connor nie wie, co myśleć o tej lekarce. Często mówi to, co myśli, nie owija rzeczy w bawełnę. Ale Mark chyba jej ufa. Zapewnił go, że „ona jest taka sama jak my”.

— Pozwól, że ci wszystko wyjaśnię — mówi Loreena, siadając obok niego. — W miejsce najgłębszych ran wszczepiliśmy tkankę pochodzenia zwierzęcego.

— Zwierzęcego?

— Tak, tkankę świńską, to jest najpowszechniej stosowana metoda. Twój system immunologiczny odrzuci ją, ale na początku, zanim to się stanie, posłuży ci ona za naturalny opatrunek i w ten sposób unikniesz zakażenia.

— A potem?

— Potem postaramy się wszczepić ci tkankę ludzką.

— A skąd ją pani weźmie?

— Z twojego ciała. To się nazywa autoprzyszczep. Zdejmę żyłką cienką warstwę twojej skóry, która nie uległa poparzeniu, i przeszczepię w miejsce poparzeń.

— To nie wystarczy, przecież cały jestem poparzony! — jęknął Connor.

— Musisz mi zaufać — rzekła Loreena.

— Jak mogę pani ufać, skoro nie mówi mi pani prawdy?

— Masz rację, to nie wystarczy — przyznała lekarka. — Dlatego wysłaliśmy próbkę twojej tkanki do laboratorium w Bostonie, które postara się wyhodować z niej twoje komórki, większą powierzchnię twojej skóry. Rozumiesz?

— Rozumiem, że zdechnę i tyle.

## Listopad 1987

Pierwszy przeszczep.

Straszliwy ból, którego nie da się uśmierzyć żadnymi środkami.

Prawe ramię Connora leży na szynie. Szyję ma unieruchomioną w specjalnym kołnierzu.

Mark codziennie go odwiedza. Czyta mu *Hrabiego Monte Christo* Aleksandra Dumasa. Okrutna zemsta mężczyzny, ofiary niesprawiedliwości losu, uwięzionego na piętnaście lat...

Okrutna zemsta...

\*

## Gwiazdka 1987

Connor jest przeraźliwie chudy.

Czy można stracić piętnaście kilogramów w ciągu dwóch miesięcy?

Loreena wyjaśnia mu, że mimo dostarczania bardzo wielu kalorii, organizm jest wyczerpany, co powoduje, że ludzie łatwo ulegają różnym infekcjom.

Prawa ręka Connora jest w bardzo złym stanie.

Dwudziestego piątego grudnia trzeba amputować mu kawałek palca.

Szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia!

## Styczeń 1988

Od czasu, kiedy został napadnięty, tylko raz przeszukiwała go policja. Opowiedział im wszystko, podał nawet nazwiska tych drani i ich adresy. Na tym się skończyło.

Jednak Mark kontynuuje własne śledztwo. Obydwaj dealerzy wciąż działają w tej dzielnicy, nawet się nie ukrywają.

W głowie Connora rodzi się pewna idea.  
Okrutna zemsta.

## **Luty 1988**

W niektórych miejscach przeszczepy się nie przyjmują.  
Ciało pozostaje raną.  
Trzeba wszystko zaczynać od nowa.

Prawe ramię Connora jest sparaliżowane, musi nauczyć się pisać lewą ręką.

Żeby się w tym ćwiczyć, godzinami sporządza szkice i portrety w specjalnym zeszycie.

Rysuje zwłaszcza jedną twarz. Rysowanie tej twarzy go uspokaja.

To twarz jakiejś nieznanym kobiety.

Kobiety, której jeszcze nie zna...

## **Wiosna — lato 1988**

Trwa przeszczepianie skóry. Powoli ciało Connora jest rekonstruowane. Pokrywają je blizny, które trzeba ścisnąć bandażem elastycznym. Od pewnego już czasu Connor zaczął się z powrotem uczyć, zapisał się na koresponden-

cyjne kursy dla młodzieży przebywającej w szpitalu. Nie zarzucił nauki. To jedyna rzecz, która go trzyma przy życiu, oczywiście oprócz obecności wiernego Marka.

\*

## **Jesień 1988**

Oparzenia na nogach zmuszają Connora do leżenia. Mija już rok tych tortur: codziennego bólu i conocnych koszmarów. Jedno jest pewne: takie przejścia nie mijają bez śladu. Nie czynią człowieka lepszym ani silniejszym.

## **Grudzień 1988**

Poranek Bożego Narodzenia.

Loreena McCormick otwiera drzwi pokoju Connora. Od czternastu miesięcy jest to pierwszy dzień, w którym łóżko jest puste. Poprzedniego dnia chłopak został przewieziony do centrum reedukacyjnego na drugim końcu miasta, ale to nie ona się tym zajmowała.

Loreena stoi kilka minut nieruchomo w zimnym, niebieskawym świetle zalewającym pokój. Czasem, gdy któryś z jej pacjentów opuszcza ją, odczuwa wielką pustkę. Dziś odczuwa ją bardziej niż kiedykolwiek. Na poduszce leży list od Connora. Na kopercie skreślił „Doktor McCormick” i napisał po prostu:

*Loreena*

Lekarka wkłada list do kieszeni fartucha. Otworzy go potem, w domu.

W szufladzie w szafce nocnej zostało pełno jakichś kartek. Loreena przegląda je: dziesiątki szkiców tej samej twarzy, twarzy młodej kobiety, której Loreena nie zna.

Długo wpatruje się w te rysunki.

Potem zgarnia je i wkłada do teczki z lekarską dokumentacją Connora.

Może kiedyś dowie się, kim jest ta kobieta.

\*

## **Czerwiec 1989**

Connor zdaje maturę. Opuszcza centrum reedukacji i zamieszkuje w internacie. Przez pół roku uczęszcza na zajęcia z fizykoterapii i na masaże, aby odzyskać pełną władzę w mięśniach. Szyja i klatka piersiowa są czerwono-fioletowe. Ponieważ rany w procesie gojenia kurczyły się, a w miejscach zrostu tworzyły się szpecące blizny, Connor ma trudności z poruszaniem się i musi od nowa uczyć się chodzić, jeść, siadać, pisać...

Ale ma jeszcze inne blizny. Na duszy, a te wywołują gorsze cierpienie...

Po raz pierwszy od półtora roku wychodzi na ulicę. Wszystko, samochody, przechodnie, w ogóle życie, wywołuje w nim strach. Byle jaki hałas — dreszcze. Rzeczy następują zbyt szybko po sobie. Connor odbiera to jako agresję.

Przekonuje się, że aby zdusić ból, jest tylko jeden sposób: okrutna zemsta.

## Październik 1989

Niewiele czasu potrzebowali, aby ich odnaleźć. Obydwaj dealerzy ukrywali się w opuszczonym budynku za torami. Przez wiele dni Connor śledził ich, aby ustalić, jakie mają zwyczaje, i zebrać konieczne informacje. W ciągu minionych dwóch lat handlarze narkotykami awansowali: nie są już prostymi sprzedawcami, teraz są prawdziwymi szefami, od których zależy duża część handlu heroiną w południowej dzielnicy. Ponieważ rzadko przemieszczają się sami, Connor musiał czekać na odpowiedni moment, żeby móc wprowadzić w życie swój plan.

Odpowiedni moment nadszedł tego wieczoru.

Obydwaj wyszli z baru i Connor zauważył, że nie byli zbyt trzeźwi. Na parkingu wsiedli do starego rudego mustanga. Connor pozwolił im odjechać, sam wołał iść pieszo, aby zdać sobie sprawę z bólu, jaki wciąż sprawiał mu ruch.

Kiedy wreszcie dotarł do zrujnowanego budynku, była druga rano. Wszedł do ciemnej klatki schodowej, w której powyrywano skrzynki na listy. Po ciemku wszedł po schodach. Nie bał się. Podeszedł pod drzwi, które wydały się aż wibrować od głośnej muzyki dobiegającej z drugiej strony. Kopniakiem je wywalił — był to ruch, który powtarzał setki razy, ćwicząc go w centrum reedukacji.

Obydwaj dealerzy siedzieli na zniszczonej kanapie, patrząc na niego ze zdumieniem. Byli kompletnie pijani, a prócz tego naćpani. Connor podeszedł do nich. Znajdowali się w jakimś brudnym mieszkaniu, skąpanym w żółtym ponurym świetle. Na skrzynce udającej niski stolik walały się strzykawki, torebka z heroiną i pistolet



z posrebrzaną kolbą, leżący na otwartym kuferku pełnym dolarów.

Jeden z dealerów sięgnął po broń, ale zbyt późno. Connor przechylił kuferek i chwycił pistolet.

Wymierzył nim prosto w obydwu facetów, gotów do strzału.

Patrzyli na niego, potrząsając głowami.

— Kurwa, a kto ty jesteś? — spytał jeden z nich.

— Kto ja jestem?

Connor zamarł. Dziesiątki razy odegrał przed sobą tę scenę w wyobraźni, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego napastnicy mogą go po prostu nie poznać.

Wsadził rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął dwie pary kajdanków, które kupił za pięćdziesiąt dolarów od jakiegoś policjanta.

— Przypnijcie się do kaloryfera! — rozkazał.

— Zaczekaj, może porozma...

Wystrzał przerywa zdanie dealerowi, który dotyka dłonią uda i widzi, że jest cały zakrwawiony.

— Przypnijcie się! — powtarza Connor.

Dealerzy posłusznie wykonują polecenie, przypinając się kajdankami do żeliwnego kaloryfera, od dawna zimnego.

Kim jestem?

Connor gasi radio, plujące agresywnym rapem.

Kim jestem?

Zdejmuje kurtkę i odpina guziki koszuli.

Staje z nagim torsem przed swymi napastnikami i pokazuje im oparzenia i blizny, jakby wykonując dziwny rytuał.

Kim jestem?

W oczach obydwu mężczyzn nie widać zrozumienia. Widać jedynie strach i zdumienie.

Connor wychodzi na korytarz, chwytając kanister z benzyną który ze sobą przyniósł, i wraca do pokoju.

Kim jestem?

Teraz role się odwracają.

Ofiara staje się katem, kat ofiarą.

Dobro staje się złem. Zło — dobrem.

Kim jestem?

Pytanie to wraca do Connora, gdy oblewa benzyną dawnych prześladowców. Ci krzyczą, ale on ich nie słyszy. To znaczy, w miejsce tego, co wykrzykują teraz, słyszy to, co wykrzykiwali wówczas:

„No co, frajerze, bawimy się w śmieciach? A wiesz, co my robimy ze śmieciami? Śmiecie się pali!”.

Kim jestem? — myśli Connor, zapalając zapałkę.

Kiedy ogień zaczyna ogarniać wszystko, Connor przypomina sobie to, co kiedyś powiedział Markowi: jeśli zrezygnujemy z naszych zasad, to tak, jakbyśmy zrezygnowali ze wszystkiego.

## **Ta sama noc**

### **Piąta rano**

Rdzawy mustang zaparkował pod szkołą. Connor wysiadł i podniósł z ziemi garść żwiru, którym rzucił w jedno z okien mieszkania szkolnego dozorczy.

W kilka sekund później w oknie pojawiła się głowa Marka.

- Co ty wyrabiasz, Connor? Wiesz, która jest godzina?
- Ubieraj się. Weź ze sobą forszę i dokumenty.
- Po co?
- Nie dyskutuj, Mark.

Pięć minut potem Mark stał obok przyjaciela.

— Co się dzieje? Wyglądasz strasznie.

— Wsiadaj! — rozkazał Connor, wskazując na mustanga.

— A czyj to samochód?

— Spręż się. Wyjaśnię ci w drodze.

Connor usiadł za kierownicą i ruszył w kierunku Loop. Po pięciu minutach spojrział na Marka i zapytał:

— Pamiętasz, jak ci kiedyś mówiłem, że któregoś dnia przyjdzie szczęście i będziesz mógł uciec stąd na studia?

— No pewnie, że pamiętam.

— No więc to stało się dzisiaj — oznajmił Connor, wręczając Markowi metalowy kuferek, który zabrał dealerem.

Mark otworzył go i zagwizdał ze zdumienia.

— Co to za forsa?!

— Forsa na twoje studia.

— Ale...

— Słuchaj, nie mamy za dużo czasu, więc nie zawracaj głowy.

Connor pogrzebał w kieszeniach i podał Markowi bilet na pociąg.

— Zawiozę cię na dworzec. O szóstej piętnaście jest pociąg do Nowego Jorku. Bierzesz pieniądze i nigdy tu nie wracasz, rozumiesz?

— A ty? Kiedy ty przyjedziesz?

— Nigdy — odpowiedział Connor, wjeżdżając na podziemny parking dworca.

\*

## Szósta rano

Obaj chłopcy siedzieli obok siebie w samochodzie zaparkowanym na płatnym parkingu. Connor skończył opowiadać. Mark był w stanie szoku.

— Musisz już iść — rzekł Connor, patrząc na zegarek. — Pociąg zaraz odjedzie.

— Ale co będzie z tobą? — spytał przerażony Mark.

— Ja zgłoszę się na policję — oznajmił Connor, wychodząc z samochodu.

Mark stanął obok przyjaciela.

— Nie jadę bez ciebie! — oznajmił.

— Och, przestań! — zdenerwował się Connor. — Dla mnie to już koniec, koniec! Wszędzie zostawiłem ślady. Za dwie godziny policja będzie wiedziała, że toja ich zabiłem.

— Nie wiadomo — rzekł Mark. — Ogień wszystko niszczy. A poza tym, kto będzie żałował takich mętów? Nikt. Policja pomyśli, że to jakieś porachunki między gangami i tyle.

Przyjaciele doszli do peronu. Mimo wczesnej godziny było tam już bardzo wielu ludzi.

— No, to powodzenia! — powiedziała Connor.

— Jedź ze mną! Zawsze planowaliśmy, że pojedziemy razem! — błagał Mark. Chciał jeszcze coś dodać, ale rozległ się gwizdek zawiadowcy.

Connor nie pozwolił mu dokończyć.

— Posłuchaj, Mark. Musisz być silny. Możesz zacząć nowe życie, ale dla mnie już za późno. Nie mam siły. Jestem niczym.

— Tak ci się teraz tylko wydaje! Ja ci pomogę. Zawsze razem dawaliśmy radę kłopotom. Tylko razem może nam się coś udać!

Zawiadowca zaczął sprawdzać, czy drzwi w wagonach są dobrze zamknięte.

Connor zrobił kilka kroków po peronie. Nagle załamał się, cały strach, który dotąd hamował, podszedł mu do gardła. Zaczął się trząść. Świat się jakby zamazał. Dźwięki, dotąd wyraźne, teraz jakby odpływały w dal. Nagle znalazł się w kompletnej ciszy. Zachwiał się i upadł.

Mark zeskoczył na peron. Nachylił się ku przyjacielowi, chwycił go pod pachy i wyężając wszystkie siły, wciągnął do wagonu.

Rozległ się ostatni gwizdek. Pociąg drgnął i ruszył.

Kiedy lokomotywa opuściła dworzec, oświetliło ją słońce. Mark popatrzył przez okno. Purpurowopomarańczowe światło przebiło się przez chmury.

Całe życie będzie pamiętał kolor nieba tamtego ranka. Ranka, gdy obydwoj opuścili getto.

# 21

## Ponad chmurami

*Jesteśmy jak orzechy w skorupce.  
Trzeba rozbić skorupkę, żeby nas odkryć.*

Khalil Gibran

**Dzisiaj**  
**Na pokładzie samolotu**  
**15:00**

Gdzieś w dole, bardzo daleko pod samolotem, gruba warstwa chmur zakrywała cały widok, jeszcze bardziej izolując wielki odrzutowiec od ziemi.

Mark był zdumiony, że nagle zaczął się zwierzać obcej osobie. Ta podróż w krainę dzieciństwa pozwoliła mu chwilowo zapomnieć o zdradzie Nicole. Poczował się lepiej. W jakiś sposób uwolnienie się od wspomnień uwolniło go również od ciężaru, który dokuczał mu obecnie.

Zyskawszy dystans do przeszłości, lepiej rozumiał swój los. Piętnaście lat dzieliło wybuch dwóch bomb, jednej w życiu jego najlepszego przyjaciela, drugiej w jego własnym życiu. Pierwsza bomba prawie zniszczyła Con-

nora i uczyniła z niego przestępcę. Druga — porwanie Layli — doprowadziła Marka do samozagłady i on również w pewnym momencie stanął jedną nogą w grobie. W obydwu przypadkach śmierć była o krok, uratowali się, bo walczyli o życie, ale również dlatego, że mieli szczęście.

Zwierzenia Marka wywarły na Evie bardzo silne wrażenie. Dzieciństwo Connora przypomniało jej własne dzieciństwo. Connor stał przed takimi samymi problemami jak ona teraz: Jak przezwyciężyć ból? Czy zemsta to najlepsza odpowiedź na zadaną krzywdę?

Wyrzała przez okno samolotu. Ocean chmur, po którym olbrzym płynął, uświadomił jej istnienie nieskończoności.

Zamknęła oczy. Do niej również wróciły wspomnienia...

# 22

## Evie Czwarty flashback

**Nowy Jork**  
**Noc wigilijna 2006**  
**2:30**

Powietrze było lodowate i kłujące.

Zdrętwiała z zimna Evie szła powoli po Greenwich Village. Od rana nic nie miała w ustach. W brzuchu jej burczało. Mięśnie i stawy bolały. Wydechane powietrze zamieniało się natychmiast w parę. Od trzech tygodni była w Nowym Jorku. Jej skromne oszczędności stopniały jak śnieg w słońcu, teraz miała w kieszeni zaledwie jednego dolara. Na początku zamieszkała w nędznym hoteliku w Harlemie, potem przeniosła się do przytułku na Amsterdam Avenue, ale dziś już nie miała się gdzie podziać. Musiała jednak wytrzymać jeszcze dziesięć dni. Tyle czasu potrzebowała, żeby zabić Craiga Davisa. Była już w szpitalu, gdzie pracował morderca jej matki, ale powiedziano jej, że wyjechał na święta do rodziny w Europie. Miał wrócić dopiero w pierwszym tygodniu stycznia.



To nic. Ona zaczeka. Zemsta jest potrawą, która najlepiej smakuje na zimno...

W bogatych domach, obok których przechodziła, wieczera wigilijna dobiegała końca. Z okien dochodziły do niej odgłosy świętowania: muzyka, śmiechy. Na Szóstej Alei zobaczyła neonowy napis: „Przyjmijcie ducha Bożego Narodzenia!”. A dalej: „Dziś wieczorem wszystko jest możliwe!”. Evie podniosła oczy do nieba. Rodzina, tradycja, marzenia to były rzeczy, które w jej życiu nie istniały. A „duch Bożego Narodzenia” był idiotyzmem prosto ze starych filmów. Żaden taki duch nie istniał. Albo dawno już zszedł z tego świata, ustępując miejsca ludzkiej chęci posiadania dóbr.

Nowusieńki srebrny aston martin śmignął obok niej. Zatrzymał się kilka metrów dalej na czerwonym świetle. Kiedy Evie znalazła się na jego poziomie, zauważyła skórzaną torbę nonszalancko rzuconą na siedzeniu pasażera, zauważyła również, że nie świeciło się światło alarmu, co oznaczało, że samochód ma niezamknięte drzwi. Dziewczyna zatrzymała się i zrobiła trzy kroki w tył, żeby kierowca jej nie zauważył. Mężczyzna w samochodzie był dziwnie skurczony nad kierownicą, właśnie przecierał sobie oczy. Evie zawahała się. Do tej pory jeszcze nic nigdy nie ukradła, ale teraz wydawało jej się to bardzo łatwe: wystarczyło otworzyć drzwiczki, chwycić torbę i uciec. Taki samochód był wart fortunę i skórzana torba ze słynnymi inicjałami LV nie była na pewno imitacją. Evie dałaby sobie rękę uciąć, że w środku znajdzie kilkaset dolarów w gotówce. Nie mówiąc już o tym, że zarobi również na sprzedaży torby, jeśli będzie sprytna. Przeżyje za to co najmniej dwa tygodnie. No i będzie mogła się zemścić.

Facet w samochodzie rozmawiał przez telefon komór-

kowy. Evie szarpnęła drzwiczki, chwyciła torbę i uciekła. Gdy pokonała około pięćdziesięciu metrów, odwróciła się i skrzywiła. Myślała, że kierowca zrezygnuje z pogoni, ale okazało się, że był jeszcze młody i biegł szybko.

Skurwysyn!

Śnieg wciąż padał grubymi płatkami. Było ślisko. Kiedy Evie zrozumiała, że facet ją dogoni, rzuciła się między jadące auta, ryzykując, że pod któreś wpadnie. Ale to nic nie pomogło. Facet dobiegł do niej i kilka sekund później przewrócił ją, przygniatając do zamrożonej ziemi. Evie uderzyła głową w chodnik, ale warstwa śniegu zamortyzowała uderzenie.

— Oddawaj mi to! — wrzasnął facet, wykręcając jej rękę do tyłu.

\*

## 2:37

— Puszczaj! — krzyczała Evie, wyszarpując się z uścisku.

Facet trzymał już w ręku swoją torbę, ale nie puszczał Evie. Zaciągnął ją pod latarnię, co pozwoliło jej stwierdzić, że jest wysoki, szczupły, ciemnowłosy i nieźle odpicowany. Na jego twarzy malowało się jednak zmęczenie. Gdyby nie ponure spojrzenie i zmarszczone brwi świadczące o tym, że coś go draży, wyglądałby jak z katalogu Hugo Bossa.

Skąd ona zna tego faceta?

Skąd?

— Jak się nazywasz? — usłyszała jego głos.

— Odpierdol się! — wrzasnęła.

## 2:40

- Posłuchaj, jestem psychologiem. Mogę znaleźć ci jakiś nocleg.
- Chcesz mnie uratować, co?
- Chcę ci pomóc.
- Nie potrzebuję twojej pomocy!

\*

## 2:42

- Chcesz zjeść coś ciepłego? — usłyszała znów.

## 2:43

- Puść mnie, nie jestem głodna.

\*

## 3:01

Siedząc na plastikowej ławce, Evie zjadała hamburgera, patrząc przez szybę na tego faceta, który właśnie kończył palić papierosa. Mówił, że jest psychologiem, ale czy to prawda? Mówił, że chce jej pomóc, ale czy mówił serio? Zazwyczaj była nieufna w stosunku do obcych, tak więc jego zachowanie wytrąciło ją z równowagi. Chciała-  
by mu zaufać, ale bała się zawodu.

— No, jak ci smakuje hamburger? — usłyszała głos mężczyzny, który tymczasem zgasił papierosa i wszedł do kafeterii.

### 3:14

— Zaczekaj, nie uciekaj! — krzyknął, żeby ją zatrzymać. — Jest zimno, na ulicy jest niebezpiecznie. Znajdę ci jakiś nocleg.

Poparzyła na niego, gdy do niej podchodził, ale potrząsnęła głową, nie zadając sobie nawet trudu, żeby coś odpowiedzieć.

- Weź przynajmniej to! — mężczyzna wcisnął jej do kieszeni wizytówkę. — Jeślibyś zmieniła zdanie...

Ale Evie wiedziała, że zdania nie zmieni.

### 3:45

Minęło pół godziny i Evie już żałowała, że uciekła. Tak przemarzała, że nieomal czuła grzechotanie kości w swoim drobnym ciele. Gwałtownie wróciła straszna migrena, jej odwieczny wróg od czasów dzieciństwa. Zrobiło jej się niedobrze. Musiała stanąć. Nie miała siły dalej iść.

Przypatrzyła się okolicznym domom. W niektórych byli portierzy, którzy w nocy siedzieli w lobby, pilnując wejścia. W innych — na przykład w tym najbliższym niej — nie było portierów, tylko kod szyfrowy przy wejściu. Prawdopodobnie jednak zaraz będą wychodzili ostatni goście. O, właśnie wychodzą spod trzydziestego siódmego numeru na Fenwee Street. Trzy pary dobrze pod gazem pojawiły się pod drzwiami Paradiso Building.

Evie przytrzymała im drzwi i udało jej się sprawić wrażenie, że tu mieszka. Podeszła do windy. Gdy wszyscy byli dostatecznie daleko, zaczęła się rozglądać za kątem

do spania na najbliższe parę godzin. Znalazła coś trochę z tyłu, koło drzwi do piwnicy. Nie było tu zbyt ciepło, ale to lepsze niż nic. Usiadła pod ścianą, okutała się paltem i zamknęła oczy. Myśli jej wróciły do mężczyzny, który chciał jej pomóc. Jak tylko do niej przemówił, poczuła do niego dziwną sympatię. Miała wrażenie, że zna go od dawna. Nie przedstawił się, ale Evie pamiętała, że wsunął jej do kieszeni swoją wizytówkę. Sięgnęła do płaszcza i wymacała maleńki kartonik, który podsunęła sobie pod oczy. Mimo słabego światła zdołała odczytać nazwisko i tu dopadł ją szok: to był Connor McCoy!

Skoczyła na równe nogi. Zapaliła światło na klatce i wyciągnęła z torby książkę, którą znalazła pewnej nocy w hotelu Oasis w Las Vegas. Od tamtej chwili miała tę książkę zawsze przy sobie niczym talizman mający chronić ją przed nieszczęściem.

Tytuł:

*Przeżyć*

autor: Connor McCoy

Evie przyjrzała się fotografii na okładce z tyłu. Tak, ten tajemniczy człowiek to był on. Zrozumiała teraz, dlaczego wydał jej się znajomy. Ależ jest głupia! Uciekła jedynej osobie na tej ziemi, o której spotkaniu marzyła. Szybko! Musi pozbierać swoje rzeczy i go odnaleźć.

Zamierzała właśnie wyjść na ulicę, kiedy zobaczyła, jak pod wejście do budynku podjeżdża na wyjących syrenach radiowóz. Zrozumiała, że policja przyjechała po nią. Mieszkańcy budynku musieli usłyszeć jakiś hałas i zadzwonić na posterunek. To przywilej bogatych dzielnic, nowojorska policja nie zwleka z wysłaniem patrolu.

Faktycznie z auta wysiadło dwóch wielkich policjantów uzbrojonych po zęby. Wyglądali, jakby przyszli zatrzymać Ben Ladena.

— Jest tutaj! — krzyknął jeden, oświetlając wejście latarką.

Wystukali kod i weszli do budynku, trzymając dłonie na rewolwerach.

— Chodź, idziemy. Tylko bez awantur, dobrze?

# 23

## Hasło

*Znajomość cudzych sekretów to  
upajająca władza!*

Michael Connelly

**Dzisiaj**

**Na pokładzie samolotu**

**16:00**

Większa część pasażerów lotu 714 drzemała, trawiąc risotto ze smardzami i naleśniki z konfiturą jabłkową, podane wcześniej przez stewardesy. Ci, którzy nie spali, mieli na uszach słuchawki. Oglądali film i słuchali programów muzycznych nadawanych przez linię lotniczą.

Evie miała również zamknięte oczy. Oddychała miarowo, co oznaczało, że tak jak Layla przebywała w krainie snów. Mark chciał już być na miejscu i niecierpliwie kręcił się w fotelu, co chwila patrząc na zegarek. Nie wiedział, czemu nagle opanował go taki pośpiech. Nagle zdał sobie sprawę, że nie może czekać, aż znajdzie się w Nowym Jorku, żeby przejrzeć tajemnicę zdumiewającego zachowania Nicole. Musiał coś zrobić, tutaj i teraz.

Spojrzał na przejście między fotelami. Dwa rzędy przed nim siedział jakiś zestresowany biznesmen w krawacie i nerwowo sprawdzał tabelę kursów giełdowych w Internecie. Mark zdecydował się, wstał z fotela i poszedł w górę korytarzem między fotelami, trzymając w lewym ręku szklankę soku pomarańczowego, z której tylko trochę upiła Evie. Stając nad swoją ofiarą, udał, że się potknął. Cała zawartość szklanki popłynęła na koszulę i spodnie mężczyzny.

- Nie może pan uważać?! — wykrzyknął biznesmen.

— Bardzo mi przykro, naprawdę! — powiedział Mark po prostu.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę jednorazową i zamiast wytrzeć mokre plamy, rozmazał je. Zaraz wszystko znacznie się porządnie lepić.

— Proszę mnie zostawić! — rzucił mężczyzna, zdecydowany jak najszybciej pozbyć się natręta. — Pójdę się umyć do toalety.

Mężczyzna wstał, delikatnie wytarł kilka kropeł, które spadły na klawiaturę jego laptopa, po czym schował go do schowka nad siedzeniem. Kiedy szedł do toalety, do Marka dobiegło, jak zrzędził pod nosem:

— Garnitur od Kenzo, za tysiąc dolarów... zebranie z Japończykami... możliwość inwestycji na giełdzie...

Mark udał, że idzie dalej, po czym dyskretnie wrócił. Okna w samolocie zostały zasłonięte, aby nie dochodziły do pasażerów pomarańczowe promienie słońca, i wszędzie panował przyjemny półmrok sprzyjający oglądaniu filmów i drzemce.

Najswobodniej, jak potrafił, Mark podniósł klapę półki na bagaże i chwycił laptop ochlapany sokiem, po czym wrócił z nim na swoje miejsce. Rzucił okiem w głąb



samolotu. Do toalet była kolejka. Jeśli szczęście będzie mu sprzyjało, minie kilkanaście minut, zanim ten facet zorientuje się, że zaginął mu laptop.

Mark wyjął laptop z futerału. Ostrożnie podniósł klapę. Uprzednio przeczytał w specjalnej ulotce, że nowoczesna technologia pozwalała połączyć się z Internetem na dużej częstotliwości bez kabla. Nacisnął odpowiedni klawisz.

Otworzyła się strona Google. Mark wystukał hasło umożliwiające odnalezienie danych osobistych po numerze telefonicznym i wszedł na jedną z proponowanych przez przeglądarkę stron. Wpisał numer telefonu, pod którym udało mu się połączyć z Nicole wcześniej tego popołudnia. Oto co ujrzał na ekranie zaledwie po kilku sekundach:

Connor McCoy, psycholog  
Time Warner Center 10,  
Colombus Circle  
Nowy Jork 100119

To był przecież numer nowego gabinetu Connora! A więc głos, który rozkazał Nicole rozłączyć się, musiał być głosem jego najlepszego przyjaciela. Teraz był tego pewien. Dlaczego go nie poznał? I co mogła robić u niego jego żona?

Był tak zaskoczony, że na chwilę zaprzestał dalszych poszukiwań. Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Jeśli dobrze pamiętał, Nicole używała kiedyś konta Hotmail, żeby sprawdzać swoją pocztę podczas podróży. Wyszukał więc adres odpowiedniej strony i w miejscu, w którym należało podać dane osobiste, wystukał: nicole.hathaway.

Strzałka zaczęła migotać, żądając hasła używanego przez żonę. Nie znał tego hasła.

Przez te wszystkie lata, gdy byli razem, nigdy nie był zazdrosnym mężem. Ich współżycie zasadzało się na wzajemnym zaufaniu i Mark nigdy nie zaglądał jej do torebki ani nie starał się dowiedzieć, z kim się spotykała.

Może powinien był...

Nie znał się specjalnie na komputerach, ale niewątpliwie był jakiś program łamiący kody, który pozwoliłby mu wejść na prywatną stronę Nicole. Niestety, nie znał takiego programu. Miał do dyspozycji tylko własny mózg, a to nie wystarczało. Nawet najlepszy psycholog nie umiałby odgadnąć hasła, bazując wyłącznie na analizie osobowości pacjenta. W każdym razie nie w pięć minut. Mark jednak nie chciał się poddać bez uczynienia kilku prób.

W jaki sposób ludzie wybierają swoje hasła? Rozsądek podsunął mu najpierw następujące rzeczy: nazwisko, imię, imię współmałżonka, dzieci, psa albo kota...

Tak więc napisał po kolei:

*nicole*

*hathaway*

*layla*

*mark*

*pyewacket* (tak nazywał się ich kot syjamski).

Niestety, to nie odniosło skutku.

Spróbował cyfr:

*06.06.74* (data urodzin Nicole)

*19.08.72* (data jego urodzin)

*15.05.96* (wtedy się spotkali)

*10.09.96* (wtedy się pobrali)

*11.01.97* (data narodzin Layli)

Następnie spróbował wpisać daty, pomijając kropki, potem wpisał ukośnik w miejsce kropek. Dla pewności wpisywał nawet lata z wszystkimi czterema cyframi.

Nic z tego.

Co dalej?

Wprowadził inne dane, tak jak przychodziły mu do głowy: numery telefonów, numery tablic rejestracyjnych samochodów, numery ubezpieczenia... Spróbował również wzrost żony, jej numer butów i wagę. A potem:

Jej ulubiony kolor?

*szkarłat*

Jej ulubiona powieść?

*książę-przypływów*

*książęprzypływów*

Jej ulubiony film?

*grób-światlików*

*gróbświatlików*

Ale — co tu marzyć!

Mark zamknął oczy. Pojawił mu się w wyobraźni obraz Nicole. Była w doskonałej formie, wesoła, stała na scenie i odbierała oklaski po recitalu.

*skrzypce*

Z rozpędu Mark zaczął wprowadzać do komputera nazwiska jej ulubionych kompozytorów albo tych, których utwory grała na scenie, albo tych jeszcze, których utwory nagrywała:

*Mozart*

*Bach*

*Beethoven*

*Mendelssohn*  
*Szostakowicz*  
*Brahms*  
*Barber*  
*Strawiński*

Nie, wciąż nie to. Pójdź innym tropem. Teraz jego umysł zaczął działać jak w gorączce. Wychodząc z założenia, że hasło w jakiś sposób musiało łączyć się z sekretnym światem pomysłodawcy, wiedział, że Nicole, którą znał, wybrałaby coś, co miałoby ciężar emocjonalny: jakiś kod, który łączyłby się z rodziną czy z ich miłością.

Ale Nicole była również bardzo ostrożna. Kilka lat wcześniej ktoś starał się włamać do ich konta bankowego przez Internet i Nicole bardzo to przeżyła. Mark wiedział, że aby zabezpieczyć hasło, Nicole mogła mieszać litery, cyfry i symbole. A ich bankier doradził im wówczas, żeby hasło było dość długie.

Jednocześnie Nicole codziennie sprawdzała pocztę, więc hasło nie mogło być zbyt abstrakcyjne.

Oto, czego musiał szukać: hasła trudnego do odgadnięcia, a jednocześnie łatwego do zapamiętania.

Aby wymyślić takie hasło, najprościej odwołać się do jakiegoś zdania-klucza: przysłowia, wersetu ze znanego wiersza czy fragmentu piosenki...

Nie, Mark gotów był dać sobie rękę uciąć, że jego żona wybrałaby coś bardziej osobistego. Ale co? Czy istniało jakieś zdanie, które wyrażałoby esencję ich miłości?

Nagle Mark poczuł się kompletnie zagubiony. Głowa straszliwie go bolała. Wszystko mu się pomieszało: cyfry, litery, hasła, wiadomości, wspomnienia... Zamknął oczy, żeby się skupić. Wtedy ujrzał twarz żony.

JNNS20TU=7711... ? Tu28wJl'v2T1jENNNNNNNNNNNNNNNL..  
#Z7=7... WdNNNNNNNNNNNNNNX  
#... ' \$0VNNNNNNNNNNNNNJ  
=i... +C7J7XNNNNNNNNNN.  
.. #... l+7dJNNNNNNNN  
.. #... cdNNNNqNN'  
.. #... idN#Y1NF J.  
.. #... jMSJ jD ..  
.. #... 7N3 .# J'  
.. #... dF .jF t' ..  
.. #... J' .lJ' t' ..  
.. #... d .? .d |  
.. #... J 7\$W|  
.. #... .. #Jb  
.. #... W. ,20j , ..  
.. #... .h. jx20, ..  
.. #... ..l.l .XR, '7,7G, ..  
.. #... Jd\$adVvVvTUWNN. 'nJ, ..  
.. #... ..x\$XEM9T'77177?UWNNL. =LXo.  
.. #... ..x72Q. eJ..... '17Wd#nd, '4h  
.. #... ..2ddNNNNNNNNNNNNN, J, Jx7T2hNNNNaT  
.. #... 'C'mK NNNNNNFTNNNNNx; ? .JUdNNNN  
.. #... =7'OTWNNJgTNNNNH717. |j#JdNNH  
.. #... ?e... l, J. # 'T'7T97J.lk' JWdH  
.. #... ..??... l. 4d02. xjfr  
.. #... ..l. 'b. NNbJ. kp  
.. #... ..NNNNdDJl;  
.. #... ..JNNNN#ddI;  
.. #... ..NNNNNNNS, t  
.. #... ..JNNNNNN#jot  
.. #... ..+... ..jdhNNNNkzvZ  
.. #... ..717Y2. :. Tq7l ..+ KNNHwxjSx  
.. #... ..7777' ?' ..? ..j1'ddHqQ, J  
.. #... ..+... ..l. jNNNNWb  
.. #... ..l1'74. JNNNNa  
.. #... ..d, v#NNN  
.. #... ..+... ..l. QNN#PNN  
.. #... ..OnJQddn.wkXwGa. +dNNNN#PNN  
.. #... ..xN#WNN#E24V2N2kXNNW+. +jNNNNdH  
.. #... ..JNNNNUNTSdndJJPdndHNNkNW, ..+jNNNNdH  
.. #... ..740w+; Jc, '7U'. xvdS2W7= .. NnJNNNNW  
.. #... ..77dnxjX+kJJkx7= NNN#NNNNW  
.. #... ..NNNN#l. NN  
.. #... ..NNNNNS. NNNW  
.. #... ..N#HqN#QJ5. xvD  
.. #... ..dNNNNNNNS, AddP  
.. #... ..JHGNNNNNNN#jNN#  
.. #... ..qNNX' dN#qNNNNNNW#+j  
.. #... ..dNNNNVJNNNNNSWNNkxNDJA  
.. #... ..J+;tqNNNNNdPNN#dNkdDNE+l2  
.. #... ..+l1lxsvTUAAA LJ+..... JI1+7+NN#PNNuNNRdWNN. WFT, y+  
.. #... ..?+l7. +'7CCvx\$zx7lC1;+...+c...+dNNNNNNNN2H2d; NNNL57j=-  
.. #... ..l. ....l+... JdNNNNNNdH#l' N, b d#4.2  
.. #... ..JF7NNNN# 'N#7dNb. LJl7b|  
.. #... ..711.Jd' J, 7NNdNF. NNNJm. .l\$'  
.. #... ..l. ....d# ..dNNLN#Pdh7#t d  
.. #... ..?..+NW; ..2v#dNNNNdJlvjQJ  
.. #... ..7d#qc ..KJNNNNN7h. x.  
.. #... ..N. ,R. .ldHy#NN#dbJS. "  
.. #... ..W. .U. +Jb#OTNNNSW#P  
.. #... ..75...dMS4| ..j#l7, x "W20K4dWdYl

W tym samym momencie przed oczami zaczęły mu się przesuwać różne obrazy, jakby jakaś nieznana siła postanowiła ostrzelać jego umysł setkami oślepiających fleszy, z których każdy trwał nie dłużej niż sekundę: pierwsze spotkanie, pierwszy pocałunek, pierwszy raz, gdy się kochali, pierwsza kłótnia, pierwsze romantyczne wakacje...

*Paryż, Francja*  
*Letni wieczór.*

*Małeńki placyk na Ile de la Cite.*  
*Restauracja z tarasem.*  
*Romantyczna kolacja.*  
*On prosi ją o rękę.*  
*Na placu rosną platany.*  
*Na jednym z platanów j e s t wycięty*  
*nożem napis.*  
*Za napisem data.*  
*Jakaś para zakochanych kilka*  
*lat wcześniej.*  
*Mark i Nicole milczą, patrząc na napis.*  
*Obiecują sobie wygrawerować*  
*taki sam na obrączkach.*

Mark położył prawą dłoń na palcu wskazującym lewej ręki. Wciąż miał obrączkę. Oparła się wszystkiemu: rozstaniu, życiu na ulicy... Zdjął ją z trudnością i przeczytał napis wygrawerowany wewnątrz:

*Tam, gdzie jest miłość,  
Nigdy nie zapada noc.*

Po twarzy spłynęła mu łza i kapnęła na klawiaturę laptopa. Mark zrozumiał, że znalazł hasło.

Ponieważ zdanie było zbyt długie i nie wchodziło całe w zaznaczoną przestrzeń, najpierw napisał pierwsze litery każdego słowa:

*tgjmnzn.*

Hasło nieprawidłowe.

To normalne: trzeba dorzucić datę. Mark zawahał się, po czym stwierdził, że najbardziej prawdopodobna będzie data ich spotkania. Coraz bardziej zdenerwowany zrobił następną próbę:

*tgjmnzn 150596*

Wcisnął *enter*.

Tym razem hasło się zgadzało. Strona poczty Nicole Hathaway się otworzyła.

Było tam całe mnóstwo listów. Większość od Sonji, agentki Nicole, która organizowała jej koncerty i koordynowała wszystkie zawodowe plany. Ponad jedna trzecia to był spam, w rodzaju „darmowa viagra”, „czy chcesz powiększyć swój penis”, „wspomóż ofiary tsunami” i inne hasła, starające się wyciągnąć kilka groszy od odpowiednio naiwnego klienta. Kilka listów gratulacyjnych od admiratorów, którzy byli na jej koncercie i wieszowali jej. Kilka — rzadkich — krytyk: „Dużo pani brakuje do Anne-Sophie Mutter” albo: „Agencje płytowe nie wybrały pani z powodu pani talentu, ale z powodu urody”, albo jeszcze: „Na pani miejscu wstydziałabym się zarabiać pieniądze na zniknięciu córki”.

To nieprzyjemne, ale nic nowego. Nicole otrzymywała już podobne listy dwa lata wcześniej. Mark szukał listu

od Connora, ale takowego nie było. Jeden list jednak zwrócił jego uwagę, ponieważ dołączone było do niego nagranie wideo. Nadawca był nieznany, nic nie napisał. Tylko plik QuickTime, który automatycznie sam się otworzył.

Mark nachylił się nad ekranem. Okienko, które się otworzyło, było bardzo małe. Obraz był czarno-biały, złej jakości. Szybko zrozumiał, że jest to film z kamery przemysłowej.

Kiedy na ekranie zobaczył twarzyczkę Layli, zamarł. Świat wokół stanął.



# 24

## Dobre życie

*W życiu najczęściej stwierdza się: „to za wcześnie” albo: „to za późno”.*

Gustave Flaubert

**Dzisiaj**

**Na pokładzie samolotu**

**16:20**

Mark z błyszczącymi oczyma wpatrywał się w ekran. Widział film, który wyświetlał się jakby w zwolnionym tempie. Szybko się zorientował, że scena została sfilmowana w dniu porwania córki. Od razu poznał bluzę z kapturem, którą Layla miała na sobie tego dnia, i małego pluszowego Shreka, którego kupił jej tydzień wcześniej.

Był zaskoczony, policja bowiem zapewniła go, że kamery przemysłowe nie nagrały żadnego obrazu, na którym widać byłoby porwane dziecko. Teraz widział, że przemilczenia podczas śledztwa dotyczyły nie tylko porwania. To wideo było dowodem, że mimo zaprzeczeń policja musiała wiedzieć rzeczy, których nigdy mu nie powiedziała.

W miarę wyświetlania film stawał się coraz bardziej niewyraźny i obraz zaczynał przeskakiwać. Mark nie był nawet w stanie zorientować się, gdzie właściwie znajdowała się Layla. Z pewnością gdzieś poza supermarketem, gdyż w ciemnościach twarz córki była częściowo zamazana.

Na sekundę opanował go strach. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie popatrzeć na córeczkę, która wciąż głęboko spała na fotelu obok. Nawet pochylił się nad nią, aby być pewnym, że oddycha, tak bał się znów ją stracić.

Uspokojony, nachylił się znów nad laptopem. Zobaczył, że wideo, które miało trwać dwie minuty dziesięć sekund, zatrzymało się po półtorej minuty. Najpierw pomyślał, że coś nieprawidłowo zrobił. Nacisnął więc parokrotnie na klawisz *play*, żeby film znów ruszył, ale to nic nie dało. Obraz stanął tak jak przedtem czterdzieści sekund przed końcem. Mark westchnął, wściekły i zniechęcony.

Kto tak się z nim zabawiał? Co się stało podczas tych czterdziestu sekund?!

- No, ładna historia. To jest przecież mój laptop!

Mark podniósł gwałtownie głowę, jakby się nagle zbudził. „Sok Pomarańczowy” wyrwał swój komputer z rąk Marka.

— Ja go tylko na chwilę pożyczyłem... — starał się usprawiedliwić psycholog.

— Pożyczyłem, akurat!

- Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko działa, jak należy. - Mark zaczął znów udawać kogoś niezbyt rozgarniętego. — Bałem się, że niechcący coś zepsułem, i proszę mi wierzyć, że gdyby tak się stało, to...

Ale biznesmen nie dał się na to nabrać.

— Zamierzam złożyć skargę! — oznajmił, starając się wziąć innych podróżnych na świadków.

Podeszła do nich stewardesa, usiłując zaprowadzić spokój. Mark wyczuł, że najlepiej będzie siedzieć cicho. Natomiast zdenerwowany facet gadał jak nakręcony.

— Należy zawiadomić o tym pilota! — powtarzał w kółko.

— Oczywiście, proszę pana, zaraz to zrobimy — obiecała stewardesa.

Po czym odprowadziła „Sok Pomarańczowy” na miejsce i uśmiechnęła się do niego, a uśmiech ten miał znaczyć: „Siadaj, grubasie, i zamknij się. Sprawa jest skończona”.

\*

— Tatusiu, gdzie są moje lody?

Zamieszanie zbudziło Evie i Laylę. Mark popatrzył na nie i prawie natychmiast otrząsnął się ze swoich ponurych myśli, starając się wyglądać, jakby nic się nie stało.

— No, dziewczyny, idziemy na lody.

— Och tak, tak! — wykrzyknęła Layla z zapałem.

Mark wziął ją za rękę i dał znak Evie, żeby poszła z nimi. Cała trójka udała się na drugi poziom poszukać wolnego miejsca w barze Floridita. Bar wyglądał zupełnie inaczej, niż kiedy Mark był w nim nieco wcześniej. Teraz przypominał zatłoczoną kawiarnię. Aby podołać tej liczbie gości, barman Izaak miał do pomocy dwóch kolegów. W wesołej atmosferze zawrotnie szybko mieszały koktajle i przygotowywali, jedne piękniejsze od drugich, wspaniałe porcje lodów.

Kiedy tylko zwolnił się pierwszy stolik, Layla natychmiast przy nim usiadła. Chwyciła kartę deserów, jakby był to kielich świętego Graala, i łakomie popatrzyła na

zdjęcia lodów z bakaliami i bananami. Mark i Evie dołączyli do niej, podśmiewając się z dziewczynki. Lekarz rozejrzał się w poszukiwaniu Alyson Harrison, ale bogata panna najwyraźniej opuściła bar.

Zamówili trzy porcje specjalnych lodów czekoladowych. Deser przyniósł im sam Izaak, podał każdemu słomkę i łyżeczkę, a następnie postawił na środku stołu wielki szklany pojemnik wielkości akwarium, w którym znajdował się tuzin lodowych kulek, każda z innej czekolady, pływających w sosie kakaowym, a wszystko przykryte było bitą śmietaną.

— Jedz powoli! — powiedział Mark na widok córki, która rzuciła się łapczywie na lody. — Nikt ci tego nie zabierze!

Dziewczynka z nosem w bitej śmietanie z wyraźną przyjemnością wsysała przez słomkę stopioną czekoladę. Evie przyjaźnie się z niej podśmiewała, po czym sama zabrała się do lodów. Po raz pierwszy Mark zobaczył Evie uśmiechniętą i sprawiło mu to wielką przyjemność. Przeżycia Evie i jej postanowienie zemsty zrobiły na nim wielkie wrażenie, żałował, że dziewczyna nie opowiedziała mu wszystkiego do końca, ale miał przeczucie, że dowie się czegoś jeszcze przed lądowaniem w Nowym Jorku. Ta podróż okazała się wyjątkowo bogata w wydarzenia i w spotkania oraz pełna niespodzianek. Dobrych, ale i złych...

Rozsmakowana w swoim deserze Evie patrzyła na Marka i Laylę z pewnym rozczuleniem. Coś w tym stosunku ojca do córki bardzo ją wzruszało. Ona, która nigdy nie miała prawdziwej rodziny, roztkliwiała się na

widok mężczyzny, który robił na niej wrażenie silnego i wrażliwego jednocześnie, a który teraz starał się powoli nawiązać porozumienie z odzyskanym dzieckiem, takie jakie niewątpliwie łączyło ich, zanim zdarzył się ten cały dramat.

Tymczasem Izaak nastawił muzykę trochę głośniej. Atmosfera w barze była bardzo miła. Evie nabrała jeszcze jedną łyżeczkę boskiej polewy czekoladowej, po czym zamknęła oczy, żeby pogłębić uczucie błogości. Ruszała głową w rytm saksofonu Johna Coltrane'a, świadoma, że przeżywa moment wyjątkowy. Dawno tak się nie czuła.

Myśli jej znów wróciły do Connora, który dzięki opowiadaniu Marka stał się jej jeszcze bliższy. Connor, gdy miał tyle lat co ona, nie zawahał się, zrobił to, co postanowił. Zemścił się, oko za oko, ząb za ząb, a potem znalazł w sobie dość siły, by stać się jednym z najbardziej nowatorskich psychologów w całym kraju. Piękny rewanż.

Ale czy zemsta ulżyła jego cierpieniu?

To właśnie pytanie zadała Markowi, gdy otworzyła oczy.

# 25

## Mark i Connor Trzeci flashback

### **1989—1995: Lata studenckie**

Mark i Connor wylądowali na Manhattanie pewnego deszczowego popołudnia w październiku. Mieli dokładnie po siedemnaście lat.

Tak często marzyli o Nowym Jorku, tak często powtarzali sobie magiczne nazwy słynnych miejsc tego miasta: Central Park, Washington Square, World Trade Center, Lady Liberty... Lecz to, co zobaczyli, różniło się bardzo od tego, co do tej pory widzieli tylko na filmach.

Już na dworcu, kiedy wysiedli z pociągu, szare niebo nadawało miastu wyraz smutny i odpychający. Nie tylko jednak na dworze panował chłód, chłód panował także w ich sercach. Przecież właściwie uciekali. Nie wiedzieli, jakie będzie jutro. Czy policja nie wpadnie na ich ślad? Może cała eskapada zakończy się wcześ-

niej, niż to było zaplanowane, może wylądują w ponurej więziennej celi?

Na razie zaś trzeba było jakoś przeżyć.

Organizacją zajął się Mark. Przyszedł moment, żeby dowieść, iż tak, jak się przechwalał, jest inteligentny i sprytny. Mark był zdecydowany walczyć, tym bardziej że Connor przeżywał moment zagubienia i załamania. Najpierw znalazł kawalerkę niedaleko Uniwersytetu Nowojorskiego. Potem poświęcił całą swoją energię na pokonanie przeszkód natury administracyjnej, którymi była najeżona droga kandydatów na studia. Na szczęście nie mieli problemów finansowych. Dzięki pieniądзом zabranym dealerom narkotykowym przez Connora mogli zapłacić komorne i pokryć część kosztów studiów. Po miesiącu otrzymali wreszcie upragnione legitymacje studenckie i pochłonęła ich praca.

Wiedzieli dokładnie, do czego dążą: chcieli zrobić doktorat z psychologii, żeby któregoś dnia otworzyć własne gabinety.

Trzecia rano.

Connor zapala światło w łazience i cicho zamyka za sobą drzwi, żeby nie obudzić Marka, który śpi w pokoju obok. Przeszukuje szufladę w szafce, która służy im za apteczkę. Znajduje słoiczek, z którego wyjmuje dwie pastylki. Połyka je i popija wodą. To już piąta i szósta tego dnia. Na słoiczku napisano, żeby nie przekraczać czterech pastylek dziennie. Ale ból jest zbyt męczący. Connor stoi kilka chwil sztywno, trochę otumaniony,

obserwując w lustrze twarz tego obcego człowieka, który na niego patrzy. W sinym świetle żarówki rozpina górę od pizamy. Patrzy na pocięty bliznami tors z fascynacją i niesmakiem jednocześnie. Od niedawna dopiero uświadomił sobie, że taki już będzie przez całe życie. W części rąk i klatki piersiowej w ogóle stracił czucie. Nogi wciąż straszliwie go bołą i przez to jest uzależniony od środków przeciwbólowych. Do cierpień fizycznych trzeba dodać ciągłe problemy ze snem. Myślał, że pozbył się dealerów raz na zawsze, tymczasem wracają do niego w koszmarach sennych. Myślał, że położył kres męce, ale tymczasem jedna męka została zastąpiona drugą, większą: świadomością, że musi żyć z piętnem mordercy.

Wracając do łóżka, Connor uświadamia sobie z przerażeniem, że przez całe życie będzie musiał dźwigać ten straszny ciężar zemsty.

\*

Któregoś wieczoru, gdy czuje się bardzo źle, Connor widzi, że Mark wchodzi do niego do pokoju ze słuchawką w ręku.

— Halo?

Z drugiej strony kabla telefonicznego słyszy uspokajający głos Loreeny McCormick. Mark zadzwonił do niej do Chicago. Poruszona lekarka, słysząc głos Connora, kieruje go do jednego ze swych kolegów po fachu pracujących w Nowym Jorku. Lekarz ten ma mu pomóc w dalszej rehabilitacji.

Rzadko człowiek daje sobie radę sam...



Connor stopniowo wraca do formy. Kiedy tylko może, stara się nie brać środków przeciwbólowych. Zastępuje je kąpielami, masażami i ciepłymi kompresami.

Dzięki Markowi i radom Loreeny zaczyna odzyskiwać wiarę w siebie. Wciąż jednak boi się reakcji innych. Twarz ma oszczędzoną, ale to broń obosieczna, gdyż ładna twarz nie zapowiada odpychającego ciała. Gdy Connor spotyka jakąś dziewczynę, która mu się podoba, zawsze boi się tego samego: że w rezultacie ona poczuje się oszukana. Przekonany, że tak czy inaczej zostanie odrzucony, nie przekracza nigdy etapu pierwszych pocałunków, a jeśli sprawa zaczyna być poważna, wycofuje się. Woli być tym, który odchodzi, niż tym, od którego odchodzą.

\*

Mijają lata.

Connor wciąż cierpi na bezsenność. Stara się więc zmienić wadę w atut. Aby uciec dealerom, którzy we śnie wciąż go ścigają, spędza noce na nauce i wręcz pożera wszystkie podręczniki psychologii. To jego zacięcie i fakt, że uczy się więcej, niż przewiduje program studiów, wywierają wielkie wrażenie na profesorach. Jeden z nich — ceniony w środowisku psychiatra — mianuje go swoim asystentem i zabiera ze sobą na gościnne wykłady. Dzięki temu w ciągu kilku lat zaliczy staże w więzieniach, w szpitalach, w szkołach dla dzieci upośledzonych... Wszędzie zwraca na siebie uwagę. Napad, jakiego był ofiarą, spowodował, że jest bardzo wrażliwy na cierpienie innych i bez wahania otwiera się przed innymi cierpiącymi. Tylko w ten sposób potrafi maksymalnie wczuć się

w sytuację pacjentów, zrozumieć ich i skutecznie im pomóc. Zdaje sobie sprawę z ryzyka, na jakie się naraża. To jest cena, którą zgadza się zapłacić.

Bardzo szybko jednak uświadamia sobie, że sekret duszy ludzkiej znajduje się w mózgu. Musi więc wzbogacić wykształcenie o studia neurologiczne. Robi to, pchany wciąż tą samą ambicją: zrozumienia mechanizmu powstawania procesu myślowego, odbycia podróży do krajiny snów i podświadomości.

## **1996—2001: Złote lata**

### **Kobieta mego życia**

*15 maja 1996*

Któregoś wiosennego poranka Mark wszedł do apteki niedaleko Washington Square. Rzucił cicho „dzień dobry” i stanął w kolejce. Przyszedł tu po aspirynę, bo miał kaca. Poprzedniego wieczora New York Knicks w końcu pokonali Bulls Michaela Jordana, wprowadzając na koniec sezonu dodatkowy suspens. Mark był na tym meczu. Zapłacił za bilet prawdziwą fortunę na czarnym rynku, ale było warto. Aby uczcić wygraną swojej drużyny, całą noc się bawił. Miał dwadzieścia cztery lata i jak dotąd los mu sprzyjał. Niedawno obronił dyplom i zaraz potem znalazł posadę psychologa w ośrodku reedukacyjnym. Lata męki w Chicago zostały daleko poza nim. Uwielbiał swoją pracę, swoje życie, Manhattan...

Zaczytany w „New York Timesie” nie zauważył młodej kobiety, która stała przed nim. Nicole, trzymając futerał

ze skrzypcami, zajęta jest obserwacją tego, co się dzieje przy kasie. Sprzedawczyni za ladą obsługuje właśnie kobietę z dzieckiem na rękę, która poprosiła o pudełko mleka w proszku i paczkę pieluszek. Kobieta wygląda na zmęczoną. W dłoni ścisza banknot dziesięciodolarowy.

— Czternaście dziewięćdziesiąt pięć — oznajmiła sprzedawczyni.

Kobieta się zawahała. Najwyraźniej nie była przygotowana na taką sumę. Niespecjalnie wierząc w pozytywny rezultat, przeszukuje portmonetkę.

— No, proszę się pospieszyć, proszę pani, ludzie czekają — westchnęła sprzedawczyni.

— Tak, przepraszam!

Młoda kobieta wysypała na ladę drobne z portmonetki.

Wszyscy w kolejce wiedzieli, że drobnych nie wystarczy. Niektórzy niecierpliwili się, inni być może współczuli w ciszy.

Nicole podeszła do lady.

— Wydaje mi się, że to wypadło pani z portmonetki — powiedziała, schylając się i niby podnosząc z ziemi banknot dwudziestodolarowy.

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona. Minęło kilka sekund, zanim wzięła banknot od Nicole.

— Dziękuję — powiedziała, spuszczać wzrok.

— Proszę pani!

Mark pobiegł za Nicole, starając się ją zatrzymać. Od czego zależy nasz los? Wystarczyło, że podniósł oczy znad gazety i spotkał wzrok nieznajomej, żeby poczuć ukłucie w dołku i żeby serce zaczęło mu bić szybciej. Od

razu wiedział, że nie może pozwolić tej kobiecie odejść, dopóki nie dowie się, jak się nazywa.

— Proszę pani!

— Słucham? — odrzekła Nicole, odwracając się.

— Dzień dobry — wybełkotał Mark, z trudnością łapiąc oddech.

Ledwo trzymał się na nogach. Dłonie mu się spociły.

Powiedz coś! Nie stój tak jak głupi!

— Eee... Nazywam się Mark Hathaway. Stałem za panią w kolejce w aptece. Widziałem, jak pomogła pani tej kobiecie z dzieckiem i ...

— To przecież nic wielkiego — odrzekła Nicole, wzruszając ramionami.

— Czy pani mieszka w tej dzielnicy?

— Dlaczego pan pyta? — W głosie Nicole zabrzmiała nieufność.

— Chciałbym panią zaprosić na kawę.

— Też coś!

Nicole nawet nie przystanęła.

— Bardzo panią proszę! — Mark zabiegł jej drogę.

— Przecież ja pana w ogóle nie znam!

— Właśnie. Będziemy mogli się poznać.

— Traci pan czas.

— Kawa do niczego nie zobowiązuje!

— Nie, dziękuję! A poza tym jestem już dostatecznie zirytowana, żeby jeszcze dobijać się kawą.

— Więc weźmie pani czekoladę. To afrodyzjak.

— Naprawdę gada pan głupstwa...

Nicole westchnęła i podniosła rękę, żeby złapać taksówkę.

— Nie, nie, to prawda. Król Azteków Montezuma pił pięćdziesiąt czarek dziennie, zanim odwiedził swoje żony...

— Czy pan uważa się za dowcipnego?

Podjechała taksówka. Nicole szybko do niej wsiadła.

— Niech mi pani da przynajmniej numer swego telefonu — poprosił Mark.

— Jest w książce telefonicznej — zabrzmiała perfidna odpowiedź.

— Ale nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

— Moje nazwisko też jest w książce! — Nicole trzasnęła drzwiczkami taksówki.

Samochód odjechał. Mark pobiegł za nim kilka kroków. Samochody nadjeżdżające z naprzeciwka zaczęły na niego trąbić. Rozzłościł się i stanął. Wyglądał jak znokautowany bokser. Rzecz dziwna, naprawdę miał wrażenie, że pozwolił uciec kobiecie swego życia. Przeklinał swoje beznadziejne zachowanie.

Nic dziwnego, że tak mnie potraktowała. Zobaczyła kompletnego kretyna, zapóźnionego w rozwoju nastolatka. Te idiotyczne dowcipy, Boże...

Mark wierzył w znaki losu, wierzył, że szczęście mu sprzyja. Teraz był wściekły, że nie miał wystarczająco dużo czasu, aby pokazać tej kobiecie, kim jest naprawdę. Gorzej, nawet nie poznał jej nazwiska. W ten sposób stracił szansę na to, żeby ją kiedykolwiek odnaleźć.

Nigdy tego nikomu nie powiedział, nawet Connorowi, ale naprawdę wierzył, że od kiedy był małym chłopcem, czuwał nad nim Anioł Stróż, który uprzedzał go, gdy miało się wydarzyć coś dla niego naprawdę ważnego. Ale dziś nawet on zamilkł.

Ty cholerny aniele, dlaczego o mnie zapomniałeś?! — wykrzyknął w duchu.

— Uważaj, gdzie leziesz, idioto! — zawołał jakiś facet

na rolkach, jadący prosto na niego. Mark usunął się, lecz zbyt późno, aby uniknąć zderzenia. Gwałtownie popchnięty upadł na plecy.

— Czy nic ci nie jest? — spytał z niepokojem w głosie mężczyzna na rolkach, wyciągając rękę, żeby pomóc mu wstać.

Mark podniósł się i wówczas wzrok jego padł na słup stojący przy jezdni. Na słupie był naklejony afisz. Na afiszu zobaczył zdjęcie. Pod zdjęciem anons:

**Nicole Copland w Carnegie Hall**  
**Koncerty skrzypcowe — Prokofiew — Strawiński**  
**Bostońska Orkiestra Symfoniczna**  
**Czwartek, 13 maja**

— Dzięki ci, Aniele Stróžu!

\*

— No, jak ci się ona podoba?

Z najwyższego balkonu Mark i Connor obserwowali z uwagą orkiestrę i solistkę, wykonującą koncert Prokofiewa. Słynna sala koncertowa wibrowała w takt muzyki, której wykonanie zarezerwowane było dla największych mistrzów.

— No, jak ci się ona podoba? — powtórzył Mark. Rozległa się fala uciszającego „szszszsz...”.

— Nie można powiedzieć, gra dobrze — wyszeptał Connor.

— A skąd ty jesteś nagle takim koneserem muzyki klasycznej?

— Nie jestem żadnym koneserem — zgodził się Connor. — Ale dziewczyna jest ładna.

- Myślisz, że kogoś ma?
- Taka dziewczyna na pewno!
- Myślisz, że mam szansę?
- Uczciwie?
- Uczciwie.
- Myślę, że to będzie bardzo trudne, stary! — rzekł Connor.
- Szszszszsz...

## 22:57

NICOLE (*szorstko*): Niech pan sobie za wiele nie wyobraża, zgodziłam się na to spotkanie tylko dlatego, żeby uniknąć prozanej kolacji z kolegami muzykami.

MARK (*rozbawiony*): Zrozumiałem.

Siedzą naprzeciw siebie przy niskim stoliku pod rozgwieżdżoną kopułą hotelu Mansfield. Jest to pomieszczenie z mahoniowymi boazeriami, a setki małych żarówek jak gwiazdy tworzą ciepłą atmosferę sprzyjającą intymności. Barman, przynosząc im fioletowy koktajl dla Nicole i piwo dla Marka, ma uroczystą minę.

NICOLE (*trochę łagodniej*): A więc mówi pan, że jest psychologiem?

## 23:08

NICOLE (*drwiąco*): Coś dużo rozprawia pan o miłości, panie psychologu ...

MARK (*pewien tego, co mówi*): Miłość to jedyna interesująca rzecz w życiu.

NICOLE (*powątpiewająco*): Na ten temat można dyskutować.

MARK: Niech pani wyobrazi sobie życie bez miłości. Musi być śmiertelnie nudne. Na miłości interesująco mija czas...

NICOLE (*z rezygnacją*): A miłość mija z czasem.

Mark patrzy na nią. Nicole ma delikatną twarz o trochę smutnym spojrzeniu i jest to niezwykle pociągające.

## 23:12

MARK (*pozornie obojętnie*): Czy jest pani z kimś związana?

NICOLE: Niezupełnie.

MARK (*zaintrygowany*): Niezupełnie?

NICOLE (*z uśmiechem*): Powiedzmy, że teraz nie rozstaję się z moim instrumentem.

MARK: Mam nadzieję, że jest dla pani dobry.

NICOLE (*sącząc koktajl*): To Guarneri\*.

MARK: Ach, Włoch...

NICOLE: Powiedzmy, że daję mi trochę popalić, ale w sumie jestem do niego przywiązana. Bez przerwy się do niego zalecam, zresztą on do mnie również.

Nicole patrzy na Marka i odsuwa dłonią spadające na

\* Nazwisko słynnej rodziny z Cremony wytwarzającej instrumenty muzyczne. W XVII i XVIII wieku produkowali oni skrzypce, cieszące się podobną renomą co stradivariusy.



oczy włosy. Nie uświadamia sobie jeszcze, że zaczyna zakochiwać się w Marku.

## 23:24

MARK (*uwodzicielsko*): Czy jeszcze się spotkamy?

NICOLE (*nagle z dystansem*): Nie wydaje mi się.

Mark mruży oczy i wpatruje się w nią intensywnie. Po twarzy młodej kobiety przebiega cień. Jej usta powiedziały: „Nie wydaje mi się”, ale jej oczy mówią: „Może”.

MARK: Czy ma pani jakieś zmartwienie?

NICOLE (*z wahaniem*): Przed chwilą, kiedy mnie pan zapytał, czy mam kogoś... Skłamałam.

MARK: Ma pani kogoś?

NICOLE: Tak.

MARK: Kobieta taka jak pani, to oczywiste...

Cisza.

NICOLE (*wyjmując coś z torebki*): To on.

Mark myśli, że Nicole pokaże mu fotografię jakiegoś mężczyzny. Ale zamiast zdjęcia widzi plastikową torebkę, a w niej test ciążyowy. Wydaje mu się, że wolno mu przeczytać rezultat, który jest pozytywny.

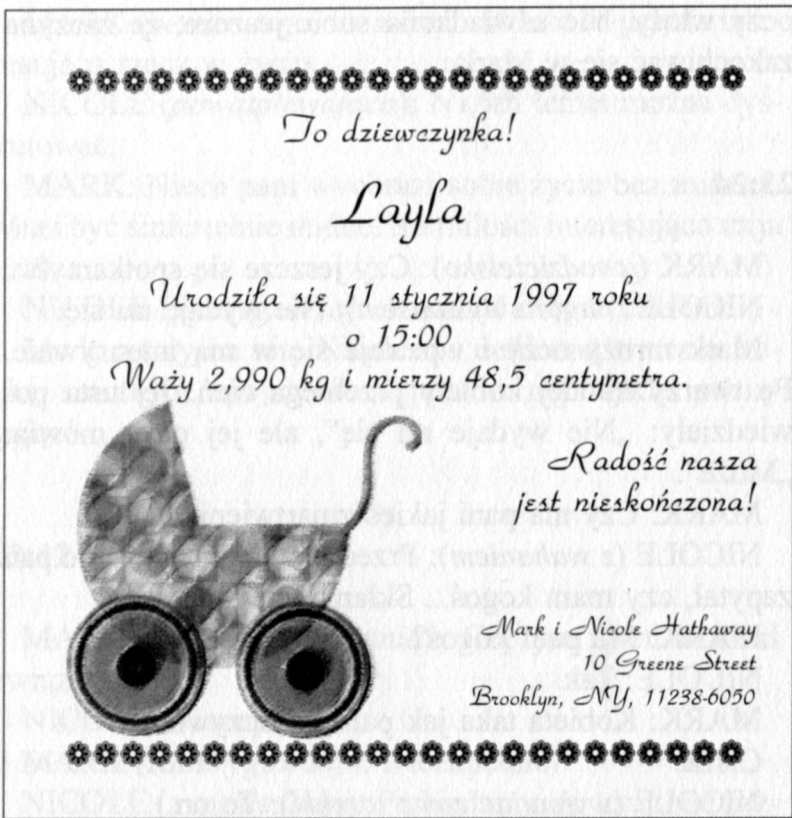
MARK (*ze spokojnym uśmiechem*): On lub ona.

Cisza.

NICOLE: A więc jest pan nadal pewien, że chce się pan ze mną spotykać?

MARK: Bardziej niż kiedykolwiek.

\*



## Ojciec rodziny

*10 września 2001*

Mark i Nicole obchodzą piątą rocznicę ślubu. Z tej okazji zrobili przyjęcie w ogrodzie z uroczystym pieczeniem mięsa na grillu. Jest piękny wieczór, lato dobiega końca. Wszystko w typowym amerykańskim stylu, z muzycznym tłem piosenek Marvin'a Gaye'a, Leonarda Cohena i Johnny'ego Casha.

Mark ze specjalną szpatułką w dłoni uczy Layłę obsługi grilla, ostrzegając przed niebezpieczeństwami.

— A to dla ciebie! — mówi i kładzie na kartoniku dziewczynki upieczone udko kurczaka.

— Idę po keczup! — woła Layla i biegnie przez trawnik.

Wieczór jest bardzo udany. Mark zauważa jednak, że Connor stoi z boku, spojrzenie ma niewyraźne, jest zamysłony. Podchodzi do przyjaciela.

— Spróbuj tego nektaru! — mówi, wręczając mu kieliszek wina.

— Co to jest?

— Chateau cheval-blanc 1995, saint-emilion grand cru. Od kilku miesięcy enologia jest pasją Marka.

— Spójrz na ten rubinowy odblask — zachwala. — I niezbyt mocny, elegancki smak garbnika. A zapachy? Czarna porzeczka, lukrecja, malina, słodka wiśnia...

— Słodka wiśnia, jesteś pewien? Daj spróbować — prosi Connor i obydwaj wybuchają śmiechem. Udawanie wielkiego konesera win jest zawsze śmieszne.

— Twoje zdrowie, stary!

— Twoje zdrowie! — odpowiada Mark i stukają się kieliszkami.

Dwa lata wcześniej otworzyli wspólnie gabinet. Wszystko poszło doskonale. Connor jest wyjątkowym psychologiem, ale również wyjątkowym uczonym, wciąż na bieżąco z najnowszymi odkryciami naukowymi. Jego metoda na rzucenie palenia za pomocą hipnozy zrobiła na Manhattanie furorę i dzięki temu bardzo się wzbogacili. Po tym sukcesie Connor zaczął stosować swoją metodę także do leczenia uzależnień i neuroz: alkoholizmu, depresji, chronicznego niepokoju i fobii. Mark zajął się

public relations. Bardzo szybko młody, przystojny i elokwentny psycholog zwrócił na siebie uwagę mediów.

— Czy pamiętasz, jak kiedyś dolewaliśmy wody do coca-coli, żeby wystarczało na dłużej?

— Pamiętam, to było ohydne — odpowiada Mark.

— Nie bardziej ohydne niż to twoje chateau coś tam.

- Zdajesz sobie sprawę, jak daleko zaszliśmy? Możemy powiedzieć, że nam się udało.

— No, nie wiem — odpowiada Connor zamyślony.

— Jak to, nie wiesz?

— Czasem mam wrażenie, że wcale nie wyjechałem z Chicago.

— Czy to z powodu tych twoich koszmarów?

— Nie, nie. To sięga głębiej. Żebyś wiedział, jak ja żałuję, że zabiłem tych facetów.

— Przecież to byli najgorsi kryminaliści, skurwysyny, bezlitośni dranie...

— Być może, ale czym się teraz od nich różnię? A najgorsze jest to, że skorzystałem z ich pieniędzy. Jestem pewien, że dalibyśmy sobie radę bez tego.

— Nie! — uciął Mark. — Wiesz dobrze, że bez tej forsy pewnie byśmy jeszcze tam byli. To była cena do zapłacenia, mimo że jest mi przykro, iż na ciebie spadł cały ciężar. Słuchaj, Connor. To minęło. Patrz lepiej w przyszłość...

— Dla mnie to tak, jakby to było wczoraj.

— Przeszliśmy już najgorsze. Teraz już nic się nam nie przydarzy.

Rozmowę przerwała Layla, która podbiegła i objęła ojca.

— Patrz, tato, przyniosłam ci ciastko. Zrobisz mi samolot?

- Mark objął córeczkę, ale nie spuszczał oczu z Connora.
- Teraz już nic się nam nie przydarzy — powtórzył, jakby chciał się upewnić.
  - Wszystko może nam się przydarzyć! — poprawił go przyjaciel.
  - Nie, dziś jesteśmy silniejsi, damy sobie radę z każdym problemem.
  - Wprost przeciwnie, teraz mamy dużo do stracenia. Mark zastanowił się chwilę.
  - Powinieneś zrobić tak jak ja: ożenić się, mieć dzieci...
  - Nie sądzę. Człowiek, który kocha, jest słabszy.
  - Nie, nie, jest silniejszy! — zaprzeczył Mark. Ale Connor nie wydawał się przekonany.
  - Kiedy boisz się stracić tych, których kochasz, wtedy jesteś słaby. Wystawiasz się sam na niebezpieczeństwo. Można łatwo ci zaszkodzić, wystarczy zaatakować twoich najbliższych. A ja nie mogę narażać się na coś takiego.
  - Dlaczego?
  - Ponieważ przeszłość może do mnie wrócić — powiedział Connor, wychylając swój kieliszek.
  - Mark chciał coś powiedzieć, ale usłyszał głos Layli:
  - Tato, tato, zrobisz mi samolot?

## 2001—2006: Lata ciemności

### Gdzie pan był tego ranka?

*Następnego dnia, 11 września 2001*

- Layla, bierz swój tornister! Spóźnisz się do szkoły, a ja do pracy!
- Ale chce mi się spać!

— Trzeba było wczoraj położyć się wcześniej, żabko, tak jak tatuś ci mówił.

— Ale jeszcze byli goście...

— Wiem. Wkładaj kurtkę i biegnij pożegnać się z mamą!

Gdy córka wbiegała na piętro, Mark wyłączył laptop i schował go do teczki, łykając w pośpiechu sok pomarańczowy.

— Do widzenia, kochanie! — krzyknął w stronę sypialni.

— Do wieczora! — usłyszał głos Nicole.

Layla zbiegła ze schodów. Razem wyszli na ulicę Brooklynu. Ranek był słoneczny.

— Gdzie stoi samochód? — spytała Layla, maszerując chodnikiem obok ojca.

— Jeszcze kawałek, kochanie. Chodź, wezmę cię na rękę.

— Jestem już za ciężka! — roześmiała się Layla.

— Zobaczymy!

Mark podniósł córkę i oparł ją sobie o ramię, a do drugiej, wolnej ręki wziął jej tornister.

— Nie wiedziałaś, że jestem Muscloreem, co?

— Kto to jest Musclor?

— Najsilniejszy człowiek świata.

— I ty nim jesteś?

— Tak. Zwycięzam siły zła dzięki magicznemu zdaniu: „Kości moich przodków dają mi wszechmocną siłę...”.

— To prawda? — spytała Layla niedowierzająco.

— Prawie, kochanie, prawie.

Obarczony Laylą i tornistrem, w drodze do samochodu Mark myślał o tym, co poprzedniego wieczoru powiedział mu Connor. Jego przyjaciel był ostatnio w nie najlepszej

formie. Przeciwnie niż Markowi, sukces zawodowy nie przyniósł mu spokoju. Wciąż męczyła go przeszłość, wyrzuty sumienia i przekonanie, że wcześniej czy później zło znów do niego wróci.

— Widzę nasz samochód! — krzyknęła Layla. — Mogę go otworzyć?

Mark patrzył na córkę, naciskającą pilota zamykającego drzwi na odległość i zastanawiał się, gdzie mogło się czaić niebezpieczeństwo.

Było ciepło, a niebo nigdy nie wydawało mu się bardziej niebieskie.

Zanim usiadł za kierownicą, spojrzął na zegarek: była 8:46.

Za niecałą minutę pierwszy samolot miał uderzyć w wieżę północną.

Za niecałą minutę Nowy Jork miał zatrząść się w posadach.

*26 marca 2002*

### **Serwis informacyjny — CNN/US**

„Po trzech dniach poszukiwań wciąż nie ma żadnej wiadomości na temat małej Layli Hathaway. Pięcioletnie dziecko zaginęło w środę w supermarkecie w Orange County.

Layla jest córką skrzypaczki Nicole Copland i nowojorskiego psychologa Marka Hathaway. Zresztą to on, wbrew zaleceniom FBI, naciskał, aby przed naszymi kamerami przemówić do potencjalnych porywaczy dziecka”.

Przed kamerami pojawił się Mark, blady, z podkrążonymi oczyma, rozbity.

„Chciałbym powiedzieć tym, którzy porwali moją córkę, że nie wolno im jej skrzywdzić. Żądajcie ode mnie okupu, zapłacę każdą sumę. Zrobię, co tylko będziecie chcieli. Ale proszę, nie róbcie krzywdy memu dziecku. Błagam, nie róbcie jej krzywdy...”.

Jest czas na wszystko, chwila na każdą rzecz  
pod niebem

Czas, aby rodzić  
Czas, aby umrzeć [...]  
Czas, aby zabić,  
Czas, aby wyzdrowieć,  
Czas, aby zniszczyć,  
Czas, aby budować,  
Czas, aby płakać,  
Czas, aby się śmiać [...]  
Czas, aby drzeć,  
Czas, aby cerować,  
Czas, aby milczeć,  
Czas, aby mówić,  
Czas, aby kochać,  
Czas, aby nienawidzić [...]

Eklezjasta, rozdział III

★

*10 stycznia 2005*

— Odchodzę, Connor.

Mark wszedł do biura przyjaciela. Od kilku miesięcy gabinet ich znajdował się w nowiułkim budynku Time Warner Center. Przeprowadzka była zaplanowana od daw-



na, ale Mark nie brał w niej udziału. Od trzech lat, od kiedy Layla znikła, Mark nie pracował, cały swój czas poświęcał na poszukiwania córki.

— Dokąd? — spytał Connor.

— Nie wiem. W każdym razie możesz zdjąć tabliczkę z moim nazwiskiem. Jeśli chcesz wykupić moje udziały, zwróć się do Nicole, ona na pewno ci to ułatwi.

— Opanuj się, stary! — wykrzyknął Connor, obejmując przyjaciela. — Wiem, że przechodzisz przez coś strasznego, ale nie ty jeden. Masz żonę, która cię kocha, masz mnie. Dziś bardziej niż kiedykolwiek musimy trzymać się razem.

— Wiem, ale dłużej nie potrafię udawać — odrzekł Mark, uwalniając się z uścisku przyjaciela. — To ponad moje siły.

Connor nie ustępował.

— Zawsze razem rozwiązywaliśmy wszystkie problemy! Pamiętasz? Na śmierć i życie? Pozwól mi pomóc ci tak, jak ty kiedyś pomogłeś mnie.

Ale Mark milczał. Connor rzekł wtedy, jakby starając się przekonać nie tylko przyjaciela, ale również siebie samego:

— Człowiek wszystko przetrwa, nigdy nie zapomni, zawsze pozostanie ból ukryty na dnie serca, ale człowiek przetrwa wszystko. Tak ja robię od lat i nauczę cię tego samego.

Ale Mark nie słuchał. Zrozpaczony Connor spróbował ostatni raz.

— Nie rób głupstw. Jeśli stracisz grunt pod nogami, trudno ci będzie powrócić do brzegu.

Mark wzruszył ramionami. Podeszedł do drzwi. Myślami był już gdzieś indziej.

— Wolę nie wracać, niż wrócić bez niej.

# 26

## Naszą zemstą będzie przebaczenie\*

*Żyć dobrze. To najlepsza zemsta.*

Talmud

### **Dzisiaj Na pokładzie samolotu 17:10**

— Już nie mogę! — westchnęła Layla, odkładając łyżeczkę.

Mark, Evie i Layla siedzieli wciąż przy stoliku w barze Floridita. Dziewczynka, najedzona, z żalem patrzyła na resztę ogromnej porcji lodów, której nie była w stanie skończyć. Ojciec pieszczotliwie pogłaskał ją po włosach, po czym wyjrzał przez okno samolotu. Pod spodem ciągnął się nieskończony dywan z chmur. Zwierzenia, które

\* Tomas Borge Martinez.

uczynił Evie, zatopiły go w przeszłości. Wróciło do niego wiele spraw, o których nie chciał pamiętać. Chciał pamiętać jedno:

— Nie wolno ci postąpić tak jak Connor — powiedział, patrząc na Evie. — Nie wolno ci niszczyć własnego życia, bo tym jest zemsta.

Dziewczyna popatrzyła na niego powątpiewająco.

— Myślę, że pan nie może tego zrozumieć...

— Ależ oczywiście, że mogę! — przerwał Mark. — Mogę zrozumieć twoje cierpienie. Jest takie jak moje. Cierpisz, to jest nie do uniknięcia. Twoją matkę spotkała straszna krzywda. Właściwie ją zabito. To normalne, że ogarnęła cię furia...

— I nienawiść! — dodała Evie z błyszczącymi oczami.

Mark położył dłoń na jej ramieniu.

— Furia może być atutem, pod warunkiem że zmieni się ją na siłę pozytywną.

— Znów to mętne gładzenie psychologa! — zezłościła się Evie.

Mark milczał przez chwilę.

— Zemsta nie uśmierzy twego bólu, wierz mi, tego nie mówi psycholog.

— Gdyby tu był Connor...

— Gdyby tu był Connor, powiedziałałby ci, że doznane-go cierpienia nie leczy się w taki sposób. On to wie z własnego doświadczenia.

— Ale ten facet, ten Craig Davis — jęknęła Evie. — Chciałabym mu zrobić krzywdę co najmniej dziesięć razy większą. Sto razy większą!

— Jeśli go zabijesz, i tak nie wrócisz życia swojej matce, a będzie się to za tobą ciągnęło do śmierci. Nic nie będzie już takie jak do tej pory.

Mark podał dziewczynie szklanę wody. Evie zamoczyła wargi i powiedziała drżącym głosem:

— Jak daleko sięgam pamięcią, tacy jak on zawsze nami pogardzali, mną i moją matką, zawsze nas upokarzali...

— Wyobrażam sobie — odrzekł lekarz.

— Nigdy już na to nie pozwolę.

— Masz rację. Ale są inne metody niż zemsta, żeby to osiągnąć — rzekł Mark.

Evie popatrzyła na niego sceptycznie.

— A co według pana powinnam zrobić?

Mark zawahał się, świadom, że dziewczyna przyjmie jego odpowiedź wrogo.

— Wybaczyć.

— Nie! Nie chcę wybaczyć! — oburzyła się Evie. — Nie chcę zapomnieć!

— Wybaczyć nie znaczy zapomnieć ani usprawiedliwić, ani też odpuścić winę — rzekł spokojnie Mark. — W przeciwieństwie do zemsty, która jest pożywką dla nienawiści, przebaczenie uwalnia nas od niej.

Teraz Evie zawahała się, zanim powiedziała drżącym głosem:

— A czy gdyby zabito pana córkę, przebaczyłby pan?

— Nie wiem, czy byłbym do tego zdolny — przyznał Mark szczerze. — Ale jestem pewien, że spróbowałbym.

Popatrzył na Laylę, która bawiła się papierowymi parasolkami dekorującymi lody.

— Myślę, że przebaczenie to najtrudniejsza rzecz na świecie — mówił dalej spokojnie. — A w każdym razie wymagająca wielkiej siły. Ale ty musisz przebaczyć, Evie. Zrób to dla siebie. Musisz się uwolnić od przeszłości, żeby zacząć normalnie żyć.

Evie wzruszyła ramionami.

— Dla mnie wszystko skończone. Nic nie mam, ani rodziny, ani pieniędzy, ani perspektyw na przyszłość.

— Do cholery, masz całe życie przed sobą! — zdenerwował się Mark. — Nie szukaj wymówek, żeby nie pracować nad sobą.

— Ale ten facet jest mordercą! — wykrzyknęła Evie zdławionym głosem.

Wówczas Mark powiedział to, co chciał jej powiedzieć od samego początku:

— Wiesz, Evie, myślę, że to nie Craiga Davisa chcesz ukarać. Ty chcesz ukarać...

Nastolatka milczała, czekając, aż Mark dokończy myśl.

— Chcesz ukarać siebie samą.

— Nie! — wykrzyknęła Evie bliska łez.

Mark nie czekał, aż dziewczyna się opanuje. Kontynuował atak:

— Oczywiście, że tak! Masz do siebie pretensję, że nie zaufałaś matce. W pewien sposób czujesz się odpowiedzialna za to, co się stało, i tego właśnie nie możesz znieść.

— To nieprawda! — zaprotestowała Evie, ale łzy, które płynęły jej po twarzy, były jak przyznanie się do winy.

— Nie myśl, że coś by to zmieniło, gdybyś zachowała się inaczej. Nic się nie wydarzyło z twojej winy, Evie, nic.

Dziewczyna szlochała.

— Dlaczego, dlaczego jej nie uwierzyłam? — powtarzała.

— Uspokój się, proszę cię, przestań płakać. — Mark objął ją serdecznie.

— Ona mnie zawsze oszukiwała, zawsze, ale nie tym razem!

— Uspokój się... — powtórzył Mark.

Evie rozpłakała się już na dobre, przyciskając głowę do ramienia Marka. Zupełnie niespodziewanie otworzyła drogę uczuciom, które do tej pory głęboko skrywała.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie odezwała się Layla.

— Tatusiu, dlaczego ona płacze? — spytała cicho.

— Ponieważ jest smutna.

— Z powodu swojej mamy?

Mark kiwnął głową. Teraz Layla objęła Evie.

— Nie bądź smutna! — powiedziała, głaszcząc po włosach starszą od siebie dziewczynkę.

Evie, już spokojniejsza, spojrzała na Marka. Lekarz wręczył jej papierową chusteczkę do nosa. Evie popatrzyła na niego z wdzięcznością.

— Tato, chce mi się siusiu! — oznajmiła nagle Layla dziecinnym głosikiem.

— Pójdę z tobą — zaproponowała Evie.

Mark się zgodził. Umówili się, że jak najszybciej wrócą na swoje miejsca. Płacąc rachunek, patrzył z przyjemnością na Evie i Laylę, które odchodziły w kierunku toalet, trzymając się za ręce jak dwie siostry opiekujące się sobą wzajemnie.

Mark zbierał się do opuszczenia baru, zostawiwszy Izaacowi napiwek proporcjonalny do ogromnej porcji lodów, którą ten im zaserwował.

Wówczas zobaczył ją znów.

Alyson Harrison siedziała samotnie w głębi sali i kończyła drugi kieliszek dom perignona.

— Różowy szampan! — stwierdził, zbliżając się do jej stolika.

Alyson zdjęła okulary słoneczne i popatrzyła na niego.

— Znów mi pan powie, że to ulubiony trunek Hemingwaya? Myślałam, że on wolał whisky...

— W każdym razie to na pewno ulubiony napój Cary'ego Granta i Deborah Kerr\*.

Alyson wskazała mu krzesło obok siebie. Przez cały czas po rozmowie, jaką ze sobą odbyli, czekała na tę chwilę. Ten mężczyzna, którego twarz była jej znajoma, miał w sobie dziwny magnetyzm niezwiązany ani z jego urokiem osobistym, ani też ze skłonnością do flirtu. Nie rozmawiali długo, ale kiedy kilka godzin wcześniej zaczęła mu się zwierzać, poczuła się nagle wolna od strachu, który paraliżował ją od dawna.

— Dlaczego mam uczucie, jakbym pana znała? — zapytała Marka.

— A więc ta metoda jeszcze działa? — zdziwił się żartobliwie.

— Ależ ja mówię poważnie!

Mark postanowił być uczciwy.

— Powiedzmy, że kilka lat temu media bardzo się interesowały moją osobą.

— Z jakiego powodu?

— Z powodu mojego zawodu. Często występowałem w programach CNN i MSNBC. Byłem dyżurnym psychologiem, uspokajałem widzów po każdym tragicznym wydarzeniu: po morderstwach w szkole średniej w Columbine, po wydarzeniach jedenastego września, po zamachach terrorystycznych z użyciem broni bakteriologicznej...

\* Aluzja do sceny ze słynnego filmu Lea McCareya *Niezapomniani romans*.

— I już pan nie pracuje?  
— Nie, skończyłem z tym.  
— Dlaczego?  
— Z powodu osobistej tragedii. Człowiek zdaje sobie wówczas sprawę, że wszystkie rady, które daje się obcym tak autorytatywnie, zupełnie nie działają wobec własnego cierpienia.

Przez twarz Marka przebiegł cień. Alyson bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale zapadła cisza, która spowodowała, że znów wrócił jej własny stres. Wypiła dość dużo alkoholu podczas tej podróży i teraz bolała ją głowa. Mimo to nalała sobie jeszcze jeden kieliszek szampana, który wychyliła nerwowo jednym haustem, i znów sięgała po butelkę. Mark położył dłoń na jej dłoni, żeby ją powstrzymać.

— Jeżeli trzeba będzie panią wynosić z samolotu, wszyscy fotoreporterzy bardzo się ucieszą. Proszę im nie robić tego prezentu.

Alyson wzruszyła ramionami.

— Jeszcze jedna przykrość więcej...  
— Dlaczego tak się pani nad sobą znęca?  
— Bo tylko to zależy ode mnie! — odpowiedziała z błyszczącymi oczami. — Moje życie jest nic niewarte.  
— Wiem, że mężczyźni nie bardzo wypadają o to pytać, ale ile pani ma lat, Alyson? Dwadzieścia cztery? Dwadzieścia pięć?  
— Dwadzieścia sześć.  
— Jak można w tym wieku mówić, że życie jest nic niewarte?  
— To moja sprawa.

Mark postanowił ją sprowokować.

— Proszę nie liczyć na to, że będę się nad panią litował.



Ma pani wszystko, o czym ludzie marzą: pieniądze, młodość, z pewnością i zdrowie... Mówi pani, że pani życie jest nic niewarte, a więc proszę je zmienić. Niech pani zrobi coś innego, z innymi ludźmi. Może pani zacząć od zera. Może pani zmienić swój wygląd, przyjąć nowe nazwisko, zacząć nowe życie.

— Nie można przeżyć życia od nowa, można tylko je kontynuować. Wszyscy o tym wiedzą, panie psychologu.

— Rano zadałem pani pytanie, na które nie dostałem odpowiedzi.

— Nie pamiętam... — odrzekła zażenowana.

— Zapytałem, za co się pani tak karze.

Alyson na początku milczała, ale potem poczuła nieodpartą chęć opowiedzenia wszystkiego temu mężczyźnie, którego poznała zaledwie kilka godzin wcześniej. Musiała zwierzyć się mu z sekretu, który ją tak dręczył. Oczywiście, konsekwencje mogły być straszne, więzienie, skandal... Ale jeśli się dobrze zastanowić, już od wielu lat życie jej było jak więzienie. Co do skandalu zaś...

Kiedy wzrok Marka napotkał jej oczy, psycholog zorientował się, że nie będzie musiał powtarzać tego pytania:

— Za co się pani tak karze, Alyson?

— Za to, że zabiłam małego chłopca — odrzekła.

# 27

## Alyson Trzeci flashback

**Beverly Hills, Kalifornia**  
**Wiosna 2002**

Jest druga po południu. Piękna willa w stylu śródziemnomorskim. Alyson otwiera jedno oko i natychmiast je zamyka. Aj! Głowa!

Poprzedniego wieczoru zorganizowała wielkie przyjęcie urodzinowe dla swego obecnego narzeczonego. Była na tym przyjęciu bogata młodzież z Beverly Hills. Goście rozeszli się późno w nocy. Alyson położyła się dopiero nad ranem. Mdliło ją. Za dużo wypiała.

Kiedy wreszcie spojrzała na zegarek, zaklęła i wyskoczyła z łóżka. Do diabła!

Obiecała, że weźmie udział w uroczystości otwarcia nowej hali sportowej dla VIP-ów z Huntington Beach. Już była spóźniona. Zrobiła kilka kroków w kierunku łazienki, ale trudno jej było dojść do siebie: miała wrażenie, że głowę ściska jej obręcz, żołądek płonie, a w ustach

ma pustynię. Powieki zupełnie nie chciały się unieść. W tej chwili żałowała każdego kieliszka alkoholu, każdej tequili, które wczoraj tak chętnie wychylała. Przez kilka ostatnich lat prawie zawsze budziła się na kacu. Zawsze również obiecywała sobie, że to na pewno ostatni raz. Niestety, na postanowieniach się kończyło.

Opłukała twarz wodą i powłokła się do kuchni, w której krzątała się Graziella, stara portorykańska gosposia, starając się doprowadzić wszystko do porządku po ekscesach poprzedniego wieczoru.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś? - - spytała z wyrzutem Alyson.

— Nie prosiłaś mnie o to.

— Ale przecież jest druga po południu!

Gosposia wyjęła z pieca brytfannę i postawiła ją na stole.

— Proszę, naleśniki, takie jak lubisz.

Ale Alyson odepchnęła brytfannę.

— Tłuszcz i cukier! Zwariowałaś? Nie mam ochoty być taka gruba jak ty!

Graziella się nie odezwała. Już ponad dwadzieścia lat pracowała u Richarda Harrisona i znała Alyson, od kiedy dziewczynka się urodziła. Kiedyś bardzo się lubiły. Alyson opowiadała Grazielli, co robiła w ciągu dnia, czym się interesowała, zwierzała się jej ze swoich sekretów. Ale od pewnego czasu stosunki między nimi się popsuły.

Młoda kobieta, zirytowana, wzięła małą porcję płatków śniadaniowych, którą zalała sokiem pomarańczowym.

— Brzuch mnie boli! — poskarżyła się, otwierając wielkie francuskie okno.

Kuchnia wychodziła na wspaniały taras. Na środku znajdował się wielki basen w kształcie gitary. Alyson

przysiadła na tekowym krześle, ale nagle z nieba spadło kilka kropli, które zapędziły ją z powrotem do domu.

Jeśli pogoda też zaczyna wariować... — jęknęła w duchu Alyson.

Wróciła do kuchni i wrzuciła do szklanki z wodą dwie musujące tabletki.

— Powinnaś raczej wziąć paracetamol, aspiryna tylko nasili ci ból brzucha — zauważyła Graziella.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? — zdenerwowała się Alyson. — Nie jesteś lekarzem, tylko gosposią.

Po tej niegrzecznej odzywce wyszła z kuchni i zamknęła się w łazience, żeby wziąć zimny prysznic, ale ten bardziej ją zmęczył, niż uspokoił. Wróciła do sypialni, włożyła obcisłe dżinsy Blue Cult, sandaalki od Ferragama, po czym wyrzuciła wszystko z szafy w poszukiwaniu góry.

— Gdzie go wsadziłaś?! — wrzasnęła, wracając do kuchni.

— Co znowu? — spytała Graziella.

— Mój T-shirt!

— Przecież masz setki T-shirtów!

— Mój różowy T-shirt od Stelli McCartney!

— Jeśli nie możesz go znaleźć, pewnie jest w pralni.

— Przecież cię prosiłam, żebyś sama go uprała!

— O nic mnie nie prosiłaś i w ogóle dość tych kaprysów, Aly. Masz dwadzieścia dwa lata, a nie dwanaście.

— Nie masz prawa odzywać się do mnie w ten sposób.

- Odzywam się tak, jak odezwałaby się twoja matka, gdyby tu była.

— Ale ty nie jesteś moją matką, ty u mnie pracujesz.

— Być może ja u ciebie pracuję, ale powiem ci przynajmniej, że stajesz się nieznośna, Alyson. Zachowujesz się jak zepsuty dzieciak, jesteś arogancka i egocentryczna.

Nie potrafisz nikomu okazać serca. Pieniądze cię zdemoralizowały: wszystkim gardzisz i nie masz żadnych ideałów. Dotąd nie rozumiałaś, że bogactwo to nie tylko prawa, ale i obowiązki! Ty zaś gwizdziesz na obowiązki. Nie masz żadnych planów życiowych. To prawda, ja tylko u ciebie pracuję, ale i tak od pewnego czasu wstydzę się za ciebie...

Zraniona okrutnymi, lecz jakże prawdziwymi słowami Grazielli, Alyson chwyciła ze stołu filiżankę z płatkami i z furją cisnęła ją w twarz służącej.

Graziella była starą kobietą, ale miała refleks, dzięki któremu uchyliła się i uniknęła uderzenia. Filiżanka rozbiła się o ścianę.

Przez kilka sekund obie kobiety stały jak sparaliżowane, patrząc na siebie i nie będąc w stanie się odezwać. Obie były przerażone siłą i gwałtownością reakcji Alyson.

Pierwsza załamała się Alyson. Wybiegła z domu i wsiadła do swego samochodu, jaskrawoczerwonego terenowego wozu z napędem na cztery koła. Cała się trzęsła. Z oczu popłynęły jej łzy. Przekręciła kluczyk w stacyjce i odjechała z piskiem opon.

Dlaczego tak się zachowałam?

Eleganckie domy z doskonale utrzymanymi ogrodami pełnymi kwitnących kwiatów stanęły w ulewnym deszczu. Co chwila grzmiało i niebo przecinały błyskawice. Jeep Wrangler jechał bardzo szybko drogami wysadzonymi palmami i sykomorami.

Dlaczego jestem taka wstrętna? — myślała Alyson z oczami pełnymi łez.

Graziella miała rację. Od pewnego czasu Alyson za-

chowywała się obrzydliwie. Za dużo piła, zażywała narkotyki, dlatego nie potrafiła zapanować nad swoimi emocjami, co popychało ją czasem na skraj przepaści.

Zaczęło jeszcze bardziej lać. Alyson wyjechała już z eleganckiego Beverly Hills i znalazła się teraz w płataninie kalifornijskich torów kolejowych. Machinalnie skierowała się ku Huntington Beach, ale wiedziała, że nie pojedzie na otwarcie hali sportowej.

Pełna wstydu starała się uporządkować myśli. Musi zmienić sposób życia, i to od zaraz. W przeciwnym przypadku prędzej czy później powinie jej się noga i stanie się to, co nieodwracalne.

Alyson zwolniła i obtarła twarz z łez. Padało teraz tak bardzo, że wycieraczki prawie nie nadażały ze zbieraniem wody z szyb.

Musiała się skupić. Przecież była młoda, straciła z powodu dotychczasowego trybu życia niewiele lat. Jeszcze czas, żeby zacząć wszystko od nowa. Pójść na studia, przestać widywać się z tymi wszystkimi pseudoprzyjaciółmi i spotykać się z próżniakami, którzy mają wodę zamiast mózgu.

Podmuchy wiatru uderzały w jeepa, który kilkakrotnie się zachwiał. Neonowe napisy na autostradzie ostrzegały przed niebezpieczną pogodą i doradzały ostrożną jazdę.

Alyson prawie się uspokoiła. Musi wrócić do domu, przeprosić Graziellę i podziękować, że swoimi uwagami otworzyła jej oczy. Spędzi z nią popołudnie, wspólnie coś razem postanowią i tak, jak to miała w zwyczaju, kiedy była małą dziewczynką, pomoże jej przygotować kolację. Tego wieczoru też powiadomi o swoich postanowieniach ojca. Akurat w tym tygodniu był w Los Angeles. Zawsze miał co do niej wielkie plany, ale ona oddaliła się od

niego, na złość, przez własną głupotę! Nieważne, od teraz znów będzie mógł być dumny z córki.

Postanowiła jak najszybciej zrealizować swoje zamierzenia. Zaczęła niecierpliwie wyprzedzać inne samochody, żeby szybko zjechać z autostrady. Wzdłuż drogi widziała tylko zalany deszczem typowy dla regionu Los Angeles krajobraz, czyli parkingi na przemian z centrami handlowymi. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć napisy. Prawdę mówiąc, nie za bardzo wiedziała, gdzie jest. Przejechała właściwy zjazd i znalazła się przy wjeździe na jakiś parking. Gwałtowny wiatr i deszcz utrudniały orientację. Alyson przypomniała sobie film *Magnolia*, który kończył się tajemniczą i przerażającą sceną deszczu ropuch. Coraz więcej samochodów zatrzymywało się wzdłuż drogi, żeby przeczekać ulewę. Alyson jechała dalej.

Nagle usłyszała sygnał telefonu komórkowego. Komórka była w torbie, torba stała na podłodze przed siedzeniem pasażera.

Wiadomo, że nie należy odbierać telefonu podczas prowadzenia samochodu, ale i tak wszyscy to robimy.

Alyson schyliła się po telefon. Tylko spojrzy, kto dzwoni. Żeby móc oddzwonić.

Nagle poczuła, że samochód w coś uderzył.

Wyprostowała się spanikowana. Coś zauważyła. Czy wjechała na krawężnik? A może potrafiła jakieś zwierzę? Nacisnęła hamulec i otworzyła drzwiczki jeepa. Serce jej zaczęło bić dwa razy szybciej. Jak tylko wysiadła, zorientowała się, że jej obawy były uzasadnione.

Potrafiła nie coś, ale kogoś.

Dziecko.

\*

— Nic ci się nie stało?!

Alyson podbiegła do małego chłopca, który leżał bez ruchu. Ogarnął ją paniczny strach. To małe, delikatne ciało... Ani na jego ubraniu, ani na ziemi nie było śladów krwi, ale pozycja, w jakiej leżała głowa, mogła wskazywać na to, że chłopiec, upadając, uderzył w którąś z betonowych doniczek ustawionych wzdłuż drogi.

Alyson zaczęła się bezradnie rozglądać w poszukiwaniu pomocy.

— Na pomoc! Proszę mi pomóc!

Ale miejsce było zupełnie bezludne. Burza jeszcze się wzmogła, co chwila grzmiało i błyskało. Wokół nie było żywej duszy.

Tylko nie wpadaj w panikę!

Wróciła do samochodu, wzięła komórkę, żeby wykręcić 911. Numer był ciągle zajęty, najwidoczniej przez tę burzę. Wykręciła numer powtórnie, potem po raz trzeci. Wciąż zajęte.

Bez przerwy uderzały w nią fale wiatru i deszczu. Postanowiła sama odwieźć dziecko do szpitala. Delikatnie podniosła ciało i zaniósła do jeepa.

— Wszystko będzie dobrze! Wytrzymaj, proszę cię!

Ruszyła i mimo paniki udało jej się wjechać na autostradę. General Hospital, znajdujący się na południowym wschodzie miasta, nie powinien być daleko.

— Nie umieraj, proszę cię, nie umieraj!

Twarz Alyson była mokra od deszczu i łez. Nie wierzyła w Boga, ale się modliła:

— Boże, spraw, niech chłopiec przeżyje, niech przeżyje!

Na drodze panowały ciemności i strugi deszczu jeszcze utrudniały widoczność. Była dopiero trzecia po południu, a wydawało się, że jest ciemna noc.



— Boże, nie karz mnie, uratuj go!

Minęło niewiele czasu i samochód Alyson wjechał na parking przed izbą przyjęć. Główne wejście było zastawione przez dwa wozy strażackie w trakcie manewrowania. Zamiast zaczekać, aż odjadą, Alyson pojechała oświetlonym fragmentem drogi prowadzącym w głąb parkingu. Kiedy zaparkowała, wysiadła, obeszła dokoła auto i nachyliła się nad dzieckiem. Biorąc je na ręce, zdała sobie sprawę z przerażającego faktu, że chłopczyk jest martwy.

Krzyknęła i przytuliła go do siebie. Była jak w transie.

Minęła długa chwila, zanim zatrzasnęła drzwi samochodu. Oszołomiona, nie za bardzo wiedziała, co teraz zrobić. Była kompletnie wyczerpana. W ostatnim przebłysku świadomości wybrała numer telefonu ojca.

\*

## **Pół godziny później**

Deszcz przestał padać. Parking stanął w wilgotnej mgle.

Hummer z przyciemnionymi szybami wjechał na teren szpitala. Wsiadł z niego Richard Harrison w towarzystwie wielkiego Murzyna. Curtis był ochroniarzem Harrisona i człowiekiem do zadań specjalnych. Przez cały czas wspinania się po drabinie sukcesu biznesmen otaczał się ludźmi, którzy zawdzięczali mu wszystko i którzy oddaliby za niego życie. Curtis był jednym z tej grupy.

Natychmiast zauważyli Alyson, która siedziała pod murem z głową schowaną w podciągniętych kolanach. Ubranie miała przemoczone. Była biała jak prześcieradło, cała drżała, szczękała zębami i była w stanie silnego

szoku. W dłoni kurczowo ścisnęła, kalecząc się, srebrny łańcuszek chłopczyka, który spadł na podłogę samochodu. Richard nachylił się do córki i przyłożył dłoń do jej płonącego z gorączki czoła.

— Zabierz ją do domu! — zlecił Curtisowi. — Grazier-la się nią zajmie. Zadzwoń do doktora Jenkinsa, gdyby jej stan się pogorszył. Przygotuj też samolot.

Curtis owinał Alyson pledem i zaniósł do hummera. Richard otworzył jeepa, zobaczył zwłoki dziecka i natychmiast zatrzasnął drzwiczki.

— A reszta? — spytał Curtis obojętnym tonem.

— Resztę załatwię sam — odpowiedział Richard.

## **Pustynia Mojave**

### **Wschodnia Kalifornia**

Richard Harrison trzy godziny już siedział za kierownicą jeepa córki. Opuściwszy ogromną metropolię, jaką było Los Angeles pokrywające swymi mackami wielką przestrzeń, wjechał na pustynię. To była przerażająca podróż. Na siedzeniu pasażera leżały zwłoki dziecka zawinięte w koc w szkocką kratę. Richard nigdy sobie nie wyobrażał, że będzie musiał zmierzyć się z czymś równie potwornym, mimo że przeżył niejedną trudną chwilę. W 1965 roku jako młody oficer został wysłany do Wietnamu, potem jego żona zachorowała na raka i on towarzyszył jej przez wszystkie stadia choroby, aż do śmierci. Fakt, że odnosił sukcesy zawodowe, również zmuszał go do ciągłego uczestnictwa w dzielącej świat wojnie ekonomicznej. Gdy był dorastającym chłopcem, aby się nie bać, wciąż starał się wszystko przewidzieć. Wyobrażał

sobie zawsze, że sprawdza się najgorsze z przewidywań, w nadziei, że to go do tej sytuacji przygotuje. Z wiekiem zahartował się, ale ten zwyczaj zachował. W ostatnich latach rozprawił się w ten sposób z problemem swojej choroby i ewentualnej śmierci. Czuł, że potrafi zachować się dzielnie w obydwu sytuacjach. Ale nigdy nie myślał, że przyjdzie mu potajemnie pogrzebać dziecko zabite przez własną córkę. Zastanawiał się, czy w ogóle da radę to uczynić. W drodze wiele razy zatrzymywał się i wymiotował, a teraz jechał z otwartymi oknami, tak trudno było mu oddychać. Mimo to dusił się i wydawało mu się, że zaraz dostanie ataku serca. Nie mógł jednak opuścić córki w takiej sytuacji. Kilka tygodni wcześniej na trzy miesiące odebrano jej prawo jazdy za prowadzenie w stanie nietrzeźwym. Jeśli teraz zatrzymano by ją za przejechanie dziecka, a nie miała przecież prawa jazdy, mogłaby dostać się do więzienia na kilka lat, a wówczas, mimo znajomości, jakie posiadał, nic nie mogłoby dla niej zrobić.

Musiał uratować córkę przed więzieniem. Parę kilometrów za Palm Springs zatrzymał się w sklepie z narzędziami i kupił łopatę i motykę. Zapłacił gotówką, odwracając głowę od kamery wideo, i był prawie pewien, że nikt go nie poznał. Mimo że stał na czele jednego z największych koncernów w Stanach Zjednoczonych, poza prasą ekonomiczną nie mówiono o nim nigdzie indziej. Nie był tak popularny jak Bill Gates czy Warren Buffet. Prawdopodobnie też młoda kasjerka, która go obsłużyła, częściej czytywała program telewizji aniżeli „Business Week”.

Alyson to była inna sprawa. Te wszystkie głupstwa, które wyrabiała, spowodowały, że prasa brukowa wciąż

zamieszczała jej zdjęcia. Prawdopodobnie znał ją każdy mieszkaniec Los Angeles. Ponadto, wbrew temu, co powiedział jej przez telefon, Richard wcale nie był pewien, że nie było świadków wypadku. Obawiał się, że policja może łatwo wpaść na trop córki. Musiał więc działać szybko, bardzo szybko.

Jeep jechał jeszcze około godziny poprzez góry i skaliste równiny, gdzie rosły tylko kaktusy. Gdy zapadła noc, Richard znalazł się na wielkiej dzikiej przestrzeni niedaleko granicy stanu Nevada. Zjechał z głównej drogi na pagórkowaty teren pokryty pustynnym pyłem, kamieniami i rozdrobnionymi skałami. Pośrodku tej wyschniętej równiny zauważył popękana parcelę przysłoniętą judaszowym drzewem. To było dobre miejsce. Zatrzymał się, zostawiając zapalone reflektory.

Była siódma wieczorem, kiedy uderzył po raz pierwszy motyką w ziemię.

Dziesiąta, gdy złożył ciało dziecka w grobie.

Północ, gdy grób był zasypany.

O pierwszej w nocy Richard zmówił modlitwę nad grobem, wszedł do samochodu i odjechał tą samą drogą, którą tu przybył.

O trzeciej w nocy spotkał się z Curtisem w umówionym miejscu, gdzie podpalili jeepa i go porzucili.

O szóstej rano Richard wrócił do Beverly Hills i odwiózł córkę na lotnisko.

Dwie godziny później prywatny jet miliardera z Alyson na pokładzie odleciał do Szwajcarii.

Richard został w Ameryce i czekał.

Pierwszego dnia nie zdarzyło się nic, tak samo jak drugiego i trzeciego dnia.

Po tygodniu Richard stwierdził, że nikt nigdy nie wpadnie na ich trop i że jego córka jest bezpieczna.

Ale czy możliwe jest wyrzucenie z pamięci takiego czynu i wmówienie sobie, że to się nigdy nie zdarzyło?

# 28

## Życie przed tobą

*Przyszłość to prezent od przeszłości.*

Andre Malraux

**Dzisiaj**

**Na pokładzie samolotu**

**18:00**

„Proszę państwa, zaraz będziemy podchodzić do lądowania w Nowym Jorku. Proszę wrócić na swoje miejsca, ustawić oparcia foteli w pozycji pionowej i zapiąć pasy”.

Komunikat stewarda przerwał opowiadanie Alyson, która zamrugała oczami, jakby obudziła się ze złego snu, i rozejrzała dokoła. Goście zaczęli powoli opuszczać Floridę. Dwie stewardesy poprosiły ostatnich klientów o zajęcie miejsc.

- Zrobiłam coś niewybaczalnego! — stwierdziła Alyson, wycierając z powiek ślady rozmazanego tuszu. — A najgorsze, że wszystkim obciążyłam ojca. Spędziłam potem w Szwajcarii parę miesięcy, wpadałam z jednej depresji w drugą, zmieniałam kliniki odwykowe, a kiedy wróciłam, wszystko było tak, jakby nic się nie wydarzyło!

Mark, poruszony, ale i przestraszony opowiadaniem Alyson, starał się powiedzieć coś rozsądnego.

— Wszystko można wybaczyć, ale w życiu zdarzają się sytuacje, których nie można zmienić. Wyrzuty sumienia nie ożywią tego dziecka.

— To nie jest żadne pocieszenie.

— Nie, ja wcale nie chcę pani pocieszać. Musi pani ponieść odpowiedzialność za to, co pani zrobiła, i może pani jeszcze bardziej cierpieć. Ale pani życie się nie skończyło. Ma pani wpływ na wiele innych rzeczy, może pani pomagać innym dzieciom, zaangażować się w działalność społeczną, humanitarną. Nie tylko finansowo. To zależy tylko od pani. Nie wolno natomiast stać się więźniem przeszłości. Może też nie wszystko, co się zdarza, w pełni rozumiemy...

Zawiesił głos. Przypomniała mu się córeczka i to, jak tajemniczo pojawiła się z powrotem, a także jego własne cierpienie. Alyson popatrzyła pytająco, oczekując dalszego ciągu wypowiedzi.

— Może cierpienie jest użyteczne, może otwiera przed człowiekiem inne horyzonty — zasugerował Mark. — Może nie jesteśmy w stanie pojąć sensu tego, co nas spotyka.

Alyson spuściła oczy.

— Co za sens może mieć śmierć dziecka? — spytała.

Mark otworzył usta, ale nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

— Proszę pana, proszę wrócić na swoje miejsce! — zwróciła się do niego jedna ze stewardes, zmuszając Marka do wstania od stolika.

Wciąż patrząc na Alyson, Mark podniósł się jak automat. Chciałby porozmawiać z nią dłużej, przekonać, żeby nie ciągnęła za sobą tego straszego wydarzenia, które niczym łańcuch przykuwało ją do przeszłości. Chciał pomóc jej zaplanować sobie przyszłość bez odcinania się od przeszłości.

Samolot zakołysał się gwałtownie i zaczął schodzić w dół, ku warstwie chmur. Tym razem stewardesa była bardziej stanowcza i odprowadziła Marka aż do schodów na dolny pokład.

W pośpiechu zostawił na stoliku w barze portfel. Kiedy Alyson to spostrzegła, Mark już był na dole. Wzięła portfel do ręki, przyjrzała mu się, zobaczyła, że jest dość zniszczony. Mimo pokusy nie otworzyła go jednak, tylko wsunęła do kieszeni, obiecując sobie oddać mu go później.

W ten sposób na pewno jeszcze go spotka.

W tej samej chwili Connor, znajdujący się na Manhat-tanie, rzucił okiem na nowoczesny zegar wiszący na ścianie gabinetu w klinice Mozarta. W tej klinice zajmował się najpoważniejszymi przypadkami, pacjentami, których nie mógł przyjąć w swoim gabinecie. Za niecałą godzinę miał spotkać się z Markiem. Czekał na tę chwilę z niecierpliwością i strachem.

Kilka metrów od niego Nicole usadowiła się na równie nowoczesnej jak zegar, surowej w kształcie kanapie. Zdjęła pantofle i podwinęła nogi pod siebie. Connor zauważył, że drży. Przyniósł jej koc. Nicole podziękowała mu wzrokiem i zarzuciła koc na nogi. Connor położył dłoń na jej ramieniu. Przez chwilę obydwójce milczeli.



Słońce zachodzące nad Bartery Park oświetlało pomieszczenie ciepłym światłem koloru herbaty, które kontrastowało z zimnymi błękitnymi tonami wystroju wewnątrz.

— Powiedz, jak on zareaguje, kiedy dowie się prawdy? — spytała Nicole.

Connor również się nad tym zastanawiał. Czy jego przyjaźń z Markiem oprze się najbliższej przyszłości? Aby upewnić się w tym, przypomniał sobie świąteczną noc, podczas której los skierował ku niemu trzy istoty w okropnym stanie psychicznym...

# 29

## Noc, kiedy się wszystko zaczęło (dalszy ciąg)

*Jeśli nie wiesz, dokąd idziesz, przypomnij  
sobie przynajmniej, skąd przychodzisz.*

Przysłowie afrykańskie

### **Noc Bożego Narodzenia 2006 Centrum Manhattanu...**

#### **3:30 — Connor i Alyson**

W snopie świateł padających z latarni w Soho wirowały płatki śniegu.

Connor zaparkował astona martina i poszedł do domu. Był to bezosobowy, zimny loft, do którego wracał tylko po to, żeby się przespać. Kiedy naciskał wyłącznik światła, u sufitu zapalała się naga żarówka, jakby w mieszkaniu wciąż trwał remont. Connor zamyślony wszedł do salonu, gdzie na podłodze z jasnego drewna stało jeszcze kilka niewypakowanych kartonowych pudeł. Skierował się do

kuchni będącej w podobnym stanie jak salon. Szafki były puste, ceramiczna płyta kuchenna nowiusieńka. Connor otworzył drzwi metalowej lodówki i wyjął butelkę chardonnay. Nalał sobie kieliszek i wrócił do salonu. Ponieważ było zimno, podkręcił termostat grzejnika, ale mimo to wiało z niego zimnym powietrzem. Aby się rozgrzać, Connor wypił wino jednym haustem i wrócił do kuchni nalać sobie kolejny kieliszek. Może nie powinien zabierać ze sobą butelki. Tak jak to się często zdarzało, gdy nie pracował, czuł w sobie pustkę niemożliwą do wypełnienia przez kogokolwiek, przez jakiegokolwiek hobby czy narkotyki. Jego życie osobiste było takie jak jego mieszkanie: rozpaczliwie puste.

Rozluźnił krawat i podszedł do wielkiego okna. Na dole, na chodniku, stał tak samotny jak on bałwan, któremu podarował własny szalik. Connor uniósł kieliszek w kierunku swego towarzysza niedoli, po czym padł na kanapę i machinalnie włączył wielki płaski ekran wiszący na ścianie. Wyłączył dźwięk i zaczął przeskakiwać pilotem kanały. Na kanale z filmami dawano fragmenty starych filmów, których punktem kulminacyjnym była wigilijna noc: *To wspaniałe życie*, *Cud na Trzydziestej Czwartej Ulicy*...

Legenda mówi, że noc wigilijna jest wyjątkowa, to noc, gdy wszystko może się wydarzyć...

Akurat!

Connor zamknął oczy. Znow zobaczył Evie, tę dziwną, smutną dziewczynę, która usiłowała ukraść mu teczkę. Wiedział, że ona spędzi tę noc w strachu i zimnie. Widział, że dziewczyna jest u kresu wytrzymałości, że nienawisć ją zżera, ale nie umiał jej pomóc.

Oto, co sobie wyrzucał, gdy nagle usłyszał dzwonek

telefonu. Zmarszczył brwi. To z pewnością Nicole. Zapomniał do niej zadzwonić. Spojrzał na wyświetlający się numer. „Numer prywatny”.

— Halo?

— Czy to... Czy to Connor McCoy?

— Tak.

— Wiem, że jest późno i że na pewno przeszkadzam, ale...

Głos w słuchawce był głosem kobiety, raczej młodej, przerażonej.

— To mój ojciec polecił mi pana. Powiedział, że tylko pan będzie mógł mi pomóc...

Każde słowo wymówione przez kobietę zagłuszała uporczywa czkawka.

— Co się z panią dzieje? — spytał Connor.

— Zabiłam kogoś.

Przez chwilę Connora ogarnęła panika. W słuchawce słyszał już tylko szloch i westchnienia.

- Niech się pani uspokoi. Proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa?

— Alyson Harrison.

Connor podszedł do okna. Na dole zobaczył młodą kobietę opartą o maskę samochodu.

— A gdzie pani jest, Alyson?

Zagubiona pośród niezliczonych płatków śniegu młoda kobieta podniosła oczy ku oknu mieszkania na ostatnim piętrze. Spojrzenie jej powędrowało w kierunku Connora i zatrzymało się na nim dokładnie w momencie, gdy powiedziała:

— Jestem na dole, pod pana klatką schodową.

## W godzinę później

Pokój był pogrążony w mroku. Alyson zasnęła na kanapie w salonie. Awaria ogrzewania zmusiła Connora do rozpalenia po raz pierwszy ognia w kominku, którego wesołe płomienie oświetlały teraz salon. Connor stał przy oknie i bezradnie patrzył na swoją nową pacjentkę.

Wiedział, kim była. Nieraz trafiał na jej fotografie w gazetach i kolorowych pismach. Słyszał niejedno o jej wybrykach i wiedział, że jej nazwisko kojarzy się ze skandalami i prasą brukową. Ale młoda kobieta, z którą przed chwilą rozmawiał, nie była ani arogancka, ani źle wychowana. Zagubiona, prześladowana przez wydarzenia z przeszłości, które popychały ją każdego dnia bliżej przepaści, przyszła pokornie prosić o pomoc.

Przez prawie godzinę opowiadała mu straszną historię, która jej się przydarzyła. Wypadek samochodowy, w którym stracił życie mały chłopiec, ojciec pozbywający się zwłok, próba zapomnienia o wszystkim, wreszcie niemożność „życia z tym”, spirala samozniszczenia i kilkakrotne próby samobójstwa. Za wszelką cenę chciała to przerwać, chociaż była świadoma, że nie ma żadnej ucieczki z tego piekła. Tego wieczoru chciała nawet zgłosić się na policję, ale zabrakło jej odwagi. Wówczas postarała się znaleźć Connora, który był jej ostatnią deską ratunku. Zrobiła to, ponieważ dawno temu poradził jej tak ojciec. Była zdecydowana oddać swój los w ręce psychoterapeuty.

Connor wrzucił szczapę drewna do ognia i podsycił go. Przypomniawszy sobie, że kilka miesięcy po ukazaniu się jego książki dostał list od Richarda Harrisona. Biznesmen był pod wrażeniem lektury i chciał się z nim spotkać. Connor nie odpisał mu i bardzo tego żałował, gdy kilka

miesiący potem, będąc u szczytu zawodowych sukcesów, miliarder publicznie oznajmił o swojej chorobie.

— Dziecko, które zabiłam, przychodzi do mnie w nocy w snach i prześladuje mnie — powiedziała mu Alyson na zakończenie zwierzeń.

Connor zadrżał, bo słuchając słów młodej kobiety, słyszał jakby siebie samego i odczuwał jej cierpienie dokładnie tak samo, jakby ono było jego własne. Wówczas obiecał, że jej pomoże.

Dał jej środek uspokajający i zaproponował, żeby spędziła noc w jego mieszkaniu. Nazajutrz opowie jej o nowych terapiach, ale na razie powinna odpocząć. Uspokojona tymi słowami Alyson wyciągnęła się na kanapie przed kominkiem i w końcu, opatulona w koc, zasnęła.

\*

#### **4:45 — Connor i Evie**

Connor w zamyśleniu zapalał papierosa, gdy ponownie zadzwonił telefon. Zaskoczony tym, że znów ktoś dzwoni w środku nocy, szybko odebrał, żeby Alyson się nie obudziła.

— Doktor Connor McCoy?

— Tak.

— Tu posterunek policji...

„Oskarżam pana o morderstwo dokonane na dwóch mężczyznach, w Chicago, w 1989 roku”.

— Porucznik Dave Donovan, czternasty dystrykt...

„Oskarżam pana, że ukrywa pan u siebie morderczynię...”.

— Bardzo pana przepraszam, panie doktorze, że budzę pana w środku nocy.

- Co mogę dla pana zrobić, panie poruczniku?
- Dwóch naszych ludzi zatrzymało nieletnią dziewczynę, która spała w holu jednego z apartamentowców w Village. Mówi, że jej matka zmarła i że nie zna nikogo w Nowym Jorku.
- Evie Harper?
- Tak właśnie się przedstawiła. Powiedziała, że jest pana pacjentką.
- Tak, to prawda — skłamał Connor. — Jak ona się czuje?
- Była w stanie hipotermii, ale teraz czuje się lepiej. Teoretycznie powinienem najpierw skontaktować się z kimś z opieki społecznej, ale wolałem najpierw zadzwonić do pana.
- Już przyjeżdżam — rzekł Connor i odłożył słuchawkę. Poczuł gwałtowną ulgę i prawie euforię. Odnajdzie Evie! A jeśli rzeczywiście podczas tej nocy wigilijnej wszystko mogło się wydarzyć?
- Uważaj, Jeremy, uważaj!
- Connor gwałtownym ruchem odwrócił się i popatrzył na kanapę. Alyson najwidoczniej śniła jakiś koszmar, bo odpychała od siebie niewidocznego wroga.
- Connor ukląkł przy niej i delikatnie ją obudził.
- Muszę na chwilę wyjść — oznajmił.
- Ale pan wróci? — spytała młoda kobieta, powoli wracając do rzeczywistości.
- Wrócę, jak tylko będę mógł — zapewnił ją Connor, idąc do kuchni, żeby przygotować jej napar z ziół.
- Ten chłopiec, który wpadł pod pani samochód, nazywał się Jeremy?
- Tylko to o nim wiem — powiedziała Alyson. — To imię było wygrawerowane na jego łańcuszku.

- Na jego łańcuszku?
- Miał na rękę bransoletkę, w której pękł zamek. Znalazłam ją na podłodze w samochodzie.

Alyson zaczęła grzebać w torebce i na dowód tego, co mówiła, wyjęła z niej łańcuszek z płaskich ogniw, który położyła na niskim stoliku.

Connor wrócił do salonu i podał Alyson kubek z gorącą ziołową herbatką. Biorąc do ręki łańcuszek, musiał bardzo się pilnować, żeby nie pokazać po sobie zdenerwowania. Włożył palto, wymamrotał „do zobaczenia!” i wyszedł z mieszkania. Dopiero w windzie mógł dać wyraz swemu bólowi.

Ponieważ Connor wiedział, kim był Jeremy.

## **Komisariat 14. dystryktu**

— Proszę! — Connor oddał policjantowi formularz, który kazano mu wypełnić. Oświadczał w nim, że jako psychoterapeuta bierze odpowiedzialność za Evie Harper.

Podczas gdy policjant dokładnie studiował wypełniony formularz, Connor chodził w tę i z powrotem po holu komisariatu. W noc wigilijną panował tutaj bardzo duży ruch. Ze wszystkich stron nadchodzili policjanci, prowadząc włóczęgów, pijaków lub eskortując ofiary wypadków drogowych. Connor nienawidził tego miejsca, tak jak nienawidził wszystkiego, co w jakikolwiek sposób dotyczyło policji. Od kiedy zobaczył na Broadwayu *Nędzników*, zaczął o sobie myśleć jak o jakimś Jeanie Valjeanie żyjącym w strachu przed powrotem Javerta. Był głęboko przekonany, że zabójstwo dealerów prędej czy później zostanie odkryte, a on znajdzie się za kratkami.



— Zgoda! — odezwał się w końcu policjant, wkładając formularz do szuflady, po czym podszedł do telefonu, wymamrotał coś do słuchawki i spojrzął na Connora. — Zaraz przyprowadzimy tę panienkę — oznajmił z delikatnością burdelmamy.

— Dziękuję, doprawdy, co za uprzejmość! — rzekł Connor z sarkazmem.

Musiał jednak zaczekać jeszcze dziesięć minut, zanim Evie została wypuszczona.

— Cześć! — powiedział na jej widok.

— Cześć! — odpowiedziała, podchodząc do niego.

Była brudna, słaśniała się na nogach z wyczerpania. Zimno, brak snu i cela w komisariacie bardzo ją wymęczyły.

— Idziemy? — spytał Connor, chwytając jej plecak.

\*

Jechali cichym, komfortowym astonem martinem, podczas gdy białe od śniegu, stalowe w kolorze miasto migało przed ich oczyma. Wycieraczki samochodu natychmiast zmywały płatki śniegu z przedniej szyby.

— Bardzo panu dziękuję, że pan po mnie przyszedł — odezwała się Evie zmęczonym głosem. — Przykro mi tylko, że obudziłam pana w środku nocy.

— Dobrze zrobiłaś, niepokoiłem się o ciebie — odrzekł Connor.

Mimo że ulice były puste, padający śnieg skłaniał do ostrożności. Connor zwolnił i na skrzyżowaniu z Houston Street skręcił na południe.

— Ja zresztą nie potrzebuję dużo snu — dodał.

— Wiem — powiedziała Evie.

Jechali teraz Lafayette Street i kiedy mijali Nolite i Little Italy, Connor zmarszczył brwi.

- Skąd wiesz? — spytał.
- Bo tak jest napisane w tej książce.
- W jakiej książce?
- W książce, którą pan napisał — powiedziała, wyciągając z plecaka stary egzemplarz *Przeżyć*.

*Zbity* z tropu Connor potrząsnął głową i po raz pierwszy zauważył na twarzy dziewczyny figlarny wyraz. Nie był to prawdziwy uśmiech, raczej średnio udana próba uśmiechu.

Evie wychyliła się przez okno samochodu. Dzień jeszcze nie wstał, ale czuć było, że noc minęła.

Samochód wjechał w wąskie ulice dolnego Manhattanu. Z jednej i z drugiej strony mijali imponujące mury drapaczy chmur. Zagłębiali się w wąwóz ze szkła i stali, jadąc w kierunku Church Street aż do terenu Ground Zero.

- Dokąd jedziemy?
- Do kliniki Mozarta. Poza moim prywatnym gabinetem pracuję jeszcze tam.

— Nie chcę iść do żadnego szpitala — uprzedziła Evie.

Wystarczyła chwila, żeby znów stała się podejrzliwa. Wciąż bała się, że coś przeszkodzi jej w dokonaniu zamierzonej zemsty, którą traktowała jak ostateczne rozwiązanie wszystkich swoich problemów.

— Zdecydowanie powinnaś odpocząć, wyleczyć się — oświadczył Connor tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Ale Evie nie chciała go słuchać.

— Niech mnie pan wypuści! — krzyknęła, naciskając klamkę drzwiczek samochodu.

— Powiniennem zostawić cię w komisariacie — westchnął Connor, nie zatrzymując się.

Tymczasem Evie otworzyła nagle drzwi jadącego szybko samochodu i odpięła pasy. Connor się zatrzymał. Byli

przy Trinity Church. Czara cierpliwości Connora się wyczerpała, wyskoczył na ulicę, obszedł samochód dokoła i złapał dziewczynę za kołnierz.

— Chcesz się zabić?! — krzyknął, wyciągając ją z samochodu.

Zaskoczona jego wybuchem Evie zamknęła oczy i odwróciła głowę, jakby bała się, że Connor ją uderzy.

— Popatrz na siebie, do cholery! — krzyczał Connor. — Jak ty wyglądasz! Jesteś wycieńczona, wyglądasz jak stara kobieta!

Evie popatrzyła na swoje odbicie w szybie samochodu i prędko spuściła oczy, nie chciała siebie oglądać.

— Jeśli chcesz zdechnąć, rób tak dalej! — krzyczał Connor. — Nie znasz Nowego Jorku. Jeśli cię tu zostawię, nie przeżyjesz tygodnia! Umrzesz albo zostaniesz dziwka za piętnaście dolarów. Tak chcesz skończyć?

Wściekły Connor uderzył pięścią w maskę samochodu, a Evie, oszołomiona, nie umiała pohamować ciepłych łez, które zaczęły płynąć po jej policzkach.

Wszystko zostało już powiedziane. Connor i Evie stali na chodniku, „w cieniu nieistniejących wież”, i patrzyli na siebie. Wstawał lodowaty świt. Oboje byli wyczerpani.

Connor wolnym krokiem wrócił na miejsce kierowcy i przekręcił kluczyk w stacyjce. Evie stała dalej nieruchomo. Wyglądała jak duch.

— Nie przeżyjesz tygodnia... — powtórzył Connor, jakby do siebie.

\*

Aston martin wyjechał z labiryntu ciemnych uliczek Wall Street i znalazł się nad brzegiem Hudson River. Connor wrzucił niższy bieg i wjechał w Battery Park City. Był to luksusowy kompleks budynków, zbudowany nad oceanem, rozciągający się na nasypach z ziemi wykopanej podczas budowy World Trade Center.

Użył karty magnetycznej i wjechał na najniższy poziom parkingu. Wysiadł i ruszył do przodu, nie oglądając się na Evie, która szła kilka metrów za nim. W milczeniu doszli do wind i wjechali prosto do holu kliniki. Był to bardzo nowoczesny kompleks zajmujący dwa piętra Financial Center.

W wejściu Connor zamienił parę słów z lekarzem dyżurnym i sam wypełnił kartę pacjenta dla Evie, podczas gdy pielęgniarka zaprowadziła ją do jej pokoju.

## **Dwadzieścia minut później**

Connor popchnął delikatnie drzwi pokoju Evie. Mimo że światło było zgaszone, z okien padał bladoniebieski blask i oświetlał wnętrze. Evie w szpitalnej piżamie leżała na łóżku podłączona do kroplówki. Patrzyła obojętnie w dal.

— Jak się czujesz? — spytał psycholog.

Odpowiedziała mu cisza.

Starając się nawiązać stracony kontakt z Evie, Connor zaczął powoli mówić jej wszystko, co mu leżało na sercu.

— Wyobrażam sobie, że do tej pory nikt ci specjalnie nie pomógł ani nie starał się ciebie zrozumieć. Aby poczuć się bezpiecznie, zbudowałaś wokół siebie fortecę z nieufności i odpychającego zachowania.

Evie milczała, ale Connor słyszał jej oddech.

— Masz rację, tak trzeba, żeby przeżyć trudne warunki. Bardzo długo tak postępowałem. Nie ufałem nikomu.

Czując na sobie spojrzenie Connora, dziewczyna zamknęła oczy.

— Ale samotność i odsunięcie się od innych nie rozwiążą twoich problemów.

Connor podszedł do okna. Nie przestając mówić, patrzył na marinę North Cove, luksusową przystań dla pięćdziesięciu jachtów, których światła błyszczały w szarym świetle.

— Jako psycholog staram się ludziom nic specjalnie nie obiecywać. — Teraz w jego głosie zabrzmiała rzetelność. — Nie ma żadnej pewności, jeśli wchodzi się na teren tak silnych emocji i lęków. Nie mogę nigdy zagwarantować pacjentowi, że po mojej ingerencji będzie się lepiej czuł.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich pielęgniarka.

— Telefon do pana, doktorze McCoy — oznajmiła. — Zdaje się, że bardzo pilny.

Connor odwrócił się od okna i popatrzył na Evie. Miała wciąż zamknięte oczy. Oddychała regularnie i wydawało się, że śpi. Mimo to Connor ciągnął:

— Jedno, co mogę ci na pewno obiecać, to to, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Ale jeśli chcesz, żeby mi się powiodło, musisz mi zaufać...

Nachylił się nad łóżkiem i wyszeptał na pożegnanie:

— Bez twojego zaufania nie dam rady.

Lekarz chwycił za słuchawkę, którą wyciągnęła do niego recepcjonistka.

— Tu Nicole — usłyszał znajomy głos.

— Miałem właśnie do ciebie dzwonić — zaczął Connor.

Ale ona nie chciała go nawet wysłuchać do końca.

— Musisz mi pomóc, chodzi o Marka — oznajmiła.

— Wrócił?

— Tak, ale... — głos Nicole się załamał. — On mieszkał dosłownie na ulicy, rozumiesz? Przez cały ten czas żył wśród bezdomnych. Trzeba coś zrobić, on jest w bardzo złym stanie. Jest wyczerpany, z trudem oddycha.

— Uspokój się i opowiedz mi wszystko — poprosił Connor.

Szlochając, Nicole opowiedziała mu wówczas, jak Mark, ratując ją z poważnej opresji, zdecydował się spędzić noc u niej w domu. Mimo że był ranny, chciał odejść już o świcie, razem ze swoim labradorem. Nicole bezsilnie patrzyła, jak znikął na lodowatej ulicy, załamana, że po raz drugi traci mężczyznę, którego kochała. Stała tak na chodniku bardzo długo, aż zauważyła biegnącego w jej kierunku szczekającego labradora. Pobiegła za nim. Zaprowadził ją dwie ulice dalej.

Mark niedaleko odszedł. Leżał na śniegu, ramiona miał szeroko rozłożone. Był nieprzytomny i nie reagował na skomlenia psa.

— Jeśli mu nie pomożemy, umrze — zakończyła Nicole.

— Zostań przy nim — powiedział Connor. — Wysyłam karetkę.

Kończy się noc wigilijna.

Mimo zimna Connor wyszedł przed klinikę, czekając na powracającą karetkę. Z tyłu za sobą miał wieżowce Financial Center ze szkła i granitu. Aby się rozgrzać, zrobił kilka kroków wzdłuż promenady nad brzegiem rzeki.

Alyson, Evie i Mark przeżyli bardzo dziwną noc. Losy wszystkich trojga skrzyżowały się z jego losem. Stali nad brzegiem przepaści, ale byli jeszcze żywi. Connor poczuł się za nich odpowiedzialny. Czy będzie zdolny im pomóc? Jak to uczynić? Zamyślony, zapalił papierosa. Wzrok jego pobiegł za łodziami policyjnymi patrolującymi port. Silny wiatr przeganiał chmury na zachód. Zapowiadał się piękny dzień. Connor podniósł głowę. Bardzo wysoko, między chmurami, zauważył samolot zostawiający za sobą długą białą linię.

Wówczas przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

# 30

## Otwórz oczy

*Łatwo jest żyć, kiedy się ma zamknięte  
oczy...*

John Lennon

*Zawsze zostanie strach. Człowiek może  
w sobie zniszczyć wszystko: miłość, wiarę,  
nienawiść, nawet zwątpienie. Ale tak długo,  
jak będzie żył, nie będzie umiał zniszczyć  
strachu.*

Joseph Conrad

**Dzisiaj**

**Na pokładzie samolotu**

**18:30**

Samolot schodził ku chmurom, rzucając na nie ogromny cień.

Mark usiadł na swoim miejscu, obok Layli i Evie, która wydawała się drzemać.

— Zapiętaś pasy? — spytał Laylę.

Dziewczynka kiwnęła głową.



— Już dolatujemy. — Mark poklepał ją delikatnie po policzku. — Jesteś zadowolona, że niedługo będziesz w domu?

Layla popatrzyła na niego czule, ale nie odpowiedziała.

Mark nie naciskał. Wyrzał przez okno samolotu. Grube, puchate chmury, w których leciał teraz samolot, wyglądały jak wilgotny i ciemny całun. Airbus walczył z nimi niczym owad schwyty w niebiańską pajęczą sieć.

W końcu ciszę przerwał głos Layli, która wypowiedziała sybilińskie zdanie:

— Wiesz, widziałam cię, kiedy byłeś w ciemnościach...

— W ciemnościach?

— W tunelu — sprecyzowała, patrząc smutno na ojca. — W tunelu metra...

Tunel, ciemności, metro...

Trzeba było Markowi dłuższej chwili, żeby zorientował się, iż Layli chodzi o okres, w którym tułał się w podziemiach Manhattanu. Dwa lata piekła w strasznym świecie bezdomnych. Dwa lata przeżyte we wnętrzu miasta, na włóczędździe po korytarzach metra i tunelach kolejowych. Dwa lata, kiedy wegetował żywcem pogrzebany, w towarzystwie kloszardów i narkomanów. Dwa lata, kiedy topił beznadziejność swego życia w alkoholu...

Nagle ogarnęła go panika. Skąd Layla o tym wiedziała? Kto powiedział jej, że przeżywał piekło? Nicole? Ten, który ją porwał?

— Jestem taka smutna, kiedy widzę cię w korytarzach metra, tato! Obiecuj mi, że tam nie wrócisz!

— Ale skąd ty w ogóle o tym wiesz? — wymamrotał Mark oszołomiony.

— Widziałam cię — powtórzyła Layla.

— Widziałas mnie? A gdzie ty byłaś?

- Tam, w górze — Layla wskazała palcem w kierunku sufitu.

Mark zdezorientowany popatrzył w górę, nie wiedząc, o co córce chodzi.

- Nie wolno ci pić — rzekła Layla. — Nie wolno ci też odejść z domu. Wróć do mamy.

Zdenerwowany Mark starał się usprawiedliwić.

- Opuściłem dom, bo nie wiedziałem, co robić. Tak się o ciebie bałem... Bez ciebie moje życie nie miało sensu...

W kilka sekund wszystkie punkty odniesienia Marka znikły i znów znalazł się we mgle. Popatrzył na Laylę. Zwinięta w fotelu wydawała się bardzo drobna. Mark zdawał sobie sprawę, że nie rozumie czegoś bardzo ważnego. Umknął mu jakiś podstawowy element, który musiał pojawić się w podróży.

- Musisz mi coś wyjaśnić, kochanie — powiedział, nachylając się nad Laylą.

— Co?

- Dlaczego nie chcesz porozmawiać z mamą?

Dziewczynka namyślała się przez chwilę. Potem, czując być może, że to właściwy moment, powiedziała:

— Bo mama już to wie.

— Co już wie?

— Że ja nie żyję — powiedziała Layla.

W tej samej chwili na drugim piętrze Alyson wyrzała przez okno samolotu i zobaczyła, że chmury rzedną. Widać już było ocean.

Skupiona, ścisnęła w dłoni portfel, który Mark zostawił na stoliku w barze Floridita. Dlaczego tak ją kusiło, żeby

do niego zajrzeć? Było to zdecydowanie coś innego niż ciekawość. Była to wielka potrzeba, konieczność, jakby coś szeptało jej do ucha, że od tego zależy jej życie.

W etui z błyszczącej skóry nie było wiele. Dwie karty kredytowe, kilka dolarów, prawo jazdy, legitymacja lekarska i zdjęcie Marka z żoną. Alyson popatrzyła z podziwem na Nicole. Wydała jej się piękna i nobliwa. Rodzaj elegancji, o której ona marzyła, ale która nigdy nie będzie jej dana. Właśnie chciała zamknąć portfel, gdy zauważyła przyklejone z tyłu fotografii pary małżeńskiej jakieś inne zdjęcie. Było to zdjęcie małej dziewczynki, mniej więcej pięcioletniej, o zadartym nosku i figlarnym uśmiechu. W sportowym ubraniu, z krótkimi włosami i w baseballowym kaszkiecie wyglądała jak chłopiec. Na zdjęciu podpierała głowę rękami i dobrze było widać na lewym przegubie srebrny łańcuszek z wygrawerowanym imieniem „Jeremy”.

Mózg Alyson przeszył ból. Zrozumiała, że dziecko, które potrafiła samochodem, było córką Marka! Ponieważ wówczas wpadła w panikę, ponieważ łało i ponieważ dziewczynka miała na sobie kurtkę baseballową, wzięła ją za chłopca, które to wrażenie utwierdziło jeszcze imię na łańcuszku. Później miała się dowiedzieć, że ten łańcuszek Layla dostała od swojego kuzyna.

Przerażona Alyson zerwała się z fotela i mimo protestów stewardesy pobiegła w kierunku schodów prowadzących na główny pokład.

— Dlaczego mówisz, że nie żyjesz? — spytał córkę oszołomiony Mark.

— Ponieważ to prawda! — odrzekła zmartwiona dziewczynka.

— Ale to niemożliwe. Przecież tu jesteś.

Dziewczynka delikatnie wzruszyła ramionami, jakby chciała dać do zrozumienia, że to nie są proste sprawy.

— Od kiedy miałybyś nie żyć? — wyartykułował z trudnością.

— Od samego początku — stwierdziła Layla. — Od momentu, kiedy potrącił mnie ten samochód.

— Samochód?

— Ten jeep.

— Nikt cię nie porwał?

— Nie, to był wypadek. Wyszłam ze sklepu tak sobie i zgubiłam się z powodu burzy.

Mark był zupełnie zagubiony.

— Ale dlaczego wyszłaś z supermarketu? — spytał bez sensu. — Tysiąc razy powtarzaliśmy ci, żebyś się nie oddalała. Padało, to nie było bezpieczne...

— Dla dziecka spacer w deszczu to zabawa — odpowiedziała Layla rozbrajająco.

Mark czuł, że oczy go pieką. Dialog ten był surrealistyczny, ale czuł, że Layla mówi prawdę, nawet jeśli on nie był jeszcze na nią gotowy.

— Ja nie żyję, ale tobie nie wolno się smuć — powiedziała dziewczynka, biorąc go za rękę.

— Jak mogę nie być smutny? — spytał Mark płaczliwie.

— Czasem coś się dzieje, bo musi się wydarzyć — stwierdziła Layla sentencjonalnie.

Mark zrozumiał, że nie ma wiele czasu i że niezależnie od tego, co uczyni, wkrótce straci kontrolę nad sytuacją. Zamknął Laylę w swoich ramionach, jakby tym uściskiem mógł odebrać córkę śmierci.

— Czasem coś się dzieje po prostu dlatego, że nadeszła

na to właściwa pora — dodała Layla cichutko. Odgłos silników samolotu częściowo ją zagłuszał.

— Nie, nie! — wykrzyknął Mark u kresu sił.

Okrzyk jego zmieszał się z podniesionymi głosami dobiegającymi z tyłu samolotu. Psycholog odwrócił się i zobaczył Alyson biegnącą w jego kierunku. Zatrzymała się jakiś metr od niego.

— Dziecko... dziecko, które potraciłam... — zaczęła martwym tonem.

Wypuściła zdjęcie, które trzymała w dłoni, a które, wirując chwilę w powietrzu, upadło u stóp Marka.

— Myślałam, że to był chłopiec, ale to była pana córka — skończyła Alyson.

Oboje popatrzyli na fotel Layli, który był pusty.

Ale to nie wszystko. Znikły również stewardesy, sześćset pasażerów, wszystko! Wielki A380 był zupełnie pusty. W ważącym ponad pięćset ton samolocie lecącym pod niebem znajdowały się tylko trzy osoby: Mark, Alyson i Evie.

## Tak jak przedtem

*Jeśli weźmiesz niebieską pigułkę, obudzisz się we własnym łóżku i uwierzysz, w co zechcesz. Jeśli weźmiesz czerwoną, zostaniesz w Krainie Czarów i pokażę ci, dokąd prowadzi królicza nora.*

Dialog z filmu *Matrix*

### **Dzisiaj**

#### **Na pokładzie samolotu**

— Co...

Alyson chciała krzyknąć, ale głos zamarł jej w gardle.

Evie wytrzeszczyła oczy. Ogarnął ją nieopanowany strach.

To niemożliwe...

Przestraszony Mark patrzył osłupiały na setki nagle w tajemniczy sposób opuszczonych foteli. Na pokładzie samolotu nie było nikogo. W sekundę i pasażerowie, i cała ekipa znikli.

Zaczął iść między rzędami foteli, a za nim ruszyły obydwie młode kobiety. Wszystkie fotele były puste.

Nigdzie nie leżały ani żadne ubrania, ani torby, ani gazety czy książki. Alyson zaczęła otwierać pomieszczenia na bagaże znajdujące się nad siedzeniami. One również były puste.

— Layla! — jęknął Mark. — Layla!

Ale jego pełen rozpaczy jęk pozostał bez odpowiedzi.

Alyson i Evie popatrzyły na siebie, chcąc dodać sobie otuchy. To nie dzieje się naprawdę! — pomyślała Evie, żeby się nie bać. Ale koszmar wyglądał na rzeczywistość do tego stopnia, że nagły, nieopanowany strach kazał jej się rozpłakać.

— Piloci! — wykrzyknął Mark. — Co się stało z pilotami?!

Samolot bowiem wyglądał nadal tak, jakby spokojnie schodził do lądowania w Nowym Jorku. Czy ktoś siedział za sterami?

Cała trójka rzuciła się do schodów prowadzących na górny pokład. Klasy pierwsza i biznesowa były równie puste jak reszta samolotu. Mark pierwszy wszedł do przedziału służbowego, wygodnego pomieszczenia prowadzącego do kabiny pilotów, umieszczonego pomiędzy dwoma poziomami. Drzwi do kokpitu nie były zamknięte na klucz, toteż Mark, choć przestraszony, pchnął je.

Zobaczył osiem ekranów kontrolnych umieszczonych wokół podobnych do wielkich dżojstików. Ale miejsca obydwu pilotów były puste.

Za Markiem do kabiny weszły Alyson i Evie. Wszyscy troje, przerażeni, podeszli do okna. Samolot leciał nisko. Wyszedł już spomiędzy chmur i zbliżał się nad Manhattan. Wstawał świt i mimo okropnej sytuacji, ostatni pasażerowie lotu 714 byli zafascynowani rozgrywającym się przed ich oczyma spektaklem. Na niebie igrał złoty blask,

tworząc miedzianozłote tło dla najszlachetniejszych drapaczy chmur na świecie.

Ale najdziwniejsze było to, że na Manhattanie nadal strzelały w górę obydwie wieże World Trade Center, które wydawały się wbijać w niebo.

Jak przedtem...

Zanim Mark stracił córkę.

Zanim Alyson przejechała Laylę.

Zanim Evie straciła matkę.

Niesamowita podróż w czasie, odnalezienie dawnego Nowego Jorku.

Prowadzony niewidzialną siłą samolot zwolnił. Z lekkością szybowca przeleciał ponad bliźniaczymi wieżami. Jego biały korpus odbił się jak w lustrze w srebrnym szkłe wysokich budynków.

Mark, Alyson i Evie zbliżyli się i dotknęli ramionami. Bali się. Nie chcieli być sami w niebezpieczeństwie.

Co się działo? Mózg każdego z nich starał się znaleźć rozsądne wyjaśnienie zaistniałej sytuacji. Czy to był sen? Może wyobraźnia spłatała im figła, może za dużo wypili, może zażyli kokainę? Nie. Ta dziwna podróż zaprowadziła ich ku ich najbardziej osobistym lękom. Stanęli twarzą w twarz z tym, z czym nie mogli się uporać, w wyobraźni przeżywali decydujące momenty swego życia, wszyscy troje próbowali spojrzeć na swe cierpienia z dystansu i uporządkować życie, jakby w oczekiwaniu na... śmierć.

Na śmierć...

Czy to był prawdziwy cel owej podróży? Czy ta podróż samolotem miała być podróżą oczyszczającą? Przebyciem długiego świetlnego tunelu, jakim szli ci, którzy przeżyli moment śmierci?

Czemu nie?



Znalazłszy się nad East River, samolot skierował się na południe. Obecnie leciał bardzo nisko, zaledwie kilkadziesiąt metrów nad ziemią i wodą. Miasto wydawało się wyludnione, nieruchome. Przelecieli nad Battery Park, nad Zatoką Nowojorską, nad Ellis Island, wreszcie nad Statuą Wolności.

\*

Kilka sekund przed tym, zanim samolot spadł, Alyson złapała Marka za ramię i wyszeptała:

— Tak mi przykro.

Mark potrząsnął głową. W jego zamglonym wzroku współczucie wzięło górę nad nienawiścią.

W ostatnim geście zwrócił się ku Evie. Ponieważ w jej oczach ujrzał panikę, wziął ją za rękę i powiedział:

— Nie bój się.

\*

Samolot gwałtownie zwałił się w wodę.

Rozległ się krzyk.

Potem wszystko stało się niebieskie.

Potem czarne.

A potem?

A potem...

# 32

## Prawda

*Aby znaleźć szczęście, trzeba otrzeć się o nieszczęście.*

*Jeśli państwo chcą być szczęśliwi, nie należy za wszelką cenę bać się nieszczęścia, tylko zastanowić się, jak i dzięki komu będzie można je przewyciężyć.*

**Borys Cyrulnik**

**Dzisiaj**  
**Klinika Mozarta**  
**19:00**

Trzy ciała.

Mark, Alyson, Evie.

Trzy ciała leżące obok siebie w szpitalnej sali.

Trzy ciała umieszczone każde w dźwiękoszczelnej kabynie w kształcie kokonu.

Trzy głowy ubrane w kaski z elektrodami połączonymi z komputerem.

Za specjalną konsolą stoją Connor i Nicole. Z niepokojem czekają na moment, gdy wszyscy troje wybudzą się

z hipnotycznego snu, w którym znajdują się od wielu godzin.

Nigdy nie było żadnego samolotu.

Lot 714 nie istniał.

Nigdy nie było żadnej katastrofy samolotowej.

Spotkanie Marka, Alyson i Evie na pokładzie samolotu było częścią scenariusza terapii grupowej na bazie hipnozy, jakby sztuki teatralnej wymyślonej w celach terapeutycznych przez Connora, aby wyleczyć trzy osoby, które pamiętnej nocy wigilijnej zjawiły się u niego z prośbą o pomoc.

Ani on, ani Nicole nie uważali za stosowne powiadomić Marka o tym, że Layla nie żyje. Był tak słaby, fizycznie i umysłowo, że ta wiadomość prawdopodobnie mogłaby go pchnąć do samobójstwa albo by zwariował. Żeby powiedzieć mu o tym, Connor wpadł na pomysł scenariusza, który miał w ten sam sposób zniechęcić Evie do planowanej zemsty, a Alyson zmusić do przyznania się przed samą sobą, że zabiła Laylę.

Nicole spojrzała z niepokojem na męża. Kilka minut wcześniej wyglądał, jakby spokojnie spał, a teraz całe jego ciało drżało nerwowo, co zapowiadało rychłe ocknięcie się ze stanu hipnozy. W tym samym momencie Evie poruszyła głową, a Alyson wyciągnęła do przodu ręce.

Rozumiejąc, że zbliża się koniec seansu, Connor spojrział na ustawione przed sobą ekrany komputerów. Szpital był wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia z dziedziny magnetycznego rezonansu jądrowego (MRI), co pozwalało neurologowi na bieżąco monitorować zmiany aktywności mózgu pacjenta. Connor przez cały czas trwania badania wpatrzony był w ekrany. W okresie hipnotycznego transu aktywność mózgu jest z reguły bardzo inten-

sywna. Przystają działać mechanizmy samokontroli organizmu, co sprzyja powstawaniu nowych obrazów w wyobraźni, czyniąc pacjenta bardziej podatnym na uleganie różnym emocjom.

Patrząc na ekrany, Connor zauważył zwiększenie aktywności płatów czołowych mózgow pacjentów, tam gdzie znajdował się ośrodek kontroli wykonywania poleceń, co znaczyło, że pacjenci odzyskiwali kontrolę nad swoimi ciałami. Stopniowo wybudzali się z hipnozy.

— Proszę natychmiast przyjść — polecił Connor przez interkom dwóm pielęgniarkom. Miały one pomóc pacjentom obudzić się i zdjąć im kroplówki, z których sączył się od wielu godzin do ich organizmów roztwór na bazie dimetylotryptaminy, bardzo silnego psychotropowego środka halucynogennego.

Najpierw obudził się Mark. Zdjął kask. Spróbował wstać, ale zachwiał się i musiał usiąść z powrotem. Przez głowę przepłynęło mu tysiące myśli, każda wzbudzała inne uczucie i jedna poganiała drugą: emocje wynikające z odnalezienia córki, niewypowiedziana radość wynikająca ze świadomości, że córka żyje, strach przy wchodzeniu na pokład samolotu, halucynacje, obawa, że nie uda mu się zwalczyć ochoty na alkohol, dziwne spotkanie z Alyson i jej tak bardzo poruszające zwierzenia.

— Jak się czujesz? — spytał go Connor.

Mark chciał odpowiedzieć, ale był jeszcze oszołomiony. Dotknął dłonią czaszki. W głowie miał nadal pełno różnych obrazów, wszystkie wywoływały ból: jakieś fragmenty dzieciństwa spędzonego z Connorem, zauroczenie Nicole, uśmiechnięta twarzyczka Layli na widok ogromnej porcji lodów, potem smutek w jej oczach, gdy powiedziała mu, że w istocie dawno zmarła...

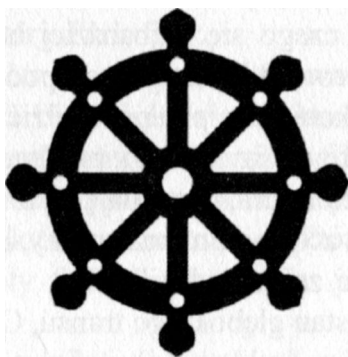
Connor podszedł do przyjaciela i położył mu dłoń na ramieniu.

— Wszystko będzie dobrze, mój drogi, rozluźnij się...

Alyson starała się wstać podtrzymywana przez Nicole i pielęgniarkę. Zdjęła kask i położyła dłonie na kolanach, żeby nie upaść. Kręciło jej się w głowie i oddychała z trudnością. Ciężko przeszła trans hipnotyczny i potrzebowała dużo czasu, żeby po wszystkim wrócić do siebie.

Teraz z kolei Evie wyprostowała ręce i nogi, starając się rozluźnić mięśnie szyi. Gdy zdejmowano jej kroplówkę, nagle poczuła ogromny ciężar, który ją niemal przyniół, po czym nastąpił stan kataleptyczny. Zaczęła mrużyć oczami, z trudem rozróżniała sylwetki ludzi koło niej. W pierwszym odruchu popatrzyła na własną rękę, na tatuaż, który podobnie jak tatuaż Alyson znikł.

Connor znów podszedł do swoich ekranów, aby stopniowo zwiększyć oświetlenie pomieszczenia, które do tej chwili tonęło w półmroku. Na kieszeni fartucha wyhaftowany miał symbol kliniki:



*Klinika Mozarta*

Czy Connorowi udało się doświadczenie? Było jeszcze zbyt wcześnie na odpowiedź. Posunął się najdalej jak mógł, użył całej swojej wiedzy, bazował na wnioskach z doświadczeń wykonywanych przez całe życie.

Od dawna był zafascynowany hipnozą. Od lat używał tej techniki, aby leczyć ludzi z zależności od nikotyny i alkoholu, z depresji, z migren, bezsenności, z bulimii i anoreksji. Hipnoza pozwalała pozbyć się wewnętrznych blokad i obejść odruchowy proces samoobrony organizmu. A przede wszystkim podczas snu hipnotycznego i lekarz, i pacjent mieli dojście do sejfu podświadomości, w którym przechowywane były tysiące danych budujących życie każdego człowieka. Podczas hipnozy pacjent docierał do zapomnianych wydarzeń z własnego życia i mógł zrealizować marzenia prawie tak, jakby to była rzeczywistość.

Chcąc wyleczyć Marka, Alyson i Evie, Connor wymyślił scenariusz w rodzaju sztuki teatralnej. Przy „wyłączonym” ciele, a mózgu nakierowanym na rzeczywistość istniejącą tylko w wyobraźni musieli stanąć twarzą w twarz z tym, czego się najbardziej bali. Przez wiele godzin Connor prowadził ich, powoli podsuwając pomysły, które miały skutecznie przeprowadzić ich przez drogę żałoby, zaakceptowania straty i przebaczenia. Hipnoza grała tu rolę akceleratora, pozwalając ich mózgom w kilka godzin zrealizować program przemiany, który w klasycznej psychoterapii zajmował kilka lat.

Aby pogłębić stan głębokiego transu, Connor wymyślił rodzaj kasku, który poddawał skroniowy rejon kory mózgowej intensywnemu działaniu pola magnetycznego zaburzającego świadomość pacjenta. W połączeniu z dime-tylotryptaminą kask ten powodował, że pacjenci mieli

silne halucynacje oraz przypominali sobie wszystkie traumatyczne wydarzenia, również z okresu dzieciństwa.

Mark, Alyson i Evie, wybudzeni z hipnozy, obserwowali się wzajemnie niepewnym wzrokiem. Od świąt Bożego Narodzenia Connor przeprowadzał z nimi indywidualne rozmowy i pilnował, aby nigdy się ze sobą nie zetknęli. Teraz zobaczyli się po raz pierwszy i nawet jeśli nie ośmielali się nawiązać rozmowy, w głębi duszy wiedzieli, że są nieodwołalnie związani ze sobą. Fizycznie nie czuli się jeszcze zbyt pewnie, byli zmęczeni, osowiali, jakby przez wiele godzin biegli bez chwili odpoczynku. Największym jednak zmianom podlegały ich umysły. Mózgi pacjentów, jak twardy dysk w komputerze, zostały rozłożone na części, wyczyszczone z wirusów i zarażonych plików i zaprogramowane na nowo. Czy jednak byli w stanie pozbyć się melancholii i poczucia winy, które tak długo ich dręczyły?

Po wyjściu z kliniki znaleźli się wszyscy razem na esplanadzie Bartery Park City.

Wiał silny wiatr. Po promenadzie wzdłuż rzeki przechadzali się lub biegali ludzie, pełno było ulicznych sprzedawców i amatorów łyżworolek. Słońce już zachodziło, ale niebo wciąż jeszcze świeciło tym elektrycznym blaskiem, dzięki któremu trawniki, na których dzieci grały w piłkę i rzucały frisbee, błyszcząły piękną wiosenną zielenią.

Connor szedł z tyłu i obserwował swoich pacjentów. Zastanawiał się, co przyniesie im najbliższa przyszłość. Konsekwencje tego typu terapii były trudne do przewidzenia. Po wyjściu ze snu hipnotycznego pacjent zawsze

czuł się uwolniony z fobii, lekki na duszy, ale efektów na dłuższą metę nie znano. Niektórzy pacjenci Connora myśleli, że wyzdrowieli, a jednak po pewnym czasie popełniali samobójstwo. Inni przeciwnie, mimo że zaliczeni przez niektórych jego kolegów po fachu do przypadków beznadziejnych, wiodli obecnie życie zdrowe i szczęśliwe.

Czy taki będzie los Alyson? Młoda kobieta właśnie wsiadała do taksówki. Connor zobaczył przez szybę, jak podawała kierowcy adres i przez chwilę z nim dyskutowała. W końcu taksówka ruszyła. Alyson i Connor wymienili krótkie, lecz intensywne spojrzenia, zanim samochód zniknął za rogiem. Connor zapamiętał Alyson przykładającą w pożegnalnym geście dłoń do szyby samochodu.

Nicole również oderwała się od grupy i skierowała do swego samochodu. Mark i Connor stali przez chwilę obok siebie w milczeniu. Patrzyli w dal.

— Żebyś wiedział, jakie to wszystko było prawdziwe... — odezwał się Mark po chwili.

Connor popatrzył na niego ze zrozumieniem.

— Layla była tak prawdziwa, taka... żywa — ciągnął Mark.

— To był jedyny sposób, w jaki mogłem ci pomóc — wyjaśnił Connor. — Kiedy wróciłeś wtedy w Wigilię, nie byłeś w stanie przyjąć wiadomości o śmierci Layli. To by ciebie zabiło.

— To prawda — zgodził się Mark.

Popatrzył w dal, w kierunku Statuy Wolności i Ellis Island.

— Dziękuję ci, że dałeś mi możliwość porozmawiania z nią ostatni raz — powiedział w końcu. — To było dla mnie naprawdę ważne.



Connor popatrzył na przyjaciela, po jego twarzy, kapiąc na sweter i na ziemię, spływały ciche łzy. Objęli się serdecznie.

— Ona wyglądała naprawdę na szczęśliwą tam... w zaświatach — rzekł Mark.

W zaświatach...

Sformułowanie to zabrzmiało jakoś dziwnie. W milczeniu zaczęli obaj zastanawiać się nad jego sensem. Czy był to rezultat hipnozy, czy też „zaświaty” istniały naprawdę?

Samochód Nicole zatrzymał się obok nich. Zamrugali oczami. Nicole spuściła szybę i niby obojętnie spytała męża:

— Dokąd chcesz jechać?

Ale Mark nie zawahał się ani chwili, gdy siadając obok niej, odrzekł:

— Do naszego domu.

Słońce prawie już zaszło. Jeszcze dziesięć minut i różowy kolor odbijający się na wieżowcach Battery Park zabarwi się brązem i szarością. Connor podszedł do parkanu zimowego ogrodu nad wodą, gdzie tymczasem dotarła Evie. Mimo że miejsce było zniszczone wskutek zamachu z jedenastego września, po samej katastrofie nie było żadnego śladu. A przecież teren Ground Zero znajdował się tuż-tuż i trudno było nie myśleć o tych wszystkich zabitych, o wietrze i w końcu — o życiu...

Evie siedziała po turecku na jednej z ławek nad wodą. Patrzyła pustym wzrokiem w kierunku eleganckich jachtów stojących w marinie North Cove.

— Jak się czujesz? — spytał Connor, opierając się o parkan.

— Dobrze — odrzekła Evie obojętnie.

Patrząc badawczo na młodą dziewczynę, Connor zapalił papierosa i zaciągnął się nerwowo. Tak bardzo chciał, żeby jego terapia odwiodła Evie od planowanego morderstwa.

— To pana zabije — rzekła po chwili Evie.

— Co?

— Papierosy.

Connor wzruszył ramionami.

— Tyle rzeczy zabija...

— Nie boi się pan śmierci?

Connor zamyślił się na chwilę. W milczeniu zaciągnął się papierosem i wydmuchał wstążeczkę dymu.

— Bardziej boję się życia — przyznał szczerze ku swemu zdumieniu.

Wrzucił niedopałek do rzeki i nie wziął drugiego papierosa.

W ostatnich tygodniach niewiele spał. Każdej nocy z uporem perfekcjonisty pracował bez odpoczynku nad wszystkimi etapami tej grupowej terapii. Teraz, niespodzianie, wyszło z niego całe zmęczenie. Czuł się oszołomiony i fizycznie wyczerpany. Tymczasem jego zadanie nie było jeszcze całkiem skończone. Musiał się upewnić, że Evie zarzuci swój projekt. Widział tylko jedną metodę. Metoda była okrutna, niezwykła, tego na pewno nie uczono na studiach. Ale przecież on nie był zwykłym psychologiem. Na niczym mu nie zależało, ani na osiągnięciach, które były jego udziałem, ani na pieniądzach, ani na luksusowym samochodzie, ani na mieszkaniu za dwa miliony dolarów. To wszystko było niczym, wiedział o tym. Nigdy nie należał do ścisłego kółka nowojorskich psychologów. To nie był jego świat. Jego świat to były

nędne dzielnice Chicago, świat trudnego dzieciństwa, przemocy i strachu.

Przemógłszy ostatnie wahanie, usiadł obok Evie na ławce i wyciągnął z kieszeni płaszcza pistolet z posrebrzaną lufą.

To była broń, którą dwadzieścia lat wcześniej wyniósł z kryjówki dealerów. Stanowiła niepodważalny dowód jego zbrodni, a jednak nie pozbył się go, jakby jakiś szósty zmysł podpowiedział mu, że kiedyś ten pistolet się przyda.

Evie nie zareagowała na widok broni. Jak Connor, wychowała się na ulicy. Świat przemocy, ciosów dawanych bez uprzedzenia, świat, gdzie zło przychodziło częściej niż dobro, był jej światem.

- Znalazłem go — rzekł Connor.
- Kogo? — spytała Evie, patrząc na niego.
- Craiga Davisa, mordercę twojej mamy.

Twarz Connora oddzielało teraz od twarzy Evie zaledwie kilka centymetrów. Connor zobaczył, jak Evie zadrdzała i oczy jej nagle błysnęły.

— On mieszka w małym budynku tuż za katedrą Świętego Jana Bożego. Od tygodnia chodzę tam co wieczór. Znam numer jego mieszkania, kod przy wejściu, wiem, kiedy ma dyżur w szpitalu i gdzie robi zakupy.

Evie wiedziała intuicyjnie, że Connor mówi prawdę. Nie miała jednak pojęcia, co jej chciał zaproponować.

— Jeśli mnie o to poprosisz, pójdę i go zabiję — oznajmił.

Kompletnie zaskoczona Evie milczała.

— Jeśli naprawdę chcesz się zemścić, może to nastąpić

dzisiaj wieczór. Powiedz tylko słowo i za godzinę Craiga Davisa nie będzie wśród żywych.

Connor mówił poważnie. Zamurowało ją.

— Decyzja należy do ciebie!

Connor wstał i odszedł. Wiedział, że los jego zależy teraz od nieletniej dziewczyny.

Evie dogoniła go po niecałej minucie. Stanęła obok niego przy parkanie, delikatnym gestem wyjęła mu pistolet z dłoni. Pistolet był ostatnim świadkiem dramatycznych przeżyć Connora, które zaważyły na całym jego życiu.

Przyjrzała mu się przez chwilę z mieszaniną obrzydzenia i fascynacji, po czym zamachnęła się i wrzuciła go jak najdalej mogła w zimny nurt rzeki Hudson.

\*

Słońce zupełnie zaszło. Molo leżące naprzeciw rzędu drapaczy chmur było teraz prawie zupełnie puste. Connor i Evie długo stali nieruchomo. Milczeli, byli razem, lecz oddzielnie. Potem nagle zerwał się wiatr i Evie zadrżała.

Kiedy szli z powrotem w kierunku kliniki, Connor zarzucił swój płaszcz na ramiona dziewczyny.

Wymienili spokojne spojrzenie i Connor zrozumiał, że ją uratował.

I że ona go również uratowała.

## Epilog nr 1

# Potem... Mark i Alyson

Mark nigdy już nie wrócił do pracy w gabinecie Connora.

Dwa miesiące po terapii zatrudnił się jako „psycholog dla ludzi ulicy” w stowarzyszeniu pomocy dla bezdomnych. W dzień chodził po mieście, kontrolując stan około stu bezdomnych, których starał się wyleczyć z alkoholizmu i spowodować, aby powrócili do normalnego życia. Zaangażował się w tę nową walkę bez reszty i nawet zaczął odnosić sukcesy. Jego własna podróż w trudną przeszłość zmieniła go kompletnie: młody, ambitny psycholog zmienił się w mężczyznę bardziej wrażliwego, bardziej ludzkiego.

Często zdarzało mu się widzieć Laylę, jak znika za rogiem czy siedzi na jakimś ganku albo na huśtawce

w parku. Miała poważną i spokojną twarzyczkę, taką jak w samolocie. Nie odzywała się, ale zawsze dyskretnie machała do niego dłonią, na co on równie dyskretnie odpowiadał. Czuł się dobrze, wiedząc, że ona jest obok niego, że czuwa nad nim jak Anioł Stróż z jego dzieciństwa. Nie mówił o tym ani Connorowi, ani Nicole, ponieważ wiedział, że to wszystko dzieje się tylko w jego wyobraźni. Ale nie to było ważne. Ważne było, że wreszcie odzyskał równowagę i mógł znów normalnie żyć.

Tylko to się liczyło.

Któregoś wrześniowego poranka, włączając radio, Mark usłyszał wiadomość o śmierci Alyson Harrison. Helikopter, którym leciała, spadł gdzieś w Amazonii. Alyson kierowała jedną z fundacji założonych przez ojca i ostatnio bardzo się zaangażowała w kampanię przeciw wycinaniu drzew w Puszczy Amazońskiej.

Trzeba było wielu tygodni, żeby znaleźć wrak helikoptera, nigdy jednak nie odnaleziono ani ciała pilota, ani ciała Alyson.

W listopadzie Mark dostał kartkę pocztową z Lhasy. Na pocztówce było zdjęcie wyrzeźbionego koła dharmy stojącego przed jakimś tybetańskim klasztorem.

Kartka nie została podpisana, ale Mark od razu zrozumiał, że napisała ją Alyson.

Oto treść kartki:

*Myszę o Panu bardzo często.*

*Chyba miał Pan rację: można zacząć życie od nowa, a nie tylko zadowolić się pchaniem wózka ze starym towarem. Ta nadzieja jest w każdym razie obecnie motorem mojego działania.*

*Chciałam tylko, żeby Pan coś ode mnie dostał. Te notatki znalazłam w jednym z dzienników mego ojca. Wierzę, że chciał je Panu kiedyś przekazać.*

Potem następowały słowa „szerokość, długość geograficzna, wysokość” i jakieś cyfry, których Mark z początku nie zrozumiał, ale po krótkim zastanowieniu zorientował się, że były to dane GPS miejsca, w którym ojciec Alyson pochował Laylę.

W którąś grudniową sobotę Mark i Nicole jechali samochodem przez góry i skaliste równiny pustyni Mojave. Zaczęło się pochmurne popołudnie, gdy dotarli do dzikiego miejsca nieopodal granicy z Nevadą. Tak jak prowadził ich GPS, zjechali z głównej drogi i zagłębili się w kamiennisty teren pełen kurzu i rozdrobnionych skał. Pośrodku tej pustynnej przestrzeni zauważyli małą parcelkę popękanej ziemi, ukrytą za judaszowym drzewem. Od razu domyślili się, że jest to poszukiwane przez nich miejsce. Wysiedli z samochodu i trzymając się za ręce, poszli w kierunku grobu córeczki.

Sześć lat po jej śmierci mogli nareszcie naprawdę się z nią pożegnać...

\*

A potem życie wróciło do normy...

Któregoś dnia Mark, ku swemu zdumieniu, zaczął się znów uśmiechać i znów mówić o przyszłości.

Layla przychodziła do niego coraz rzadziej.

Nie dlatego, że przestał myśleć o córce. Myślał o niej inaczej.

Wspomnienie jej nie wywoływało już tego straszego cierpienia.

Pewnego wieczoru Nicole oznajmiła mu, że jest w ciąży, i obydwójce bardzo się z tego cieszyli.

Urodził im się pierwszy syn, a trzy lata później drugi.

Mijały lata...

Pod koniec lipcowego popołudnia, dziesięć lat od momentu, gdy zaczęła się ta historia, na lotnisku Heathrow doszło do dziwnego spotkania.

Tego lata Mark i Nicole zrobili sobie długie wakacje, żeby pokazać synom — ośmioletniemu Theo i pięcioletniemu Samowi — cudowne zabytki starego kontynentu. Po wizycie w Atenach, we Florencji, w Paryżu i Londynie rodzina wybierała się do Lizbony.

— Chodź, Sammy! — rzucił Mark, sadowiąc sobie chłopczyka na ramionach, podczas gdy Nicole prowadziła za rękę Theo.

Ruchomymi schodami pojechali na poziom odlotów. Jakaś para stała na schodach zjeżdżających w dół. Mężczyzna w typie południowoamerykańskim nie mógł oderwać oczu od żony i córki, ślicznej Metyski o miodowej cerze.

Kiedy obydwie rodziny znalazły się obok siebie na tym samym poziomie, spojrzenie Marka skrzyżowało się ze



spojrzeniem kobiety. Był pewien, że to Alyson Harrison. Fizycznie bardzo się zmieniła: krucha blondynka o drobnym ciele, zazwyczaj dziwacznie ubrana, zamieniła się w kobietę w pełnym rozkwicie, dorodną szatynkę, której lekka nadwaga przydawała eleganckiego spokoju. Tylko jej oczy pozostały takie jak dawniej.

Mark często się zastanawiał, co się stało z Alyson. Kilka miesięcy po tragicznym wypadku helikoptera, w którym zginęła Alyson Harrison, przeczytał w jakiejś gazecie, że na czele imperium Green Cross stanęła wdowa po milionerze.

I to było wszystko.

Tą ostatnią informacją Alyson pożegnała się z mediami, ona, która przez całe lata była filarem prasy brukowej.

Myśl o Alyson nie budziła obecnie w Marku przykrych uczuć. Naprawdę pragnął, aby odnalazła spokój.

Mijając ją na ruchomych schodach, zorientował się, że Alyson odrodziła się jako żona pilota, który pomógł jej zmienić tożsamość, i że wreszcie znalazła szczęście.

Alyson również go poznała. Wymienili tylko długie spojrzenie, na tyle długie, że każde z nich zrozumiało uczucia drugiego.

## Epilog nr 2

# Historia Evie i Connora

### Chicago

Evie wybiegła ze szpitala i wskoczyła do taksówki, która czekała na nią od dwudziestu minut. Podała kierowcy adres restauracji na Magnificent Mile i siedząc na tylnym siedzeniu, zaczęła ściągać szpitalny biały fartuch i się przebierać.

Upłynęło dziesięć lat od chwili jej pierwszego spotkania z Connorem. Rozbita, cierpiąca nastolatka zmieniała się w piękną dwudziestopięcioletnią kobietę. Dwa miesiące wcześniej celująco zdała ostatni egzamin i zdobyła dyplom lekarza, a w tym tygodniu zaczęła pierwszy rok stażu na oddziale leczenia oparzeń w Chicago Presbyterian Hospital. Był to ten sam oddział, na którym wiele lat wcześniej wylądował Connor po swoim wypadku. Zbieg okoliczności, który tak naprawdę nim nie był...

Evie zrobiła wszystko, co mogła, aby ją tam zatrudniono. Chciała pracować w mieście, w którym Connor się urodził i w którym spędził dzieciństwo. Chciała iść w jego

ślady, zobaczyć to, co on widział, cierpieć tak, jak on cierpiał.

Aby uczcić swój dyplom, zaprosiła Connora do restauracji. Chciała mu w ten sposób podziękować za wszystko, co zrobił dla niej w ciągu minionych dziesięciu lat: za to, że zawsze był przy niej, że pokrył koszty jej studiów, że przyjął ją do grona swoich najbliższych, czyli do rodziny, jaką tworzyli z Markiem i Nicole.

A poza tym chciała mu coś powiedzieć.

Coś, co już od bardzo dawna leżało jej na sercu.

Dwa dni wcześniej, podczas wizyty organizowanej dla nowego personelu, Evie spotkała dziekana chicagowskiego szpitala, doktor Loreenę McCormick, która kiedyś prowadziła oddział leczenia oparzeń. Nigdy do tej pory jej nie widziała, ale wiele o niej słyszała. Connor opowiadał, z jakim poświęceniem go leczyła.

— Żyję właściwie dzięki niej — powiedział Evie w rzadkiej chwili zwierzeń.

Tak więc Evie była bardzo ciekawa spotkania z lekarką. Co ją zdumiało, to dziwna intensywność spojrzenia, z jaką Loreena McCormick patrzyła na nią, zwłaszcza że widziały się po raz pierwszy.

Evie była jeszcze bardziej zdziwiona, kiedy nazajutrz otrzymała mail od Loreeny, w którym był tylko numer teczek z danymi medycznymi jakiegoś tajemniczego pacjenta.

Evie zaczęła szukać, aleteczka była zbyt stara, aby można było zajrzeć do niej w komputerze. Tak więc po dyżurze, w środku nocy, udała się do archiwów przeniesionych na trzeci poziom piwnic. Godzinami przeglądała

półki uginające się pod ciężkimi kartonowymi pudłami, zanim znalazła właściwy numer.

Była to teczka Connora.

Evie otworzyła ją drżącymi rękami. Między zdjęciami rentgenowskimi i sprawozdaniami z poszczególnych operacji znajdowały się dziesiątki rysunków zrobionych przez Connora podczas jego pobytu w szpitalu. Ze ściśniętym gardłem młoda kobieta oglądała jeden szkic po drugim. Widziała narysowaną miękka kreską twarz wciąż tej samej kobiety.

To była jej twarz.

Zdecydowała się potraktować to jako przeznaczenie, które najwyraźniej nakazywało jej wyznać Connorowi swoje uczucie.

Uczucie to narodziło się w niej bardzo dawno temu.

Po seansie hipnozy Connor czuł się odpowiedzialny za młodą dziewczynę, która tak przypominała mu jego samego wiele lat wcześniej.

— Ona jest taka jak my — oświadczył Mark podczas seansu terapeutycznego.

To prawda, że kiedyś życie traktowało ich podobnie.

Od początku byli sobie bliscy i uczucie Connora do Evie z latami tylko się pogłębiało.

Evie zaś miała tylko jego. Kiedy zgodziła się, aby jej pomógł, oddała swoje życie w jego ręce i stał się dla niej wszystkim. Często myślała o liście, którą zrobiła na końcu swego dziennika, kiedy jeszcze mieszkała w Las Vegas. Mało z tych rzeczy zrealizowała. Nigdy nie pojechała na

wakacje z matką. Matka zmarła, zanim dostała nową wątrobę. Ale Evie udało się pojechać do Nowego Jorku i w końcu spotkała kogoś, kto ją rozumiał.

A co do ostatniego punktu: „żeby kiedyś ktoś się we mnie zakochał”, chciała tylko jednego, aby tym kimś był Connor.

\*

Connor dojechał do restauracji jako pierwszy. Oddał parkingowemu kluczyk do dwudrzwiowego bmw, które wynajął na lotnisku, i wszedł do windy prowadzącej na panoramiczny taras z widokiem na Chicago River. Posażono go przy zalanym słońcem stoliku. Mógł do woli podziwiać wznoszący się przed nim las drapaczy chmur. Pierwszy raz wracał do miasta, w którym się urodził i które opuścił trzydzieści lat wcześniej w dramatycznych okolicznościach. Wyjechał jako parias, wracał jako zwycięzca.

Ostatnie dziesięć lat było pasmem jego sukcesów. Doświadczenia w dziedzinie terapii hipnozą zostały zaakceptowane przez środowisko lekarskie i wprowadzone do programu zajęć na medycynie. Dzięki tej metodzie wyleczył setki osób i przez dwa kolejne lata zostawał laureatem konkursu Best Doctor in America.

Był ojcem chrzestnym obydwu synów Marka, z którym spotykał się prawie codziennie. Nawet jeśli nie pracowali razem, pozostali sobie bliscy. Mark był zresztą jedyną osobą, której Connor wyjawiał w sekrecie problem nurtujący go od prawie dwóch lat, z którym walczył...

\*

Evie zdjęła tenisówki i wsunęła na nogi eleganckie szpilki. Z torby wyciągnęła kosmetyczkę. Hop! Trochę

pudru, kreska nad oczami, i gotowe! Chciała być tak piękna, jak ta kobieta na rysunkach Connora.

Jak on zareaguje na jej wyznanie? Nie wiedziała. Ale nie mogła już dłużej ukrywać swych uczuć, które rosły i mogły ją udusić i zniszczyć.

Wszystko, co dobre w jej życiu, zdarzyło się dzięki Connorowi. Często zastanawiała się, co by się stało, gdyby go nie spotkała tamtej wigilijnej nocy, kiedy chciała mu ukraść torbę... Gdzie byłaby teraz? W więzieniu? A może już by nie żyła? Może byłaby kelnerką w nędznej knajpie? Czasem powodzenie w życiu zależy od drobnostki. Od jednego spotkania, właściwej decyzji, łutu szczęścia...

Przez minione lata Evie starała się cały czas zaimponować Connorowi. We wszystkim szukała jego aprobaty. Wszystko, czego się podejmowała, robiła dla niego. Ponieważ tylko z nim czuła się naprawdę sobą. Connor był jej częścią. Znała z góry jego słabości, wiedziała, czego się bał, czego unikał.

Kiedy zaś myślała o przyszłości, zawsze widziała go obok siebie. Nie wyobrażała sobie, żeby ktoś inny mógł być ojcem jej dzieci.

Connor spojrział na zegarek i wypił łyk wody mineralnej. Dlaczego w ogóle zgodził się na to spotkanie? Dlaczego narażał się na to cierpienie?

Bardzo długo byli bliskimi przyjaciółmi, po czym ostatnio Connor trochę się od Evie oddalił. Wciąż wyjeżdżał na jakieś zagraniczne konferencje i nie odbierał telefonu, kiedy do niego dzwoniła. Dlaczego? Ponieważ był w niej zakochany i zdał sobie sprawę, że nie potrafi dłużej udawać, że to zwykła przyjaźń. Podobało mu się w niej

wszystko: głos, gesty, uśmiech, cera. A poza tym ona wiedziała o nim wszystko. Kiedy był z nią, czuł, że budzi się to, co chował w sobie najgłębiej: nadzieja, chęć otworzenia się przed innymi, wiara w przyszłość. Jako neurolog wiedział, że stan zakochania się jest tylko wynikiem działania hormonów i neuroprzekaźników. Ale to nie rozwiązywało jego problemu: musiał uwolnić się od tej miłości.

Nawet jeśli uczucie to byłoby wzajemne, perspektywa, że któregoś dnia Evie od niego odejdzie, skutecznie go odstraszała. Skończył właśnie czterdzieści pięć lat. Był u szczytu kariery i popularności. Na razie był jeszcze atrakcyjnym partnerem, ale co będzie jutro? Za dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat?

Nie mógł już tego wytrzymać. Podniósł się z krzesła. Co robił w tej restauracji dla turystów, czekając na kobietę, której nie powinien kochać? Rzucił banknot na stół i skierował się do windy.

Taksówka podwiozła Evie pod restaurację.

Evie weszła do głównej sali i skierowała się do windy, aby wjechać na taras.

Obydwie windy minęły się, jedna jechała w górę, druga zjeżdżała.

Od czego zależy szczęśliwe spotkanie dwóch zakochanych? Od drobiazgu: sekunda, uścisk ręki, łut szczęścia, wszystko to wisi na cienkiej nitce.

Connor wsiadł do samochodu, który przyprowadził mu parkingowy, i zdecydował się pojechać na lotnisko. Miał

już wjechać na drogę szybkiego ruchu, kiedy pod wpływem nagłego, niebezpiecznego impulsu zawrócił i pojechał w kierunku dzielnicy swego dzieciństwa.

Niewiele zmieniło się w Greenwood przez ostatnie trzydzieści lat. Lepiej wyglądała część South Side, ale proces zmian nie objął zdewastowanych wieżowców dzielnicy jego dzieciństwa. Connor postawił swój nowusieńki samochód na parkingu. Za jego czasów taki wóz zostałaby w kwadrans skradziony lub spalony. Ile czasu zajmie to dziś? Z pewnością nie dłużej, jeśli sądzić po spojrzeniach i wątpliwych żartach, które rzucała pod jego adresem grupa uliczników. Connor przeszedł tuż przed nimi, nie omijając ich ani o centymetr. O mało co nie potknął się o piłkę do kosza, która potoczyła się w jego kierunku. Podniósł ją i odrzucił do dwóch chłopców grających mecz na tym samym boisku, na którym kiedyś on grał z Markiem. Z lekkim niepokojem wszedł na dawną klatkę schodową. Nie wszystkie skrzynki na listy były zniszczone, na niektórych widniały nazwiska, które kiedyś znał, ale nie znalazł nazwiska jego ostatniej zastępczej rodziny.

Jakieś dziecko odrabiało lekcje na klatce schodowej.

Zawsze znajdzie się ktoś taki, pomyślał Connor, uśmiechając się do chłopca.

Podszedł do schodów prowadzących do śmietnika. Niepewnie schodził w dół, opierając się o betonową rampę. Po co to robił? Czego szukał w tym zimnym i ponurym miejscu, gdzie na zawsze pożegnał się kiedyś z dzieciństwem?

— A wiesz, co my robimy ze śmieciami?

Connor podskoczył i odwrócił się. Nie było nikogo. To



wyobraźnia płatała mu figle. Trzydzieści lat minęło od tego dramatu, ale dla niego rana była nadal otwarta.

Nacisnął wyłącznik koło drzwi. Nie było światła, tak jakby nikt nie zmienił stłuczonej trzydzieści lat wcześniej żarówki. Wejść? Nie wchodzić? Czego chciał dowieść? Że już się nie boi? Że bez problemu może spotkać się z nawiedzającym go w snach diabłem?

Wszedł. Zamknął za sobą metalowe drzwi.

— Frajerów to my palimy! — usłyszał w wyobraźni.

Teraz był zupełnie sam. Wokół niego panowały egipskie ciemności. Czuł, że cały drży i że wzdłuż pleców ściekają mu strużki potu. Znów usłyszał jakiś hałas i mimo ciemności wydało mu się, że widzi sylwetkę piętnastoletniego chłopca. Serce zaczęło mu walić w piersiach. Podszedł w kierunku zjawy i zobaczył siebie takim, jakim był wówczas. Ujrzał bladego, chudego chłopczyka w za ciasnym ubraniu. Chłopiec patrzył na niego z wyrzutem, jakby zjawił się zbyt późno. Connor poczuł w sobie atawistyczny strach, który nigdy go nie opuścił i który tak często przynosił mu nieszczęście.

— Nie wolno ci się bać — wyszeptał chłopiec.

— Ale ja się boję o ciebie — odrzekł Connor ze smutkiem w głosie.

Chłopczyk odrzekł uspokajająco:

— Mnie jest teraz dobrze.

Connor położył dłoń na ramieniu dziecka, którym był niegdyś, zamknął oczy i pozwolił, aby strach powoli z niego wypłynął. I zniknął.

Gdy Connor wyszedł z budynku, koło swego samochodu zobaczył Evie. Młodej kobiecie nie zajęło zbyt

wiele czasu, by go odnaleźć. W głębi duszy wiedziała, że wszystko skończy się tutaj, w krainie dzieciństwa, której nigdy tak naprawdę nie opuszczamy.

Z ufnością podeszła do Connora.

Wiedziała, że od tej pory wszystko będzie dobrze.

Ponieważ tam, gdzie ludzie się kochają, nigdy nie zapada noc.

# Między nami.

Droga Czytelniczko i Czytelniku,

Towarzyszycie mi już przez cztery powieści, obdarzając zaufaniem moich bohaterów i wymyślony przeze mnie świat.

Wielu z was pisze do mnie i widzę z tych listów, że wciągnąłem was w moją rzeczywistość. Każdy list wnikliwie czytam.

Czasem na spotkaniach promocyjnych wymieniliśmy kilka wzruszających zdań, zawsze zbyt krótkich; kilka ciepłych słów powiedzianych zbyt szybko...

Po każdym z tych spotkań mam niedosyt, wydaje mi się, że nie przekazałem wam najważniejszego.

Oto, co jest dla mnie najważniejsze:

Dziękuję wam.

Dziękuję, że dajecie życie moim powieściom.

Dzięki wam istnieją, dzięki wam zdobywają coraz to nowych czytelników, to wy ich bronicie.

To, że je czytacie, nadaje sens moim słowom.

Ale z pewnością o tym wiecie.

Do zobaczenia więc na stronach moich powieści...

Guillaume  
6 marca 2007

Tajemnicze zdania pojawiające się na ścianie (strony 94 i 95) wypowiedziane zostały przez Marie Curie (*Nie należy się bać, należy zrozumieć*) i przez Ernesta Hemingwaya (*Człowieka można zniszczyć, ale nie można zwyciężyć!*).

*W cieniu nieistniejących wież*, sformułowanie użyte na stronie 259 to tytuł albumu Arta Spiegelmana powstałego po tragedii jedenastego września.